

M. B. LEPECKI
na Amazonce
we wschodnim
peru



księżnica atlas
LWÓW WARSZAWA

B I B L J O T E K A I S K I E R

M. B. LEPECKI

**NA AMAZONCE
I WE WSCHODNIEM PERU**



K . S I Ą Ż N I C A - A T L A S

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGR. I WYDAWNICZE

TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚR. I WYŻ., SP. AKC.

LWÓW—WARSZAWA

1931

2260

Zakłady Graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie.

Rozdział I.

W drodze do Ameryki Południowej.

W maju 1927 roku rząd peruański nadał bezpłatnie kilku obywatelom polskim wielkie koncesje terenowe nad rzeką Ucayali. Wzamian za otrzymane tereny koncesjonariusze zobowiązali się osadzić na nich cztery tysiące rodzin rolniczych, sprowadzonych z Europy. W wypadku niedotrzymania tego kardynalnego warunku, prawo własności miało powrócić w ręce rządu Peru. Łączny obszar nadań wyniósł półtora miliona hektarów (15 tysięcy kilometrów kwadratowych). Ponieważ polski Urząd Emigracyjny uwarunkował zezwolenie emigracji na tereny objęte koncesjami od zbadania ich przydatności dla kolonizacji wogóle, a dla wychodźstwa polskiego w szczególności, wynikła konieczność wysłania do Peru ekspedycji badawczej. Po długich korowodach i targach, został ustalony następujący jej skład: inżynier Feliks Gadomski, kierownik biura naukowo-informacyjnego w Urzędzie Emigracyjnym, Kazimierz Warchałowski, znawca stosunków południowo-amerykańskich, doktor medycyny Aleksander Freyd, kapitan korpusu geografów Apolonjusz Zarychta, redaktor „Wychodźcy“ Michał Pankiewicz, oraz ja.

Tak się złożyło, że przed wyruszeniem za ocean miałem do załatwienia w Lizbonie pewne sprawy,

22, 11
Na Amazonce i we wschodnim Peru.

o które prosiło mnie Polskie Towarzystwo Geograficzne i dlatego wyjechałem z Warszawy najwcześniej, bo już 2 stycznia 1928 roku. Dopiero w dwa tygodnie później miałem połączyć się z resztą ekspedycji w stolicy Portugalji i dalej ruszyć już razem.

Warszawę opuściłem w towarzystwie kapitanowej Ewy Romanowej, udającej się do Buenos Aires, do męża, który zajmował tam stanowisko redaktora pisma polskiego. Młoda ta kobieta opuszczała Polskę z porządnym strachem w sercu. Długa podróż, morze i nieznane kraje przerażały ją.

W Paryżu zatrzymałem się tylko jeden dzień. Rzadko zatrzymuję się tam dłużej. Nie lubię miast, a zwłaszcza wielkich. Wolę dżunglę. Po przemknięciu się ekspresem do Cherbourga i po licznych kłopotach ze złośliwymi celnikami francuskimi, wsiałem na wygodny okręt holenderski *Zelandję*, który znałem już z poprzedniej podróży do Ameryki Południowej, i... rozpocząłem podróż.

Drogę między Francją a Lizboną odbywa *Zelandja* w trzy dni. Na czwarty dzień rano dostrzegłem po raz piąty w życiu pagórkowate brzegi rzeki Tagu, nad którą, niby nad zatoką morską, rozłożyła się stolica Portugalji.

Okręt zatrzymywał się w porcie dobre kilka godzin. To też dopiero po południu pożegnałem się z panią Romanową, która siłą powstrzymywała się przed wyrażaniem przerażenia, jakim napełniała ją podróż olbrzymim okrętem w towarzystwie nieznanych, obcych ludzi. Poleciwszy ją opiece kapitana, oraz komisarza okrętowego, udałem się do miasta, gdzie zatrzymałem się w hotelu o monarchistycznej nazwie „Hotel Bragança“.

Do czasu przyjazdu reszty ekspedycji pozostawało jeszcze kilka dni. Ponieważ Lizbonę znałem już nieźle z poprzednich bytności i opisywałem ją kilkakrotnie, więc nie traciłem czasu na zwiedzanie, tylko zakrzętałem się około interesów Towarzystwa Geograficznego. W tem miejscu muszę wspomnieć, że Towarzystwo projektowało wówczas ekspedycję naukową do mało znanej kolonii portugalskiej, Angoli. W związku z tem prosiło mnie o zwrócenie się do portugalskiego ministra kolonii z prośbą o uzyskanie dla tego przedsięwzięcia poparcia. Teraz, podczas bytności w Lizbonie, miałem wyjednać sobie audjencję, doręczyć listy i uzyskać jakąś rezolucję. Nie zwlekając, już na trzeci dzień po przybyciu, udałem się do wielkiego gmachu, mieszczącego w sobie ministerstwo marynarki, kolonii i jeszcze jakieś urzędnictwa portowe. Po przedstawieniu się sekretarzowi ministra i po krótkiej rozmowie z szefem jego gabinetu, uzyskałem datę i godzinę audjencji. Minister do projektu wyprawy odniósł się przychylnie i obiecał przygotować odpowiednie listy polecające do Wysokiego Komisarza Angoli, o ileby wyprawa do skutku doszła. Przedstawił mnie także admirałowi Gago Coutinho, szefowi instytutu kartograficznego, polecając mu udzielenie mi szeregu wyjaśnień.

Dnia 18 stycznia przybyła do Lizbony reszta polskiej ekspedycji na parowcu *Alban*, kursującym stale między Liverpoolem, Manaos i Nowym Jorkiem.

Alban należy do angielskiego towarzystwa okrętowego Booth Line, które dzierży w swoich rękach już od kilkudziesięciu lat cały ruch pasażerski i częściowo towarowy między Europą i portami Amazonki. Zdarzyło się przed wojną, że niemieckie towarzystwo

żeglugowe, Hamburg-Amerika-Linie, wystąpiło do konkurencji i chciało wydrzeć Anglikom ten zyskowny kąsek, jakim był wówczas, a jest częściowo i teraz, przewóz produktów fabrycznych i ludzi do Pará i Manaus, a wywóz stamtąd i z Iquitos (Peru) płodów krain równikowych, w które tak obfituje największe na świecie dorzecze. Współzawodnictwo skończyło się dość oryginalną ugodą: Booth Line „odstąpił“ Niemcom brazylijski port Bahię, a ci wycofali swoje statki z Amazonki. Dzisiaj Booth Line jest najpotężniejszym towarzystwem przewozowym w całej północnej Brazylii i wschodnim Peru. W Iquitos wszystkie urządzenia portowe znajdują się w jego administracji. W ostatnich czasach wznowiło akcję nawigacyjną na wodach Amazonki niemieckie towarzystwo żeglugowe, Norddeutscher Lloyd.

Zmierzch zaczął już zapadać, a ciepłe styczniowe słońce skryło się za wyniosłości brzegów, gdy *Alban* podniósł kotwicę i skierował swój dziób do ujścia Tagu. Po chwili pruć już niebieskie fale Atlantyku.

O dwa dni drogi od brzegów Europy, naprzeciwko afrykańskiego Marokka, leży sławna z doskonałych win wyspa Madera. Towarzyszą jej skaliste, poszczerbione przez ocean *Ilhas Desertas* — Wyspy Pustynne, których jedynymi mieszkańcami są nieprzeliczone roje ptactwa wodnego, zalegającego brzegi krzykliwemi, żywymi jak rtęć stadami. Madera jest ulubionem letniskiem i miejscem kuracyjnym Anglików. Niemal każdy okręt, zarzucający kotwicę w porcie tego szczęśliwego kraju, w którym nigdy niema upałów ani chłódów, w którym dojrzewa wino i trzcina cukrowa, w którym aleje miejskie ocieniają rozłożyste palmy i ma-

gnolje, zostawia dziesiątki osób, spragnionych słońca i błękitnego nieba.

Do Lizbony *Alban* przybył z opóźnieniem, to też chcąc nadrobić stracony czas, zatrzymał się u brzegów Madery zaledwie dwie godziny. Krótki postój wynagrodził nam przepiękny widok, jaki przedstawia Funchal, stolica wyspy, w nocy. Tysiące świateł, pnących się równemi szeregami latarni ulicznych w okalające miasto góry, migocące światła statków, łodzi i latarni morskich, a nadewszystko ciemne kontury lądu, otoczonego zwartemi zwałami wód, składały się na coś tak ładnego, że ja, człowiek niełatwo ulegający nastrojom, stałem długi czas jak oczarowany, żałując, że to piękne zjawisko, jak wszystko na świecie, skończy się, zatonie dla mnie w morzu i zniknie.

Przez długie dni i tygodnie *Alban* pruł dziobem zwarte masy wód i przedzierał się mozolnie przez nieskończoną pustynię wodną. Życie na nim, podobnie jak na tysiącach innych statków, krążących po wodach globu, nudne było i nieciekawe. Nad głową niebo, pod nogami niezgłębiona bezdnia, a wokoło niebieski, jakby zabarwiony farbką, płynny żywioł. To też, gdy godzina przybycia do Ameryki stała się bliską, odetchnąłem z ulgą.

Już pierwszy rzut oka na brzegi północno-brazylijskie dał mi przedsmak tego, czego w głębi lądu mogłem się spodziewać. Gęsta, wiecznie zielona dżungla schodziła aż do samego morza, zrzadka tylko ustępując miejsca piaszczystem złoto-żółtym plażom. Piękno widoków nie było jednak doskonałe. Widniał w nim jeden znaczny uszczerbek: brak najmniejszej choćby wyniosłości. Niezmierzone płaszczyzny przygniatają

swoją monotonością. Woda zdaje się wnikać w głąb lasu. Dżungla, broniąc się, wysuwa ku falom niezawodną broń drzew mangrowiowych i walczy zwycięście a nieubłaganie. U ujścia Amazonki zwycięża ląd i dżungla. Ziemia, niesiona przez olbrzymie masy wód, zamuliła przypuszczalną zatokę morską, do której Amazonka ongiś wpadała, utworzyła szereg wysp i coraz to nowe na morzu odnosi zwycięstwa.

Rozdział II.

Dwa tysiące kilometrów po Rzece-Morzu.

Wpobliżu ujścia wielkiej rzeki Tocantins, nad którą dotychczas koczują plemiona dzikich Indjan, rozłożyło się miasto Belem,¹ stolica stanu Pará, obejmującego dorzecze dolnej Amazonki. Przybyłem tam w ostatnich dniach stycznia, a więc w czasie upałów, wilgoci i deszczów zenitalnych. Trzydzieści cztery stopnie (w cieniu) gorąca przez cały dzień, a dwadzieścia osiem w nocy — nie pozwalają poruszać się mieszkańcowi Europy tak swobodnie, jak w strefie umiarkowanej. A jednak Belem w swoim centrum różni się niewiele, a może nawet wcale, od setek miast europejskich. Samochody, elektryczność, chodniki, jezdnie, „kamienice“ — wszystko to przypomina do złudzenia prowincję Hiszpanji, czy też Włoch. Dość jednak wyruszyć kilka kilometrów za miasto, by ujrzeć krajobrazy i widoki, których napróżno szukać w krainach cywilizowanych. Postanowiłem je zobaczyć. Chcąc szybko odsunąć się od zapełnionych chorymi na ma-

¹ Nazywają je też Pará.

larję i lejszmanjotę przedmieść, wyruszyłem za miasto samochodem. W przeciągu godziny minąłem europejskie śródmieście, piekielne przedmieścia i dotarłem do zbitej, jednolitej dżungli. Wyrastała ona po obu stronach fatalnej drogi, wiodącej do jednego z niezliczonych w Pará miasteczek, Maguary, i rosła sobie tak spokojnie, jakgdyby w odległości kilkunastu kilometrów nie tylko nie istniało żadne 200 tysięczne Belem, ale nawet mała, na palach zbudowana wioska tubylców. Dalej ruszyłem pieszo. Pomimo gorąca i duszności, jakie zawsze uczuwa się na równiku, przepelniała mnie radość, że oto zdobyłem sobie możność oglądania tej przebogatej zieleni, która roztaczała przede mną niezliczone odcienie i barwy.

Droga do Maguary stanowi bodaj jedyną lądową linię komunikacyjną w tym kraju dziewiczym, większym trzykrotnie od Polski (stan Pará posiada 1,150.000 km^2). Na tym olbrzymim obszarze mieszka zaledwie milion ludzi. Jak rzadkie jest to zaludnienie, można sobie uprzytomnić dopiero wówczas, gdy wykona się krótki rachunek, z którego wyniknie jasno, jak na dłoni, że gdyby Pará posiadało ludność tak gęstą jak Polska, to powinno by liczyć, ni mniej ni więcej tylko 90 milionów mieszkańców. Wprawdzie stan Pará nie posiada dróg, a kolei zaledwie kilkaset kilometrów, to jednak mnóstwo rzek spławnych, z Amazonką na czele, pozwoliły mu zorganizować stosunkowo niezłe środki lokomocji, w postaci połączeń parostatkowych.

Gdyby można było w jakiś cudowny sposób odsunąć Pará od równika o kilkanaście stopni geograficznych, to stałoby się ono niewątpliwie prawdziwym

śpichlerzem ziemi. Niestety, równikowe upały, olbrzymie hodowle malarycznych komarów, groźne choroby w postaci trądu, uty, malarji i powszechnej kiły, nie pozwalają rodzajowi ludzkiemu zapuścić tam tak tęgich korzeni, jak na południu Brazylii, w Argentynie, Chili lub Urugwaju. Niemniej jednak, dla człowieka z krain chłodnych i mrocznych, do jakich musimy zaliczyć i naszą ojczyznę, stan Pará wydaje się rajem, z którego Bóg wygnał ongiś człowieka.

Jedną z najcharakterystyczniejszych cech Pará są perjodyczne deszcze. Padają one w tej porze roku, którą my nazywamy zimą, a która tu nosi nazwę pory deszczowej. Każdego dnia, mniej więcej około drugiej lub trzeciej godziny po południu, zaczyna padać ulewny deszcz, który trwa, z małymi przerwami, lub nawet bez przerw, do piątej lub szóstej wieczorem. Opady te są tak stałe, że mieszkańcy Belem przystosowali do nich swoje życie. W tych godzinach większość sklepów jest zamknięta, a nikt nie załatwia interesów. Przyjęło się powiedzenie: „przed deszczem“, lub „po deszczu“, jako określenie czasu. Opady te, zwane deszczami zenitalnymi, są tak gwałtowne, że wystarczy kilka sekund, aby przemoczyły przechodnia aż do skóry. Nic też dziwnego, że w czasie ich trwania stolica stanu Pará nabiera wyglądu miasta wymarłego. Tylko czerwone, czarne, czekoladowe i brązowe nagie dzieciaki z przedmieść — biegają beztrosko, nie obawiając się przemoknięcia.

Naprzeciwko Belem leży Marajó, największa na świecie wyspa rzeczna, której powierzchnia zajmuje 36 tysięcy kilometrów kwadratowych. Z trzech stron omywają ją wody Rzeki-Morza, z czwartej — od za-

chodu — wody wąskiego kanału naturalnego, łączącego właściwą Amazonkę z jej ramieniem, zwanem Rio Pará. Wyspa ta, wyniesiona na 5 do 6 metrów nad poziomem morza, nie ulega zalewom i jest niemal od pierwszych chwil odkrycia tych stron zamieszкана. Część zachodnią pokrywają lasy, w których nie brak drzew kauczukowych, natomiast część wschodnia przedstawia niezmierzone stepy, idealne pastwiska dla stad bydła rogatego. Aczkolwiek obecnie istnieje tam około 200 fazend¹ hodowlanych, a spis dokonany w r. 1922 wykazał 526.000 sztuk bydła, koni i mułów, to jednak w porównaniu z czasami dawniejszemi — gospodarstwo wyspy zubożało. Na ziemiach wyspy Marajó, jak i na ziemiach całego stanu Pará, ciąży tak zwana odwrotna strona medalu decentralistycznego ustroju państwowego, zaprowadzonego przed kilkadziesiątu laty w Brazylii. O ile ustrój federalny jest dobrodziejstwem dla stanów licznych i bogatych, o tyle dla nielicznych i wskutek tego stosunkowo ubogich jest on hamulcem w rozwoju. Trudno bowiem wyobrazić sobie, aby państwo o ludności wynoszącej milion głów, a takim jest Pará, podołało wszystkim zadaniom w stosunku do olbrzymich terenów, jakie obejmuje. System federalny, który stworzył kwitnące stany: San Paulo, Minas Geraes i Rio Grande do Sul, hamuje jednocześnie rozwój takich jak: Pará, Amazonas, Goyaz etc.

Stolicę stanu Pará opuszczaliśmy rankiem. Do portu przyszli pożegnać nas: p. Le Cointe, autor doskonałej pracy o Amazonji, wydanej we Francji pod tytułem „L'Amazonie Bresilienne“, dyrektor miejscowej agen-

¹ Fazenda (port.) — majątek ziemski.

cji Booth Line, konsul peruański, oraz w imieniu prezydenta stanu jego adjutant.

Drogę z Belem do Manaos, wynoszącą dwa tysiące kilometrów, mieliśmy odbywać w dalszym ciągu na *Albanie*. Na nieszczęście okręt ten nie zatrzymywał się przed Manaos ani razu. Całą przestrzeń, dzielącą nas od tego miasta, mieliśmy przebyć jednym tchem. Było to poniekąd korzystne, gdyż dawało oszczędność czasu, ale jednocześnie nie pozwoliło zwiedzić miejscowości, położonych nad dolnym biegiem Amazonki.

Pierwsza część podróży po Rzece-Morzu przyniosła mi niespodziankę w postaci pozornie gęstego zaludnienia jej wybrzeży. Nie przypuszczałem, aby pobrzeżne dżungle mogły być pokryte całymi linjami niewielkich wprawdzie, na palach zbudowanych, ale w każdym bądź razie ludzkich domków. A tak w rzeczywistości jest. Co kilka, rzadziej co kilkanaście kilometrów dostrzegałem osiedla brudnych indyjsko-portugalsko-murzyńskich mieszańców, wystających beczynnianie przed progami. „Gęstość“ ta nie sięga jednak w głąb kraju. W Amazonji ludzie osiadli mieszkają jedynie na brzegach rzek, i to rzek większych. Po interiorrze¹ można wędrować całymi dniami, tygodniami, a nawet miesiącami, nie spotykając ani jednego człowieka mniej więcej białego.

Wybrzeża Amazonki budziły we mnie zachwyt tylko przez krótki czas. Już po kilku dniach opatrzyły mi się. Płaskie, pokryte jednolitą, zieloną dżunglą, robiły na mnie wrażenie dekoracji teatralnej. Ich pro-

¹ Interior (port.) — wewnątrz (również i kraju).

fil, rysowany grubemi monotonnemi linjami, męczył oko swą jednostajnością i brakiem barw. Gdy, nadmiar złego, dodam, że wody Amazonki posiadają brzydką, brudno-żółtawą barwę, a niebo nad nią pokrywają przez większą część roku chmury, wówczas już nikogo nie zdziwi twierdzenie, że podróż statkiem po największej rzece świata nie należy do czarujących, a już zupełnie nie można jej porównać z urokiem podróży po wodach Paragwaju, lub górnej Parany. Jednak gdy wczujemy się w jej ogrom, gdy uprzytomnimy sobie, że jest to zbiornik wód olbrzymiego kontynentu, rozciągającego się po obu stronach równika na przestrzeni kilkudziesięciu stopni geograficznych, gdy uświadomimy sobie, że jest to rzeka, po której żeglują wielkie statki oceaniczne, że długość jej przekracza sześć tysięcy kilometrów, że w ciągu każdej sekundy czasu wtłacza ona do Atlantyku osiemdziesiąt tysięcy metrów sześciennych wody, tworząc owe dziwne Mar Doce — Słodkie Morze, to dopiero wówczas uczujemy mocny dreszcz zadowolenia z losu, który pozwolił nam zobaczyć ten cudowny twór natury w całej jego okazałości.

Amazonkę pokrywają setki wysp i wysepek. Jedne z nich są zamieszkane, inne służą za schronienie ludziom i zwierzynie jedynie w czasie pory suchej, jeszcze inne stoją od stworzenia świata puste. Ów wielki ich nadmiar sprawia, że żeglując po tej olbrzymiej rzece, nietylko nie jest się wcale przygniecionym jej ogromem, ale nawet uczuwa się pewnego rodzaju zawód. Pokryta wyspami, podzielona na tysiące wąskich kanałów, nie przedstawia Amazonka tej potęgi, jaki masa jej wód, wtłoczona w koryto jednolite, mo-

głaby przedstawiać. Nieświadomemu, biorącemu brzegi wysp za brzegi rzeki, mogłoby się nawet wydawać, że jest ona rzeką niezbyt wielką. Ogrom jej uwydantnia się dopiero wówczas, gdy nadchodzą olbrzymie powodzie, te prawdziwe potopy biblijne. Znaczna część wysp ginie wówczas w odmętach, a ład tworzy ową bajeczną, przez Jules Verne'a genialnie opisaną „puszczę wodną“. Wtedy dopiero człowiek odczuwa niezmierną potęgę żywiołu płynnego i największego jego zbiornika lądowego — Amazonki. Nic nie ostoi się przed jej potęgą. Olbrzymie pnie drzew, dotknięte ramieniem wody, padają niczem drobne krzaki, a budowle ludzkie, zuchwale postawione na terenie jej zasięgu, nie potrafią stawić oporu nawet przez sekundę.

Rzeka-Morze niszczy, ale jednocześnie i buduje. Wyrwane z korzeniami pnie drzew, ziemia z osypisk nadbrzeżnych, muł, rośliny wodne, wszystko to służy skrzętnej rzece do budowy nowych wysp i do wydzierania oceanowi nowych szmatów ziemi.

Nierównomierne jej powodzie sprawiają nadbrzeżnym mieszkańcom wiele niespodzianek i wiele szkód. Ale Amazonka nie jest złośliwa, ani niewdzięczna. Nie niszczy bezmyślnie pracy ludzkiej, a szkody wyrządzone wynagradza stokrotnie swą bezprzykładną przydatnością do żeglugi. Dość wspomnieć, że jeszcze miasto Iquitos, położone na jej brzegu o 4.200 kilometrów od ujścia, jest portem morskim, posiadającym bezpośrednie połączenie z portami Europy i całego świata, aby uznanie dla niej wzmogło się do granic podziwu. Nie tylko jednak świetną drogą wodną jest Amazonka, jest ona także olbrzymiem akwarjum, w którym uczeni

naturaliści znaleźli już tysiące gatunków ryb. Rozmaitość ich i ilość może przyprawić człowieka, przywykłego do stawików i rzeczek europejskich, o nielada zawrót głowy.

Ta obfitość przeróżnych stworzeń wodnych ma jednak odwrotną stronę medalu: w Amazonce i jej dopływach nie można się kąpać. Nie pozwala na to wielka ilość jadowitych płaszczyk (Raiidae), krokodyli (*Caiman sclerops*, *C. niger* etc.), strętów elektrycznych (*Gymnotus electricus*), canero'ów, kęszacy (*Characinidae*) i innych złośliwych stworów, od których roją się jej wody. Prawie na moich oczach rozegrała się krwawa tragedia, wynikła na tle niebezpieczeństw, ukrytych w mętnych toniach tej groźnej rzeki. Zdarzyła się w Manaos. Pewien robotnik, zatrudniony przy ładowaniu okrętu, pośliznął się na wąskiej kładce i wpadł do wody. Zanim zdążono rzucić mu koło ratunkowe, zakotłowało się wokoło i człowiek znikł w głębinach, pociągnięty nienasyconymi mordami potworów. Tylko tłusta, ruda plama na powierzchni wody świadczyła jeszcze przez krótką chwilę o tragedji, która rozegrała się w atramentowych wodach dopływu Amazonki, w rzece Rio Negro.

Brzegi Amazonki, nie podlegające zalewom nawet podczas największych przyborów, są określane słowami *terra firme*. Brzegi niskie, zalewne, nazywają mieszkańcy *vargem*. Na *vargem* rośnie zwykle las niskopienny, krzaki i zarośla; nie widzi się tam zupełnie drzew wielkich, pokrywających szczerlnie *terra firme*. Mieszkańcy Amazonji, zmuszeni do przebywania na *vargem*, budują chaty prowizoryczne na wysokich palach, chroniąc w ten sposób swoje ogniska domowe

od powodzi. Posiadają oni zawsze łodzie, aby, w wypadku gdy przybór przybierze rozmiary niespodziewanie duże, móc uciec na tereny wyższe, położone dalej od rzeki.

Znamienny dla instynktu zwierząt jest fakt, że unikają one starannie terenów *vargem*, chętnie natomiast gnieźdzą się na *terra firme*. Jest to nader ciekawe, gdyż nie wszystkie tereny niskie są zalewane corocznie, a nawet te, które podlegają zalewom perjodycznym, są przez dużą część roku suche. Widocznie instynkt nie pozwala im wogóle zbliżać się do miejsc, na których mogłaby ich zaskoczyć śmierć niespodziewana.

Jak niebezpieczne muszą być nagłe powodzie Amazonki, stwierdza to fakt, że nigdy u jej brzegów nie przywiązuje się łodzi na noc na krótkim sznurze, gdyż w przeciągu kilku godzin snu poziom wody może podnieść się tak wysoko, że łódź zatonie, lub też, porwana przez fale, popłynie wdół rzeki samopas.

Do dziwów, przejmujących lękiem pierwotną ludność tubylczą i niemniej pierwotnych konkwistadorów, należy pozornie niewytłumaczalny objaw niejednoczesnych wezbrań dopływów Amazonki. Pod koniec pory suchej, gdy prawobrzeżne dopływy toczą już resztki swych zapasów wód, lewobrzeżne zaczynają nagle wzbierać, zasilając swą macierz nowymi sokami. I oto stajemy się wówczas świadkami dziwnego zjawiska: prawy brzeg jest suchy, jego drobne strumienie i jeziorka nie posiadają ani kropli wody, gdy jednocześnie na lewym brzegu każda najdrobniejsza arterja wypełniona jest po zręby płynnym żywiołem. Niema w tem, oczywiście, nic cudownego. Okres deszczów

idzie ku Amazonce od północy, to też najpierw napieniają się jej lewobrzeżne dopływy, a dopiero później, stopniowo, gdy okres deszczów przekroczy koryto Rzeki-Morza, zaczynają wzbierać dopływy prawobrzeżne.

Rozdział III.

„Rzemiennym dyszlem“ po Amazonce.

Cztery doby z okładem zużył pocziwy *Alban* na przebycie dolnej Amazonki i dotarcie do Manaos. Miasto to leży nie nad samą Rzeką-Morzem, lecz nad jej dopływem — nad Rio Negro.¹ Założyli je Portugalczycy w roku 1669; nazwy pożyczyciło sobie od Indjan Manaów, którzy zajmowali ongiś te ziemie. Dzięki nagłemu dobrobytowi, który spadł na kraj przed kilkudziesięciu laty z racji zastosowania soku drzew gumowych do różnorodnego użytku w przemyśle, miasto rozrosło się i rozbudowało. Po chwilowym upadku, spowodowanym założeniem olbrzymich konkurencyjnych plantacji kauczukowych w Indjach Angielskich, Indjach Holenderskich i Indochinach, oraz związaną z tem dewaluacją gumy, dźwignęło się ponownie. Obecnie jest to 60-tysięczne, piękne miasto handlowe, stanowiące ośrodek olbrzymiego stanu Amazonas i jego polityczną stolicę.

Charakterystyczną cechą Manaos, tak zresztą jak i wszystkich innych miast Amazonas i Pará, jest jego absolutne odcięcie od wnętrza kraju. Otacza je ciąsnem półkolem selwa, trudniejsza do pokonania, niż

¹ W odległości osiemnastu kilometrów od ujścia.

morze. Ze stolicy stanu nie prowadzi ani jedna droga kołowa. Jedyna, wiodąca w kierunku Boa Vista do Rio Branco, została zbudowana na przestrzeni zaledwie kilkudziesięciu kilometrów, a dalsze prace zawieszono z powodu braku pieniędzy. Cała komunikacja odbywa się za pośrednictwem dróg wodnych, w które dorzecze Amazonki tak obfituje.

W całym Manaus mieszkało podczas mojej obecności tylko dwóch Polaków, z których jeden przeniósł się właśnie do Rio de Janeiro. Przebywał tam też jeden Niemiec łódzki, obywatel polski, trudniący się zawodowo zbieraniem okazów dla muzeów przyrodniczych.

Pierwsze zetknięcie się ze stosunkami północno-brazylijskimi przyniosło mi niespodziankę, niezbyt dla tych stosunków pochlebnią. Statek *San Salvador*, którym mieliśmy udać się w dalszą drogę, a który już w dniu 6 lutego miał wyruszyć w kierunku granicy peruańskiej, ładował się tak powoli, że data wyjazdu została, po kilkakrotnych zmianach, ustalona dopiero na dzień 11 lutego. Nieoczekiwane zupełnie wakacje spędziłem na poznawaniu Manaus, jego okolic i rozmowach z szeregiem osób, które mogłyby coś ciekawego lub oryginalnego do moich wiadomości o stolicy Amazonas dorzucić. Niestety, wiadomości tych było mało. Rzadko kiedy usłyszałem z ust tubylca coś innego, ponad narzekania na odcięcie od świata, na zastój i nudę.

Tak się złożyło, że pewna firma niemiecka ekspedjowała właśnie do Iquitos fantastyczną wprost ilość rur żelaznych, potrzebnych do przeprowadzenia prac kanalizacyjnych. Rury te zaciążyły naszemu okrętowi

do tego stopnia, że zanurzył się poniżej linii dopuszczalnej. Spowodowało to zatarg z władzami, gdyż kapitanat portu zakwestjonował z tej racji wyjazd i dopiero „mądre słowo”, powiedziane właściwemu urzędnikowi przez agenta kompanijnego, przekonało władze, że zbytne przeładowanie nie grozi okrętowi niebezpieczeństwem. W rzeczywistości jednak groziło, o czym przekonaliśmy się na własnej skórze. Na dowód tego, że z Amazonką niema co żartować, niechaj posłuży fakt, że niedawniej jak w roku 1927 jeden z okrętów rzecznych natknął się w nocy na toczony przez wodę pień i zatonął w przeciągu kilku minut. W katastrofie zginęło około 70 ludzi. Na szczęście, przed wyruszeniem z Manaos nie wiedziałem wcale ani o wątpliwościach kapitanatu portowego, ani o „mądrym słowie” kompanji i nie zaprzątałem sobie głowy czarnymi myślami.

San Salvador jest jednym z największych statków, krążących stale po Amazonce. Wyporność jego wynosi 1100 tonn. Kabiny pierwszej klasy mają wejścia i okna od pokładu zewnętrznego, co sprawia, że są przewiewne i chłodne. Pasażerowie nie mogą narzekać na brak miejsca i wygod. We znaki daje się tylko niedostatek wentylatorów w kajutach, oraz urządzeń, bez których człowiekowi kulturalnemu trochę trudno się obejść. Okręt stanowi własność angielskiego towarzystwa żeglugi, *The Amazonas River Company*. Towarzystwo to, utrzymujące komunikację na Amazonce i jej dopływach, jest od samego początku swego założenia subsydjowane przez rząd federalny. Według opinji jej pracowników, znajduje się w kłopotach finansowych i „pracuje deficytem”. Wobec znacznego

ruchu, zarówno towarowego, jak i osobowego, nie wydaje się to prawdziwe, co zaś do uporczywego twierdzenia o stratach, to należałoby, mam wrażenie, potraktować je jako urabianie opinii na wypadek, gdyby rząd chciał cofnąć tłuste zapomogi. Według wiadomości, udzielonych mi przez jednego z oficerów statku, subsydjum rządowe wynosi, ni mniej ni więcej, tylko około dwóch i pół miliona milrejsów¹ rocznie.

Maszyny *San Salvador* są przystosowane do opalania drzewem. Nie mogłem początkowo uwierzyć, jakich olbrzymich ilości tego materiału zużywają. Boć przecież wydaje się nieprawdopodobne, aby paleniska mogły pochłonąć na godzinę od półtora do dwóch tysięcy kawałków drzewa. Tak jednak jest. *San Salvador* zużywa około 40 tysięcy szczap dziennie. Gdyby kapitan okrętu chciał zaopatrzyć się w paliwo na całą osiemnastodniową podróż do Iquitos, nie mógłby już nic więcej, oprócz drzewa, pod pokładem zmieścić. Ponieważ byłoby to bezsensowne, przeto zapasy paliwa uzupełnia się podczas drogi, w specjalnie zorganizowanych stacjach drzewnych (porto da lenha). Ładunek skutecznia się w sposób bardzo prymitywny. Prostu, robotnicy biorą po pięć lub dziesięć szczap na plecy i niosą na okręt. Ponieważ do ładowania najmuje się zwykle kilkudziesięciu ludzi, przeto idzie to dość szybko. „Szybkość“ ta wymaga jednak od czterech do pięciu godzin na naładowanie zapasów na dwa dni. Uzupełnianie paliwa powoduje wielką miarę w posuwaniu się naprzód, ale, niestety, nie ma na to narazie żadnej rady.

¹ milrejs = ca 1 złoty.

Z chwilą wejścia na pokład *San Salvador*, pożegnałem się z Europą, którą jeszcze w Manaos imitował jako tako *Alban*. Wraz z wstąpieniem na pokład statku brazylijskiego, zmieniły się nie tylko warunki podróżowania, ale również i otoczenie. Nie pozostało już ani śladu z eleganckich Anglików. Pasażerami byli teraz wyłącznie Brazylijanie, i to przeważnie o cerze śniadej, a w wielu wypadkach nawet kompromitująco śniadej.

Ponieważ odjazd był naznaczony na godzinę 10 rano, wyruszyliśmy przeto punktualnie o 12 w południe. Pogoda była dość marna, niebo zakryte chmurami, a powietrze przesycone wilgocią. Przez pierwszy dzień i pierwszą noc nie minęliśmy ani jednej wioski i ani jednego miasteczka. Dopiero pod wieczór dnia następnego ukazały się domki małego porciku, Manacapuru, położonego w odległości niespełna stu kilometrów od Manaos. Jeden z towarzyszków podróży zapytany przeze mnie, czy Manacapuru ma dużo mieszkańców, odpowiedział, że tak, naturalnie, ma ich bardzo dużo.

— To jest przecież — mówił — jedno z większych centrów w tych stronach.

Ponieważ jestem bardzo ciekawy, a jednocześnie bardzo sceptycznie usposobiony co do wielkości i znaczenia wielu miast brazylijskich, oznaczanych na mapach wielkimi literami, zapytałem dodatkowo:

— Więc pewno posiada z tysiąc mieszkańców?

Brazylijanin spojrzął na mnie zdziwiony.

— No, nie, tysiąca to napewno nie ma.

Po tej uczciwej odpowiedzi, utwierdziłem się jeszcze więcej w swoim sceptycyzmie i spokojnie obserwo-

wałem tę grupę kilkudziesięciu domów, które noszą szumną nazwę miasta Manacapuru.

Dla człowieka, przybywającego z największych centrów życia światowego, wegetacja tych paru setek ludzi wydaje się jakimś dziwnym nieporozumieniem. Być skazanym na przebywanie przez kilkadziesiąt lat w takim Manacapuru, bez możliwości zapuszczenia się w głąb kraju, bez możliwości oglądania innych twarzy i miast, bez wrażeń, bez przyjemności i radości życia, — to przecież nic innego, jak tylko wygnanie, tem gorsze, że dobrowolne. A przecież Manacapuru jest w nieskończenie lepszych warunkach od dziesiątek i setek innych miejscowości, rozrzuconych na przeszło półtora miljonowym obszarze stanu Amazonas.

Przez pierwszy tydzień podróży mijaliśmy prawie codziennie jakieś drobne porciki, przy których leżały miniaturowe miasteczka. Minęliśmy, zatrzymując się tylko na bardzo krótko, Codajas — miejscowość, w której znakomita część mieszkańców trudni się wyłącznie połowem żółwi, oraz ryb pirarucu. Równie szybko załatwiliśmy się z miasteczkiem Coary, w którym geograf stanu Amazonas odkrył tylko taką właściwość: „Coary nazywało się dawniej Alvellos“...

Jedyną bodaj rozrywką w tych miejscowościach, zabitych deskami i oddzielonych od reszty świata wodami, jest przybycie okrętu z Manaus, który przywozi pocztę i nowinki. Nic też dziwnego, że na spotkanie *San Salvador*a wychodził zwykle na brzeg komplet mieszkańców, przyglądając się statkowi i czerpiąc z jego widoku przedmiot do długich wieczornych rozmów.

Dnia 16 lutego po południu zawinęliśmy do miasteczka Teffé, którego przeszłość historyczna zasługuje na specjalną uwagę. Założył je jeszcze w wieku XVII hiszpański jezuita, Samuel Fritz, którego nazwisko pozwala przypuszczać, że był Niemcem na służbie międzynarodowego zakonu. Początki miasteczka wywodzą się od małej wioski, w której ojcowie nauczali religii chrześcijańskiej okoliczne plemiona indyjskie. Według historyków brazylijskich akcja ta miała za zadanie utwierdzenie władzy korony kastylskiej nad Amazonką, gdyż nieuregulowana wówczas dokładnie granica władai króla Hiszpanji sięgała faktycznie do średniego biegu Amazonki.

Większość dzisiejszych teffenńczyków, to stuprocentowi cywilizowani Indjanie. W żyłach ich płynie krew licznych ongiś samodzielnych plemion: Aszuarisów, Manaosów, Passesów, Tuanasów etc., które mityczny dzisiaj jezuita Samuel Fritz potrafił zjednoczyć, uchrześcijanić i ucywilizować. Ilekroć zetknąłem się ze śladami pracy jezuitów wśród Indjan południowo-amerykańskich, tylekroć podziwiałem ich umiejętność postępowania i zrzeczność. Co nie udawało się cywilnemu osadnikowi, co nie dawało rezultatu wysiłkom państw zdobywczych, to zawsze udawało się jezuitom. Potrafili oni nauczyć Indjan, bez gwałtu, nietylko pracy, ale także osiadłego życia, a nadewszystko, potrafili złagodzić ich obyczaje i nadać im cechy podobne do tych, jakie posiadają Europejczycy.

Ponieważ w Teffé okręt nasz wyładowywał sporo towarów, mieliśmy dość czasu, aby udać się łódeczką do miasta i zwiedzić je dokładnie. Nędzna ta miejscowość, na którą z trudnością możnaby patrzeć w Euro-

pie, wydała mi się jednak pięknym zakątkiem świata, w którym warto żyć. Wspaniałe ogrody, pełne najegzotyczniejszych drzew i krzewów, nadawały mu wygląd uroczy, rozkoszny. W jednym tylko niewielkim ogródku zauważyłem następujące drzewa: palmy kokosowe, palmy butia, magnolje, drzewa mangowe, pomarańcze, drzewa mamonowe i figowce... Całość jednak przedstawia się smętnie. Jedynym porządnym budynkiem murowanym był dom oo. franciszkanów kapucynów, który mieścił, między innymi zakładami, szkółkę.

Po opuszczeniu Teffé *San Salvador* mijał kraj pusty, zrzadka tylko zamieszkały przez ludzi napół dzikich, lub takich cywilizowanych, którzy wolą nie zbliżać się zbyt do miejscowości, gdzie mają coś do gadania władze i policja. Typowym takim człowiekiem cywilizowanym, który niechętnie mówi o urządzeniach państwowych, jest wychodźca z Pernambuco, niejaki pan Manoel Nunez. W jego fazendzie, którą nazwał Porto Nunez, zatrzymaliśmy się pewnego dnia wieczorem. Należy przyznać, że nawet taki jegomość, który uszedł przed ramieniem sprawiedliwości, może być pożyteczny, o ile posiada zadatki na człowieka pracowitego. W przeciągu zaledwie kilku lat potrafił z dzikiej, nieużytej dżungli wypracować obszerne pola, wystawić kilka domów, założyć składy i kupić parowy stateczek do dalekich wypraw wgórę rzeki Jutahy, której ujście widnieje w pobliżu jego domostwa.

Podczas całej podróży po Amazonce, a później i po Ucayali, widywałem niejednokrotnie dziwnych mieszkańców wód — ni to ryby, ni to ssaki. Były to brzegowce amerykańskie: *botu* i *peixe-boi*. Pierwszy

z nich jest rodzajem delfina (*Inia amazonica* albo *Delphinus amazonicus*), drugi, znany w Polsce pod nazwą krowy rzecznej (*Manatus amazonicus*), podobny do fokii. Mięso z *botu*, jak również i jego skóra, nie posiadają własności, które mogłyby spowodować ich użyteczność dla człowieka. Ostatnio odbywają się próby wydobywania z nich tłuszczu, który mógłby być użyty do wyrobu mydła lub dla innych celów przemysłowych. *Peixe-boi* posiadają mięso jadalne i zapewne dlatego liczba ich zmniejszyła się w ostatnich czasach znacznie. Portugalska, a właściwie brazylijska nazwa krowy rzecznej (*peixe-boi* czyli: ryba-byk) powstała niewątpliwie wskutek tego, że zwierzę to karmi się chętnie pewnym gatunkiem trawy, pospolitym na brzegach rzek, a stanowiącym też wielki przysmak dla bydła rogatego. Trawa ta zwie się *capim*. Zarówno na *botu*, jak na *peixe-boi* poluje się z harpunem. Mieszkańcy nadbrzeżni, a w szczególności Indjanie, celują w tych polowaniach i z wielką łatwością zdobywają ten wielki łup. W późniejszej podróży miałem sposobność widzieć tych niezrównanych myśliwców, gdy ugodziwszy potężne zwierzę, mknęli w maleńkich, chybotliwych łódeczkach po gładkich, lecz zdradliwych wodach Matki-Rzek, ciągnęci przez własną ofiarę. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego nie tracili równowagi, nie wypuszczali z ręki sznura i nie wpadali do wody.

Oprócz *botu*, którego każdy podróżnik musi zauważyć, wciąż rzuca się w oczy wielki ptak o rudawych skrzydłach, zwany *ciganna*, a także mnóstwo zimorodków, oraz kilka odmian mew, zwanych *gajwota'mi*. Naogół jednak Europejczyk spodziewa się spotkać na brzegach Amazonki znacznie więcej przedstawicieli

świata zwierzęcego i ptasiego, aniżeli spotyka. Nie oznacza to jednak, aby ostępy leśne były puste, ale raczej to, że Amazonja ukrywa starannie swoich mieszkańców przed człowiekiem, jadącym parowcem. Ma dla niego jedynie widok olbrzymiej, wiecznie zielonej, leśnej pustyni. Nic, nic, oprócz roślinności. Jedynie w bardzo wczesnych godzinach rannych i przed samym wieczorem można dostrzec przelatujące wysoko czaple, papugi, oraz wielkie sępy (*Catharista atrata*), krążące nad niewidzialnym padłem. Dopiero w czasie pory suchej (maj — wrzesień) brzegi ożywiają się. Liczne plaże piaszczyste, które znikają w porze deszczowej, pokrywają się nieprzeliczonemi stadami olbrzymich żółwi i krokodyli. Mnóstwo ptaków, które w porze dżdżystej żerują nad brzegami licznych w głębi kraju jezior, powraca nad Amazonkę i ożywia krajobraz. Wówczas podróż jest znacznie ciekawsza i bardziej interesująca. Niestety, dolną i średnią Amazonkę przebywałem w czasie dużej pory deszczowej, i przeto na jej brzegach nie widziałem nic więcej, oprócz olbrzymiej, milczącej, zielonej pustyni.

W tydzień po opuszczeniu Teffé, przybyliśmy do San Paulo de Olivença. Niewielkie to miasteczko, będące stolicą municypjum (powiatu), leży na wysokim, trzydziestometrowym brzegu. Pierwsze, co w San Paulo rzuca się w oczy, to obdrapana buda, na której, jak na ironję, widnieje wielki drewniany szyld z niezgrabnie wykaligrafowanym francuskim napisem: „Au bon marché“.

W San Paulo de Olivença kupiłem niewielką, dwumetrową skórę węża boa (*Boa constrictor*). W Amazonji wąż ten nosi guarańską nazwę *jiboia* (żyboja). Za-

mieszkuje on niemal całą Amerykę równikową, to też miałem z nim do czynienia zarówno nad Amazonką, jak i w Paragwaju, Boliwji, a później i we wschodnim Peru. Osobniki stare i dobrze się odżywiające dochodzą długości nawet ośmiu metrów. Wyroby ze skór wężów stały się w ostatnich czasach, jak wszystkim wiadomo, bardzo modne. Moda ta przyczyni się, niewątpliwie, do porządnego przetrzebienia konstriktorów, których skóra na te wyroby specjalnie dobrze się nadaje.

Rozdział IV.

Katastrofa San Salvadora.

Podczas pory deszczowej widać na Amazonce dziesiątki i setki wielkich drzew, niesionych przez prąd. Wyrwane z odwiecznej dżungli przez wezbrane fale, suną ku dalekiemu oceanowi zwolna, tocząc się, kręcąc i jedne drugie popychając. Niektóre zaczepiają się o nadbrzeżne zarośla, tworząc olbrzymie zatory — zaczątki przyszłych wysp, inne docierają do ujścia, jeszcze inne zapędzają się aż na otwarte morze, a nawet do odległych lądów drugiej półkuli świata. Ich potężnie pnie przedstawiają poważne niebezpieczeństwo dla żeglugi. Wystarczy jednego niewinnego naporów zderzenia, aby wiązania nitów pękły, utworzyła się szpara i statek poszedł na dno. Reszty dokonywają w takich wypadkach żarłoczne piranje, jadowite raje, drętwy elektryczne i inne groźne potwory głębin amazońskich. Nic też dziwnego, że gdy mijały nasz okręt liczne hordy tych pni, patrzyliśmy na nie z tro-

ską i obawą. Ponieważ jednak dzień po dniu mijał, a krakania zawodowych pesymistów, których nie brak i pod równikiem, nie sprawdzały się, nabraliśmy do *San Salvador* większego zaufania, sądząc, że do Iquitos jakoś dojedziemy.

Stało się jednak inaczej.

Dnia 23 lutego rano obudziło mnie potężne uderzenie w spód okrętu. Zerwałem się z postania i wybiegłem na pokład. Cisza i brak jakiegokolwiek zamieszania wśród załogi uspokoiły mnie. Dopiero w godzinę później, gdy już ubrałem się i zjadłem śniadanie, zauważyłem, że na okręcie zaszło coś niezwykłego. Wkrótce smutna prawda przestała być tajemnicą. Spód okrętu był przedziurawiony przez pień, płynący pod powierzchnią fal.

Gdy okręt zanurzył się tak głęboko, że począł nabierać wody na dolny pokład i gdy marynarze rozpoczęli wyrzucanie ładunku, uznałem za stosowne spakować najpotrzebniejsze rzeczy w jedną walizkę, wypakować broń i wogóle godnie przygotować się do ewentualnego opuszczenia statku w szalupie ratunkowej. Tymczasem kapitan skierował statek na środek rzeki, na mielizny, i energicznie zabrał się do ratunku. A więc poszło na dno Rzeki-Morza: tysiąc worków soli, pół tysiąca skrzynek mydła, setki blaszanek z gazoliną, a przede wszystkim tysiące rur kanalizacyjnych, przeznaczonych dla Iquitos. Ponieważ okręt nabierał wody coraz więcej, pogrążając się stale, acz zwolna, do pomocy zostali wezwani wszyscy pasażerowie. „Przyszło się“ zakasać rękawy...

Myliliby się ten, ktoby przypuszczał, że katastrofa na Amazonce jest bezpieczniejsza, (o ile w tych wy-

padkach może być wogóle mowa o bezpieczeństwie), od katastrofy na morzu. O dopłynięciu do brzegu wplaw, nawet na przestrzeni choćby tylko kilometra, niema mowy. Tysiące jadowitych ryb załatwiłyby się z rozbitkiem wcześniej, aniżeli zdołałby przebyć przestrzeń stu kroków. Pasażerowie *San Salvadora* zdawali sobie doskonale sprawę z tego, co im grozi, i chodzili po pokładzie niby cienie.

Po kilku godzinach wyętej pracy, okręt przestał pogrążyć się, a nawet uniósł się nieco. Jednocześnie z wyrzucaniem towaru, znajdującego się na dolnym pokładzie, przystąpiono do opróżnienia podzielnego na szereg komór wnętrza okrętu. W kilku tych komorach znajdowała się już woda. Na nieszczęście, nie można było w żaden sposób znaleźć otworu, przez który zdradziecki żywioł wciskał się. Napróżno nurkowali marynarze, napróżno nurkował nawet sam gruby kapitan Yuca, komendant statku. Otwór, zakryty warstwą mętnej, żółtej wody amazońskiej, wciąż pozostawał w ukryciu. Widząc, że inaczej nie można, postanowiono wodę wypompować. Ponieważ jednak pompa wylewała zaledwie niewiele więcej wody od ilości, która wciekała z rzeki, przeto praca to była żmudna i powolna.

Brzegi w pobliżu mielizu, zwanych przez marynarzy mieliznami Assacaio, porastała odwieczna dżungla, która od stworzenia świata nie widziała innych mieszkańców, oprócz dzikiego zwierza. Spoglądałem na te brzegi ciekawie, myśląc o tem, jakie niespodzianki zgotują nam, gdybyśmy z dziurawego okrętu musieli uciekać. Zielona wstęga dżungli, widniejąca na horyzoncie, stała milcząca i tajemnicza.

Po południu dostrzeżliśmy zbliżającą się do okrętu łódkę z dwoma Indjanami. Zeszedłem na dolny pokład, aby się z nimi rozmówić. Było ich dwóch, ojciec i syn. Zapytałem ojca, jak się nazywa.

— Alfonso Gomez — odrzekł.

Po długich usiłowaniach wydobyłem z niego wiadomość, że jest niewolnikiem niejakiego Antonio Roberta, który o kilkanaście kilometrów od mielizny posiada fazendę i kilkadziesiąt niewolniczych rodzin z plemienia Tikuna. Alfonso Gomez polował na ryby pirarucu, których suszone mięso jest jednym z poważniejszych produktów eksportu Amazonji. Na pirarucu (*Sucis gigas*), ważącą do stu i więcej kilogramów, polują przy pomocy harpuna w sposób podobny, jak na wieloryba lub kaszalota.

Kapitan Yuca kazał Indjaninowi udać się na brzeg i naciąć trawy *capim* dla kilku sztuk bydła, które na pokładzie się znajdowały. Gomez, przyzwyczajony do tego, że biały rozkazuje a czerwony słucha, pośpiesznie polecenie wykonał i jeszcze przed zmrokiem przywiózł pełną łódź zieleni.

Przez całą noc wrzała praca przy pompach. Jednak rano sytuacja nie polepszyła się wcale. Wody z pod pokładu nie ubyło, a dziury nie znaleziono. Prawdziwy popłoch wywołało spuszczenie z górnego pokładu łodzi ratunkowych i przygotowanie ich do drogi. Zainteresowany w tej materji kapitan Yuca oświadczył, że to tylko „na wszelki wypadek“. Około południa rozeszła się pocieszająca wieść, że dziurę znaleziono, ale, niestety, już w godzinę później okazało się, że zreperować jej pod wodą nie można. A tymczasem okręt pograżał się coraz więcej i więcej. Z twarzy kapitana

i min jego oficerów można było wnioskować, że wcale nie zanosi się na pomyślne zakończenie awantury. Nie trzeba chyba dodawać, że pasażerowie podupadli na duchu jeszcze bardziej...

Nieszczęście nie chadza podobno nigdy samopas. Reguła ta sprawdziła się i na mieliźnie Assacaió. W niezalanych wodą komorach, w których znajdowało się mnóstwo towaru łatwopalnego, jak manufaktura, papier, zapalki etc., wybuchł z przyczyny nieznanego pożar. Gdy zeszedłem na dolny pokład i poczułem, że żelazna podłoga pali mnie przez podeszwy butów, przeraziłem się już nie na żarty. Jeszcze tego było potrzeba! Woda i ogień! Dwa najgroźniejsze żywioły sprzysięgły się na zgubę nieszczęsnego statku. Kto się im oprze? Chyba nie mulacko-indyjska załoga...

Dopiero w tej chwili pomyślałem na serjo o grożącym niebezpieczeństwie. „Przecież my lada chwila wylecimy w powietrze“, przemknęło mi przez głowę. I istotnie, w wielu komorach znajdowały się jeszcze setki skrzynek z naftą, gazoliną i zapalkami. Wystarczyło iskry na te prochy, aby pożar przeniósł się z zamkniętych, odciętych od powietrza komór wewnętrznych i przerzucił się na drewniane urządzenia zewnętrzne. Czy wystarczyłoby wówczas czasu na zabranie rzeczy, a choćby tylko własnej osoby na łódź?

— Hej! kapitanie — krzyknąłem do grubego komendanta — mam z panem coś do pomówienia.

Kapitan spojrział na mnie swemi małemi, spokojnemi oczami, zmęczonemi teraz i podkrążonemi.

— A to dobrze — rzekł — bo i ja też mam z panem i innymi pasażerami do pogadania.

Obejrzał się po pokładzie.

— Panowie pasażerowie — zawołał — proszę do mnie!

— Kobiety tu niepotrzebne — zwrócił się do ciekawych, jak zwykle, pań.

Otoczyliśmy kapitana kołem, oczekując z niecierpliwością wiadomości, które miał nam zakomunikować.

Na twarzy komendanta widać było przygnębienie.

— Senhores — rzekł — mamy pod pokładem wodę i ogień. Nie mogę ręczyć za wasze bezpieczeństwo...

W tej chwili rozległ się głośny płacz jednej z kobiet, która prawdopodobnie słowa kapitana dosłyszała.

Kapitan żachnął się.

— Więc — ciągnął dalej — musicie, senhores, okręt opuścić na przygotowanych szalupach ratunkowych.

I zaraz dodał:

— I to nawet natychmiast.

Zaledwie te słowa przebrzmiały, a spłoszone stado pasażerów rzuciło się do kajut, aby wyciągnąć rzeczy i znieść je do szalup. Powstało zamieszanie, krzyk i rozgardjasz.

Co do mnie, to, jak zwykle, miałem rzeczy niewiele, a więc mogłem przygotować się rychło.

Nie upłynęła godzina, a wszyscy pasażerowie wtoczyli się już na dwie olbrzymie łodzie i poczęli dość natarczywie domagać się odjazdu.

Kapitan Yuca z resztą marynarzy pozostał na okręcie, mając nadzieję ugaszenia pożaru i doczekania się pomocy bądź z Iquitos, bądź z Manaus. Położenie na mieliźnie było stosunkowo bezpieczne, gdyż pozwalało, o ileby nie padały deszcze i nie było przyboru wód, na kilkudniowe nawet czekanie. Gdyby jednak pożaru nie ugaszono, groziła staremu wilkowi ama-

zońskiemu śmierć. Snać jednak odważny kapitan brazylijski wolał śmierć od hańby porzucenia powierzono mu okrętu, gdyż na pozostanie się zdecydował.

Już słońce zniżyło się do wierzchołków brzegowej dżungli, a w powietrzu zawisła zwykła, wieczorna cisza, gdy ratunkowe łodzie opuściły *San Salvador* i, niesione bystrym prądem, jęły szybko płynąć wdół olbrzymiej Rzeki-Morza w poszukiwaniu miejsca, w którym możnaby wylądować i założyć obozowisko.

Rozdział V.

Odcięci od świata.

Jeden z marynarzy, przydzielonych do szalup ratunkowych, wiedział, że w pobliżu mielizn Assaciao znajduje się osiedle niejakiego Manoela Mafra, który ma dużo niewolników i jest zamożny. Nie wiedział jednak dokładnie, gdzie to osiedle ma być.

— Niedaleko — mówił — musi być. O ile nie dojedziemy do niego dzisiaj, to jutro dojedziemy napewno.

Przyznam się, że takie wyjaśnienie nie pocieszyło nikogo z rozbitków.

Tymczasem zapadła noc, niebo zachmurzyło się i zaczął padać ulewny deszcz równikowy.

Zła pogoda i niezwykle wypadki nie odebrały jednak humoru ani mnie, ani innym członkom polskiej wyprawy. Zamiast martwić się i smucić, zanuciliśmy okolicznościową pieśń: „Choć burza huczy wkoło nas“. Słowa polskie dziwnie dźwięczały na wodach olbrzymiej rzeki, płynącej skroś większej od wielu mórz dziewiczej dżungli.

Po pięciogodzinnej podróży, w czasie której ujechaliśmy co najmniej 60—70 kilometrów drogi, ujrzelśmy wdali, na brzegu, drobne światełko. Na nie skierowali marynarze łodzie i po krótkim błędzeniu wśród zatok i trzcinników, dotarliśmy do wybrzeża, na którym w głębi widniało światło.

Wyszliśmy na brzeg.

Deszcz już ustał i księżyc, który wydobył się właśnie z za chmur, oświetlił niewielką polanę, a na niej zarysy kilku budynków. Pierwszy z tych domów okazał się pusty. Na wołania i stukania nikt nie odpowiadał. Dopiero w następnym wyszła na próg jakaś przerażona kobieta, która zobaczywszy tyłu obcych mężczyzn, zgadzała się na wszystko, co jej proponowano. Oczywiście, propozycje ograniczyły się jedynie do zarekwirowania części domu. Trzeba było jednak długiej chwili, aby panią (mąż był nieobecny) przekonać, że ma do czynienia istotnie z rozbitkami, a nie z bandą zbójów, rabującą samotne osiedla nad Amazonką.

Miejscowość, do której zajechaliśmy, okazała się istotnie własnością Manoela Mafra i nazywała się San Jeronimo. Oprócz rodziny właściciela, mieszkali tam wyłącznie Indianie z plemienia Tikuna, których biały przybysz obrócił w niewolników, zmuszając do bezpłatnego zbierania na jego rzecz kauczuku, oraz połowu ryb pirarucu.

Zaznaczam nawiasem, że Indianie znosili cierpliwie swój ciężki los, uważając go za normalny. O niewolnictwie nad rzeką Amazonką, jego formach i rozpowszechnieniu piszę na dalszych stronach tej pracy, przy opisywaniu podróży po wschodniem Peru, w któ-

rem niewolnictwo posiada identyczne formy z temi, jakie można obserwować w północnej Brazylii.

Noc, którą spędziłem w San Jeronimo po opuszczeniu pałacego się *San Salvador*, muszę zaliczyć do najgorszych, jakie kiedykolwiek w dżunglach Nowego Świata spędziłem. Gorąco, duszność, miljardy komarów, boraszudów i dokuczliwych mikui, złożyło się na to, że wspomnienie o San Jeronimo długo jeszcze będę przeklinał. Rano obudziłem się z tysiącami bąbli od ukąszeń. Uczuwałem takie dokuczliwe swędzenie, że doprowadzało mnie ono niemal do szaleństwa. Stali mieszkańcy tej miejscowości nie śmiały wychylić się w nocy z pod siatek muślinowych ani na chwilę. Gdyby nie regularne przyjmowanie chininy, napewno dostałbym jakiejś złośliwej febry. Nadomiar złego, okazało się rano, że opuszczając w pośpiechu *San Salvador*, załoga łodzi ratunkowych zapomniała zabrać żywność, wskutek czego już pierwszy dzień po wylądowaniu mieliśmy spędzić na głodno. Na szczęście, pani Mafra miała nieco zapasów i wzamian za odpowiedni argument brzęczący obowiązała się dostarczyć nam tego, czem „chata bogata“.

Widząc tę nędzę jedzeniową, wziąłem na ramię dubeltówkę i, nie zważając na swędzenie całego ciała, ruszyłem do dżungli na polowanie.

San Jeronimo stanowiło w owym czasie wyspę, otoczoną wodami szeroko rozlanej Amazonki. Chcąc przedostać się do lasu, trzeba było wziąć łódkę i przejechać szeroką na kilkadziesiąt metrów łachę. Ta niewielka płachta wody, nieruchoma i cicha, wyglądająca niewinnie i niepozornie, jest siedliskiem setek krokodyli. Na drugiej stronie łachy rozciągała się niewielka

poręba, porosła krzakami i wysoką trawą, która niegdyś służyła za pastwisko dla krów. Zaraz za porębą rozciągała się dżungla. Ciągnie się ona daleko, aż do granic Kolumbji i Wenezueli, aby dopiero w niebosiężnych Kordyljerach znaleźć nieprzebytą dla siebie zaporę.

W głąb tej dżungli prowadziła do niewielkiej wioski indyjskiej wąska, ledwie dostrzegalna ścieżyna. Nią to udałem się, wypatrując po drodze znaków i nasłuchując dźwięków, które zdradziłyby mi obecność pożądaney zwierzyny. Napróżno jednak wyteżałem oczy i uszy. Czworonogi mają je bardziej wykształcone; obecność moją słyszały i widziały mnie zapewne znacznie rychlej, aniżeli ja je i znikaly w niedostępnych matecznikach tak szybko, że przemierzając dżungłę miałem wrażenie, iż przemierzam pozbawioną życia pustynię. Nie jest to jednak pustynia. Dość znaleźć się w niej w nocy, aby przekonać się, że nie ma nic wspólnego z Saharą. Pod jej zielonym dachem żyje i rozmnaża się wielka ilość stworzeń, niewidocznych i milczących w dzień, ale po zapadnięciu zmroku napełniających las gwarem i tajemniczym szelestem. Małą to jednak było dla mnie pociechą, gdyż w rezultacie nic nie widziałem i nic nie upolowałem. Dopiero podczas powrotu zastrzeliłem nad brzegami łachy bąka, zwanego tam *soco*, oraz kilka czarnożółtych tkaczy (japó).

Zjadłszy dość marny obiad, pozwoliłem opanować się czarnym myślom. Co będzie dalej? Odległość do Manaos wynosi co najmniej 20 dni drogi łodzią, do Iquitos około 10-ciu. Następnego okrętu można się było spodziewać dopiero za miesiąc. Nie było najmniejszej nadziei, aby przygoda mogła skończyć się wcześniej, aniżeli za szereg tygodni. Aż się otrząsałem na myśl

o spędzeniu jeszcze jednej choćby tylko nocy w San Jeronimo, a co dopiero mówić o trzydziestu... Rolę Robinsona Crusoe odgrywałem już raz podczas podróży w Paragwaju; było bardzo miło, ale tam nie gryzły mnie miljarady moskitów i w każdej chwili mogłem upolować cośkolwiek do jedzenia. Zresztą, towarzystwo pasażerów, lamentujących i zgoła przygnębionych, nie było nazbyt miłe. Słowem, sytuacja nie odpowiadała mi.

Właśnie zastanawiałem się nad tem, jak urządzić się najwygodniej i jak zabezpieczyć się przed plagą owadów, gdy doszły moich uszu jakieś krzyki i nawoływania.

Chwyciłem rewolwer i pobiegłem w kierunku brzegu, skąd rozlegały się głosy. Nie ubiegłem jeszcze dwudziestu kroków, gdy z beładnego hałasu udało mi się wyłowić wielokrotnie powtarzane słowo: „okręt! okręt!”

Podwoiłem kroku.

Wkrótce dostrzegłem grupkę pasażerów, wymachujących rękami i wskazujących wdół rzeki.

Serce zabiło mi z radości.

Na horyzoncie, w odległości jakichś 8 kilometrów, wyłonił się z poza potężnego zakrętu wielki okręt i zdążał wprost ku nam.

Rozdział VI.

Niemiecki wybawca.

Wprawdzie już na *San Salvadorze* słyszałem, że niemiecki okręt Norddeutscher Lloyd ma w tym mniej więcej czasie odbywać eksploracyjną podróż do Iqui-

tos w celu zbadania możliwości założenia nowej linii komunikacyjnej, ale wieści te były mętne i niezbyt na wiarę zasługujące. Teraz jednak, gdy stwierdziłem przez lornetkę kolor barw, powiewających na maszcie zbliżającego się ku nam okrętu, nie ulegało już żadnej wątpliwości, że wieści były prawdziwe i że ratunek będziemy zawdzięczali Niemcom.

Żywo zakrzętnęliśmy się około zorganizowania sygnalizacji, potrzebnej do zatrzymania okrętu i sprowadzenia go do brzegu. Przedewszystkiem, przygotowaliśmy przy pomocy ręczników dwie chorągwie do dawania znaków „S. O. S.“, oraz wystaliśmy na środek rzeki kilku pasażerów łodzią, aby porozumieli się z kapitanem.

Sygnalizację rozpoczęliśmy od salwy karabinowej i posyłania znaków Morse'a. Niemiecki kapitan nie zrozumiał jednak początkowo naszej intencji i biorąc salwę, oraz machanie chorągiewkami za powitanie okrętu przez kolonistów-rodaków, opuścił kilkakrotnie flagę narodową, pozdrawiając nas, przyczem zaryczał potężnie na syrenie i nie zatrzymując się jechał dalej. Dopiero rozpaczliwe głosy ludzi, wysłanych łodzią i regularność ruchów chorągiewki zwróciły jego uwagę i kazały zastanowić się nad tem, czego był świadkiem. Wtedy rozpoznał natychmiast sygnały „S. O. S.“, powtarzane uparcie przeze mnie i porucznika Zarychtę, zaryczał ponownie na syrenie i skierował okręt ku brzegowi.

Byliśmy wyratowani.

Okręt nosił imię kobiece. Nazywał się *Ophelja*. Był to, o czem dowiedziałem się później, wybudowany już po wojnie transportowiec, o wyporności niespełna 1700 tonn niemieckich.

Kapitan nie był wcale zachwycony przygodą, i bardzo niechętnie zgodził się na zabranie rozbitków na pokład, zastrzegając się, że, być może, władze nie pozwolą mu przewieźć nas przez granicę peruańską i że w takim wypadku musimy zrzec się do niego pretensji, o ile wysadzi nas w Tabatindze, na granicy Peru.

W San Jeronimo było źle, ale na *Ophelji* nie było wcale lepiej. Ciasno, brak kajut, a przede wszystkim brak choćby jednego krzesła, dawał się we znaki nie mniej dotkliwie, niż niewygoda spania na ziemi. A do tego na *Ophelji* było chyba jeszcze więcej komarów i moskitów, aniżeli w San Jeronimo. Przystosowana do podróży po chłodnych morzach północy *Ophelja* była prawdziwym piekłem dla marynarzy i dla nas. I nawet nie można było winić kapitana o brak wygód, bo ich towarowy okręt dostarczyć nie mógł. Jako transportowiec o dużem zanurzeniu, nie mogła *Ophelja* iść nocą, co by znacznie przyspieszyło przybycie do Iquitos. Liczne mielizny i tysiące wyrwanych przez burze drzew, płynących z prądem, a stanowiących poważne niebezpieczeństwo nawet dla stalowych ścian, zmusiły kapitana Gurkena, po długiej naradzie z brazylijskim przewodnikiem, do nocowania pod koniec podróży na kotwicy. Spędzanie nocy przy brzegu powodowało nie tylko opóźnienie w posuwaniu się, ale stanowiło także przyczynę, dla której na okręcie roiło się od komarów. Co podczas dnia wiatr wypędził, to w dwójnasób przybywało podczas nocy z pobliskiego lądu.

Wprawdzie smętna była podróż na *Ophelji*, ale, bądź co bądź, każdy dzień, spędzony w tem piekle, przybliżał nas do tymczasowego celu podróży, jakim

już prawie od dwóch miesięcy było dla nas peruańskie miasto, Iquitos.

Stosunki z kapitanem Gurkenem, dość zimne początkowo, rozgrzewały się z dnia na dzień, aby pod koniec podróży stać się zupełnie ciepłymi.

W kilka godzin po opuszczeniu San Jeronimo, późnym wieczorem, dostrzegliśmy błyszczące w ciemnościach światła *San Salvador*, który wciąż tkwił na starym miejscu. Światło elektryczne, bijące z jego okien dowodziło, że maszyny działają i że sytuacja na nieszczęsnym okręcie nie uległa zapewne zmianie na gorsze. *Ophelja* nie mogła podejść do *Salvadora* blisko, gdyż nie pozwalało jej na to duże zanurzenie. Rozmowa „potoczyła się“ przy pomocy telegrafu optycznego. Statek brazylijski wzywał pomocy, statek niemiecki odpowiadał, że udzielić jej nie jest w stanie. I taka była ich rozmowa. W kilkanaście minut później błyszczące światła *Salvadora* znikły za jednym z licznych zakrętów, a *Ophelja*, dodawszy pary, popłynęła dalej, chcąc nadrobić stracony czas.

Po męczeńskiej nocy, spędzonej w dusznej, ciasnej kajucie trzeciego oficera, wyszedłem na pokład, skrzywiony „w dziesięcioro“ i pełen pesymizmu. Dopiero widok jasnego słońca i uśmiechniętych zielenią brzegów rzeki naprawił mi humor i przywrócił optymizm.

Do ujścia rzeki Yavari, granicy brazylijsko-peruańskiej, przybyliśmy dnia 26 lutego, już nad samym wieczorem. Leży tam mała miejscowość, zwana Esperança, w której Brazylijanie zakładali właśnie stację telegrafu iskrowego. Nieco w głębi leży miasteczko Remate de Males (Zbiór Zła), sławne ze swego złego

klimatu. Ma ono być przeniesione w całości do Esperança, gdzie klimat jest znacznie zdrowszy.

W Esperança przyszło na statek dwóch urzędników celnych, którzy coś tam popisali w papierach, pokrzyżowali, poczem zażądali piwa oraz papierosów, i nic, oczywiście, nie zapłaciwszy, wrócili do domu. Kapitan Gurken mrugał przez cały czas do nas jednym okiem i złośliwie się uśmiechał.

Rozdział VII.

Między Brazylią, Peru i Kolumbią.

W Tabatindze, miejscowości położonej o godzinę drogi od Esperança, znajduje się druga komora celna, również brazylijska. Minąwszy tę miejscowość, *Ophelja* wpłynęła na wody peruańskie i po kilkunastu minutach drogi zatrzymała się w Leticia'i,¹ pierwszym osiedlu ludzkim za granicą brazylijską. Podobnie jak w Esperança władze brazylijskie, w Leticia'i przybyły na pokład władze republiki peruańskiej. I tu nastąpiło małe nieporozumienie, którego ofiarą padł kpt. Gurken. Przypuszczał, biedaczysko, że celnicy, których spotka w Leticia'i, będą podobni do brazylijskich i dlatego pozwolił sobie nie powitać ich przy mostku, jak to jest we zwyczaju. Uchybienie to spostrzegł przybyły funkcjonariusz portowy, porucznik Fries, i natychmiast zapytał:

— Gdzie jest kapitan?

¹ Zarówno Leticia, jak i znaczny szmat kraju na lewym brzegu Amazonki, poczynając od granicy Brazylii, formalnie należy od r. 1928 do Kolumbji.

Jeden z przewodników odpowiedział, że czeka w kajucie.

Porucznik się „wściekł“ i krzyknął dość ostro:

— Niech natychmiast tu przyjdzie. Tu ma nas powitać.

Kapitan Gurken zaklął od „verfluchtów“, lecz, rad nie rad, wyszedł na pokład.

Brzegi Peru wydały mi się o wiele gęściej zaludnione od brzegów Brazylii. O ile poprzednio mijaly całe dni, podczas których nie widywaliśmy ani jednej chaty, o tyle na wodach Amazonki peruańskiej chaty te widniały dość gęsto. Nędzne to były domostwa, zamieszkane przeważnie przez metysów i Indjan, niemniej jednak ludzie byli. Oczywiście, w porównaniu z tą olbrzymią selwą, która każdą taką miejscowość otaczała szczelnym pierścieniem, były to tylko drobne, ledwie dostrzegalne wysepki na bezmiernym oceanie, ale, bądź co bądź, istniały i rozwijały się.

Drugiego czy trzeciego dnia drogi mijaliśmy piękne osiedle z domami krytymi blachą, z ogrodem i z alejką, wysadzoną palmami. Słowem, mały raik, przykryty błękitną kopułą nieba, obramowany zielenią, otoczony szumem potężnej rzeki i urokiem łagodnego klimatu.

— Jak tu pięknie! — wyrwało mi się mimowoli z ust.

Stojący obok mnie towarzysz podróży, kupiec z Iquitos, spojrział na mnie poważnie i rzekł:

— Równie tu smutno, jak pięknie.

— Dlaczego smutno? — zapytałem zdziwiony.

Peruańczyk pokiwał smętnie głową.

— Tu, panie — rzekł — jest szpital dla trędotwanych.

Zdrętwiałem.

— Dla trędowatych?

— Tak, tu się leczą, ale, zdaje mi się, nigdy nie przychodzą do zdrowia.

Zamigotała mi przed oczami odwrotna strona medalu pięknych krain równikowych. Trąd, kiła, febra, uła obrwały je sobie za ulubione siedlisko. Nigdzie w krainach chłodnych nie widać tyłu nieszczęść, spowodowanych chorobami i klimatem, jak w wiecznie zielonych, gorącym słońcem palonych krainach między zwrotnikiem Raka i Koziorożca.

Rządowe trędowisko San Pablo istnieje odnie-dawna. Dopiero od pięciu lat datuje się pierwszy wypadek przymusowego odstawienia chorego do tego szpitala. Dawniej nikt trędowatymi się nie zajmował. Krażyli swobodnie wśród zdrowych, roznosząc zarazę bezkarnie. Dzisiaj odsyła się wszystkich, u których lekarz stwierdził tę chorobę, do San Pablo, gdzie podlegają bezpłatnemu leczeniu. Któż jednak tę chorobę ma stwierdzać? Poza Iquitos, gdzie ordynuje trzech doktorów, reszta kraju, o powierzchni dwukrotnie większej od Polski, leczy się u znachorów i „babek”. Izolacja trędowatych jest tedy we wschodnim Peru nadal bardzo iluzoryczna, a możliwość zarażenia kwestją, którą należy brać pod uwagę.

Na drugi dzień po wyminięciu San Pablo, spotka-liśmy okręcik *Liberal*, śpieszący na pomoc *San Salvadorowi*. Był to już skutek depezy iskrowej, wysłanej z Leticia'i. W godzinę później nadjechał drugi stateczek, *Adolfo*, i oba razem pośpieszyły wdół rzeki, do mielizny Assacaio, na której uwięziony *San Salvador* walczył z wodą i ogniem, dwoma sprzysiężonemi prze-

ciw niemu żywiołami. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, jakie były jego losy i czy jego przysadkowata figura wystercza jeszcze ponad mętne wody Amazonki. Co do mnie, byłem jak najgorszej myśli. Sekundował mi kapitan Gurken, który pluł na samo wspomnienie tego rzeczno-pudła, tej dziurawej beczki, tej parowej świni, której niewiadomo dlaczego zachciało się pływać po wodzie.

— Taki statek, to najzwyczajniejszy szwindel — dodawał zwykle i prosił jadącego z nami, jedyne Anglika o papierosa.

Dalsza podróż do Iquitos nie obfitowała w ciekawe wypadki. Godzina po godzinie, dzień po dniu, mijaliśmy jednostajne, gęstą selwą porośnięte brzegi, na próżno wypatrując na nich śladu istoty żywej: człowieka lub zwierzęcia. Puste były i nieme. Ich spokój i powagę zakłócał tylko wrzask papug, plusk niezgrabnie skaczącego do wody krokodyla, krzyki polujących gajwot, lub łomot skrzydeł ciganny, uciekającej naoślep przed nieznanym jej głosem zbliżającego się okrętu. Zrzadka tylko mignął wśród zieleni brązowy cień Indjanina, ciekawie a nieufnie obserwującego rzadki nad górną Amazonką widok parowca. I tak wśród powagi odwiecznej selwy, między dwiema wstęgami zieleni, na wodach największej rzeki globu, nad głowami jadowitych piranji, drętew elektrycznych i ryb obdarzonych płucami, pieszczony gorącym słońcem w dzień, a w nocy kołysany do snu tajemniczym śpiewem dżungli, spędzałem dni podróży między zachodnią granicą Brazylii, a stolicą wschodnich puszcz Peru — miastem Iquitos.

Rozdział VIII.

Iquitos, Momon i Itaya.

Nigdy podczas wieloletnich podróży nie zdarzyło mi się, aby władze zwiedzanego kraju interesowały się moją osobą. Trudno nawet było wymagać takiego zainteresowania dla niepokąźnego włóczęgi, który „per pedes“, a w najlepszym wypadku na mule, przemykał się tanim kosztem, tak zwanym „psim śwędem“, przez miasta, a podróż zaczynał i kończył w miejscowościach, gdzie kończyły się szlaki ludzi dzikich, a zaczynały obmierzone budowle ludzi, tfu, cywilizowanych.

Pierwszy raz w Iquitos zdarzyło mi się coś innego. Nie mnie, oczywiście, specjalnie, lecz całej ekspedycji, której byłem członkiem. Sfery oficjalne, „skacząc“ koło ekspedycji, skakały i koło mnie. Nadałem się tedy odpowiednio, robiłem poważne miny i wygłaszałem okrągłe zdania. Jednak w duchu ryczałem ze śmiechu i uciechy.

Iquitos, według prywatnych obliczeń alcalde'a (burmistrza), José San Martín'a, ma posiadać 20.000 ludności. Cyfra ta wydaje się zupełnie prawdopodobna. Jest to w Montanji jedyne miasto, w całym tego słowa znaczeniu. Regularne ulice, oświetlenie elektryczne, szereg bardzo porządných budowli, sklepów i urzędzeń, wskazuje na to, że miasto jest dość zamożne. Dla ścisłości jednak muszę zaznaczyć, że przedmieścia, w przeciwieństwie do centrum, przedstawiają prawdziwy obraz nędzy i rozpacz. Na tych przedmieściach znaleźli schronienie Indianie z plemienia Iquitów, prawi właściciele ziem, na których później

wyrosło miasto ich wrogów, ludzi białych. Zmieszani z białymi i w czystym typie nie istniejący, prowadzą nędzny żywot parjasów. Dawniej panowie, wolni myślniwi na wolnej ziemi, stanowią dzisiaj najniższy proletarjat, z którego pracy powstają fortuny zamorskich przybyszów i funduje się potęga państwa. Oni to przebiegają cały kraj w poszukiwaniu kauczuku i roślinnej kości słoniowej, oni znoszą płody dżungli na własnych barkach, oni ładują je w brzuchate wnętrza okrętów, otrzymując wzamian wynagrodzenie, które starczy zaledwie na suchy banan i odrobinę ryżu.

W Iquitos pędziłem żywot nieciekawym. Wizyty, re-wizyty, kolacyjki, śniadanka, mówki. A do tego gorąco nie na żarty. Równik „tuż pod ręką“ nie pozwalał zapominać ani na chwilę o swojej obecności. Dopiero po zachodzie słońca człowiek mógł swobodniej odetchnąć i swobodnie się przejść.

W Iquitos uderza najbardziej brak ruchu kołowego. Wóz ciągnięty przez konia, lub choćby wołu, należy tam do widoków bardzo rzadkich. W całym mieście jest zaledwie czternaście marnych samochodów i może najwyżej drugie tyle mułów. I to już wszystko. Zupełny brak dróg kołowych spowodował, że cały transport mniejszy odbywa się na barkach ludzkich, a większy i dalszy na łodziach wiosłowych, bądź staczkach parowych, opalanych drzewem. Ten charakterystyczny szczegół wybija na zewnątrz życiu Iquitos piętno nader oryginalne. Milczące, sunące pod ścianami domów, śniade postacie brązowego plebsu, ze zgiętymi plecami, na których kopiasto piętrzą się przenoszone z portu towary, to widok w stolicy wschodniego Peru pospolity, codzienny. Do Iquitos nie zawi-

tały jeszcze urządzenia cywilizacji, przy których siła ludzka służy tylko do puszczania w ruch potężnych maszyn, pracujących pilnie a uważnie dla swego pana, człowieka. W Iquitos po dawnemu, jak przed setkami lat, praca — to ciężki fizyczny znój, gnący barki ku ziemi, a na usta wywołujący przekleństwo.

Już w pierwszych dniach pobytu zwiedziłem całe miasto, jego okolice i wojenny port rzeczny, położony nad rzeką Itaya, niewielkim dopływem Amazonki. Ze względu na sąsiedztwo z Kolumbią, z którą Peru posiada zadawnione zatargi graniczne,¹ i ze względu na niedawną z nią wojnę (1911 r.), peruańskie ministerstwo marynarki ufundowało w Iquitos flotylę rzeczną, złożoną z 4 monitorów, oraz ustanowiło właściwe dowództwo.

Po tygodniu widzieliśmy już wszystko, co w najbliższej odległości od Iquitos do zobaczenia było i postanowiliśmy puścić się nieco dalej. Wybór padł na zwiedzenie brzegów pobliskiej rzeki Nanay, wpadającej do Amazonki w odległości kilkunastu kilometrów od Iquitos.

Pewnego świeżego, miłego ranka siedliśmy do motorowej łodzi, łaskawie pożyczonej ekspedycji przez ikiteńskie dowództwo flotyli wojennej, i ruszyliśmy w drogę. W przeciągu dwóch godzin dotarliśmy do rzeki Nanay, wjechali w nią i dotarli do niewielkiego jej dopływu, Rio Momon. Po godzinie posuwania się tą rzeczką, dotarliśmy do miejscowości Balcon. Stamtąd zapuściliśmy się wążutką ścieżyną w głąb dżungli.

¹ Zatargi te zakończyły się w styczniu 1928 r., przyczem Peru oddało Kolumbji wielkie obszary nad rzeką Putumayo, o łącznym obszarze ca. 90 tys. *km* kwadr.

Dżungla amazońska nie różni się na pierwszy rzut oka niczem od lasów Paragwaju, czy też zachodniej Brazylii. Równie mroczna, wilgotna, ponura i przejmująca strachem. Podobnie jak tam, składają się na nią szeregi potężnych kolumn, otoczonych drobiazgiem podszycia i splątanych tysiącami gatunków i odmian lian równikowych. Podobnie jak w Paragwaju, północnej Argentynie, czy też zachodniej Brazylii, milcząca jest w dzień, a przepełniona tysiącem głosów w nocy, równie niebezpieczna, równie pociągająca i równie zdradziecka. Po dłuższej jednak obserwacji dostrzega się tysiące różnic, które czynią z niej coś odrębnego, swoistego. A więc przede wszystkim roślinność. W dżunglach Amazonji przeważają gatunki o liściach szerokich, szklistych, mięsistych. Bujność, wielka pod zwrotnikiem, przybiera w pobliżu równika bajeczne wprost i niewiarogodne rozmiary. O ile tam każdy skrawek ziemi pokrywa roślinność szczelnie, o tyle tutaj zalewa wprost, tworząc zielony, dyszący życiem pancierz.

Po kilkugodzinnym marszu, doszliśmy do małej chatki w głębi lasu, gdzie mieszkał stary metys z żoną i córką. Metys nazywał się Lazaro Maca i pomimo stałego stosunku z ludźmi białymi, żył na tak niskim poziomie cywilizacji, że używał jako broni myśliwskiej łuku. Według jego opowiadania, w dżungli nie brakowało jaguarów i innych drapieżników. Jednak my nie widzieliśmy innych stworzeń ponad stado małp i setek kameleonów, przebiegających ścieżkę i uciekających w popłochu na odgłos naszych kroków.

Nigdy nie zapomnę cudownych chwil powrotu do Iquitos.

Słońce, chyłące się już ku zachodowi, oświetlało dżungłę różowem, czarodziejskim światłem, odbijając się w wodach Rio Momonu, jakby w jakimś gigantycznym zwierciadle. Było już dość późno i motorówka pędziła na złamanie karku. Przed oczami migały kolumny olbrzymów leśnych, szczelnie otulonych festonami lian i roślinności brzegowej. Ptactwo, układające się już do snu, przerażone nieznanym w tych stronach szumem motoru, zrywało się z legowisk i, krzyżąc, pomykało przed nami. Nawet leniwe krokodyle, chętnie korzystające ze swego podobieństwa do suchych kłód i na ich rachunek odważne, nie wytrzymały próby i tchórzliwie znikwały pod powierzchnią zielonych wód rzeki.

Tak to w ów cudny wieczór pędziliśmy nowoczesną łodzią przez odwieczne dżungle amazońskie, wywołując przed sobą strach, a za sobą pozostawiając zmacone, rozkołysane fale.

Po kilkudniowych nudach, w czasie których odbyliśmy wizytę u prefekta, u alcolde'a, u dowódcy floty etc., wybraliśmy się na nową wycieczkę. Tym razem wspólnie z oficerami marynarki peruańskiej udaliśmy się wgórę rzeki Itaya. Zwiedziliśmy tam miejscowość Ica'e, należącą do kolonisty francuskiego pochodzenia, niejakiego pana Layet, oraz Santa Rosa'ę, w której właściciel, Hermogenes Garcez, na zapytanie: ile ma ziemi, odpowiedział z wdziękiem i prostotą:

— Mało, zaledwie siedem tysięcy hektarów.

Ciekawa rzecz, od ilu tysięcy zaczyna się dla takiego człowieka „dużo“.

W ten sposób spędziliśmy w Iquitos kilka tygodni, oczekując na przybycie pozostałego jeszcze w Europie

członka ekspedycji, pana Kazimierza Warchałowskiego, który miał przywieźć wielką łódź motorową, zakupioną specjalnie dla zwiedzania kraju. Pan Warchałowski przyjechał w końcu lutego, przywożąc nietylko łódź, ale nawet imię dla niej, oraz kinooperatora z firmy Pathé, która zdecydowała się filmować naszą wyprawę na swój koszt. Niestety, łódź okazała się mało potrzebna, gdyż rząd peruański, idąc nam jak najdalej na rękę, przeznaczył do naszej dyspozycji jeden z wojennych monitorów rzecznych. Monitor ten, stary wprawdzie jak świat, ale odnowiony i „odprasowany“, trzymał się doskonale. Mierzył 19 metrów długości, posiadał dwa pokłady, parową maszynę, opalaną drzewem, załogę złożoną z 25 ludzi i zachrypty głos w syrenie. Nazywał się *Cahuapanas*; dowodził nim kapitan korwety, Narvaez, przybyły przed kilku laty z Limy.

W kilka dni po przybyciu pana Warchałowskiego, zdecydowaliśmy się na wyruszenie w dalszą drogę.

Iquitos urządziło nam takie pożegnanie, jakiego zapewne nikomu dotychczas nie urządziło. W porcie zjawił się cały sztab urzędników z prefektem departamentu, płk. Molino Darteano, na czele, wszyscy wyżsi oficerowie armji i marynarki, konsulowie, przedstawiciele samorządu miejskiego i tłumy publiczności. Nie brakowało i orkiestry wojskowej, a nawet oddziału piechoty, który przyprowadził pułkownik Manoel Oré, nasz wielki przyjaciel. Całą tę scenę sfilmował kinooperator.

Po serdecznych pożegnaniach, po wielokrotnem klepaniu się po łopatkach, co miało oznaczać wyrażanie najwyższego stopnia sympatji, *Cahuapanas* uczy-

nił kilka prób zaryczenia basem, pisał natomiast falsetem, zakołysał się, zachwiał, zatrzeszczał w wiązaniach, i nieco postępując, ruszył. Jak w kinie zaczęły się przesuwać przed naszymi oczami nawodne budowle przedmieść ikiteńskich, wielkie rozlewiska ujścia Itaya'i, aż wreszcie wjechaliśmy w kraj podobny, jak dwie krople wody, do stron mijanych w drodze od granicy brazylijskiej do Iquitos.

I znowu znaleźliśmy się na groźnej i potężnej rzece Amazonce. Statek sunął po niej ciężko, obojętnie mijając błękitne wody i nieustanną orgję zieloności na jej brzegach.

Rozdział IX.

Z żółwiem w zawody.

Wprawdzie *Cahuapanas* był okręcikiem bardzo poczciwym, lecz w żadnym wypadku nie możnaby nazwać go lotnym. Był poważny i nie uznawał żadnych ekstrawagancji. Szedł sobie spokojnie, powoli. Nie do wiary się wydaje, jednak prawdą jest, że maksymalna szybkość jego wynosiła 7 kilometrów na godzinę, zmniejszając się przy silniejszym prądzie do 3, do 2, a nawet do 1 kilometra na godzinę. Jedyne usprawiedliwienie dla parowca był silny prąd Amazonki, przeciw któremu musiał walczyć, oraz wielkie obciążenie (25 marynarzy i my, razem 34 osoby) i dość słabe maszyny. Usprawiedliwienie usprawiedliwieniem, jednak myśl o tem, że mamy przebyć 2040 kilometrów na pudle, posuwającym się trzy razy wolniej niż kolejka grójecka, była bardzo przykra. Bo proszę pomy-

śleć: kolejką podjadą do Paryża! Ba, gdyby to kolejką. Kapitan Narvaez i jego dwóch *practicos*, czyli pilotów pocieszało nas, że podróż zwyczajną łodzią wiosłową trwałaby trzy razy dłużej.

Powoli, ale zato nieustannie, jechaliśmy przez pierwszą dobę. Po południu dnia następnego zatrzymaliśmy się w Puritanji, miejscowości położonej na lewym brzegu Amazonki, w której istnieje jeden z większych w Montanji tartaków. Należy on do p. Otoniela Vela'y. Pracują u niego wyłącznie Indianie, których ten poczciwiec ubrał w spodnie i koszule, przypuszczając, że dokonał nielada cywilizacyjnego dzieła.

Już późnym wieczorem *Cahuapanas* dojechał do miejsca, w którym wody Ucayali łączą się z wodami Marañonu, a następnego dnia rano pruć już fale Ucayali. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że los wypłata nam wkrótce figla i że zbieg wielkich rzek ujrzymy po raz wtóry. Ale o tem później.

Już późnym wieczorem dojechaliśmy do Monte Carmelo, majątku p. Enrique Urresti'ego, Peruańczyka, towarzyszącego nam w podróży, w charakterze przewodnika, wyznaczonego przez prefekta departamentu Loreto. Urresti założył owe Monte Carmelo przed pięciu laty. Przedtem rosła tam gęsta selwa, taka sama, jaka jeszcze obecnie otacza majątek wokoło. Nad Ucayali nie przybył Urresti dobrowolnie. Do opuszczenia stron rodzinnych, położonych nad Urubambą, skłoniła go gwałtowna sprzeczka ze złym współnikiem. Przy pomocy 40 niewolniczych rodzin indyjskich wyrąbał na nowem osiedlu wielki szmat lasu, oraz zbudował wzdłuż założonych plantacyj trzciny cukrowej drogę kołową, mierzącą 6 kilometrów. Wszystkie jego

inwestycje, z budową drogi na czele, były możliwe jedynie przy pomocy bezpłatnej, niewolniczej pracy Indian, gdyż mała rentowość gospodarstwa rolnego w Montanji nie stałaby w żadnym stosunku do olbrzymich wkładów, potrzebnych na opłacenie pracy kilkudziesięciu par rąk ludzkich.

Jeszcze w ciągu dnia okazało się, że *Janka* zepsuła się ponownie¹ i że znowu trzeba ją reperować. Troszcząc się o dobry stan swego stateczku, postanowiliśmy nie wyruszać następnego dnia w dalszą drogę, lecz pozostać w Monte Carmelo i rozpocząć reperacje. Niestety, ani pierwszego, ani drugiego dnia nie udało się doprowadzić motoru do stanu używalności, bo prawdę mówiąc, nie znał się na nim ani p. Warchałowski, który łódź w Rotterdamie zakupił, ani mechanik polecony przez dowódcę floty wojennej w Iquitos, ani wogóle nikt. Na bezpłodnem rozbieraniu i montowaniu nieszczęsnego, nieco zębem czasu draśniętego motoru, traciłmy drogi czas, żyjąc w warunkach najgorszych z najgorszych. Największem utrapieniem była wielka kałuża, leżąca naprzeciw naszego miejsca postoju, która pomagała wprawdzie rósć wielkiemu łanowi ryżu, ale była jednocześnie prawdziwą wylęgarnią i niewyczerpanym rezerwuarem komarów. Ani jeść, ani chodzić, ani, co najgorsze, spać, nie można było spokojnie. Wprawdzie przejmujące ukąszenia i denerwujące swędzenie towarzyszyło nam również na Amazonce, ale w Monte Carmelo, tak, jak wogóle nad Bajo Ucayali, „pożycie“ nasze z komarami stało się nie do wytrzy-

¹ Jacht zakupiony przez p. Warchałowskiego w Europie i ochrzczony imieniem *Janka* przybył do Iquitos w stanie nie nadającym się do użytku natychmiastowego.

mania. Bezczyenne wysiadywanie, niezdolny upał i komary powodowały zdenerwowanie, ujawniające się w formie niemiłych wzajemnych przytyków. Nadmiar złego, dostałem na nodze jakiegoś grzybka tropikalnego, który utrudniał mi chodzenie, dr. Freyd leżał prawie nieprzytomny wskutek zatrucia organizmu, a por. Zarychta ledwie się ruszał wskutek przebytej w Iquitos malarji. Wszystkich przygniała gorący i wilgotny klimat równikowy, świadomość wielkich trudów, które rozłożyły się nam na drodze i niepewność tego, co na końcu swej ciężkiej podróży znajdziemy. Najgorszą była niepewność, czy nasz trud da jakieś pozytywne wyniki. W takich warunkach zepsucie motoru *Janki* wywarło na nas fatalne wrażenie. Mieliśmy jednak w tem nieszczęściu trochę szczęścia. Po czterodniowym bowiem bezskutecznym reperowaniu, gdy już zaczęliśmy zastanawiać się nad tem, czyby nie zrezygnować z korzyści, jakie fakt posiadania łodzi motorowej nam dawał, nadszedł zgóry rzeki parostatek *Clavero*, kursujący stale między Iquitos, a ujściem Tambo. *Claverm* dowodził ikiteńczyk, Gibraltarczyk z pochodzenia, dobroduszny grubas. Kapitan zgodził się chętnie zaholować *Jankę* do warsztatów w Iquitos, jak również zabrać dwóch członków ekspedycji i Urresti'ego.

Dnia 4 kwietnia, po pięciodniowej stracie czasu w Monte Carmelo, *Janka* wraz z pp. Gadomskim i Warchałowskim udała się w powrotną drogę do Iquitos. Umówiliśmy się w ten sposób, że niezależnie od tego, czy łódź da się naprawić, czy nie, mieli oni wrócić do Monte Carmelo w ciągu dziesięciu dni.

Dopiero wówczas, gdy *Clavero* wraz z *Janką* i dwoma naszymi kolegami zniknął za najbliższym zakrętem,

uświadomiłem sobie całą mizerję naszego położenia. Oto mieliśmy spędzić kilkanaście dni w tej nędznej i nudnej miejscowości, przepelnionej mikrobami malarji i ankilostomy. Parę miesięcy intensywnego, stałego posuwania się naprzód i kilka tygodni pracowitej krętaniny w Iquitos, odzwyczaiło mnie od bezczynności i wyczekiwania; pespektywa bezczynności była mi podwójnie przykrą.

Wkrótce po odejździe *Janki*, poczuł się znacznie lepiej dr. Freyd, natomiast por. Zarychta zaraził się wybuchłą w międzyczasie u miejscowych Indjan dysenterją amebową i już wcale nie opuszczał łóżka. Niepowodzenia z *Janką*, choroby i zły klimat przyczyniły się do tego, że czas pobytu nad brzegami dolnego Ucayali, a w szczególności w Monte Carmelo, wspominam prosto z obrzydzeniem.

Okolice Monte Carmelo są, jak to już zaznaczyłem wyżej, pokryte dziewiczemi lasami, zamieszkanemi przez indyjsko-hiszpańskich mieszańców, oraz resztki Indjan z plemion Remo i Pano. W głębi łądu ludzi niema. Indjanie-koczownicy zostali wytępieni przez poszukiwaczy kauczuku, a biali nie kwapią się bynajmniej do tych stron dalekich, pozbawionych wszelkiej komunikacji z wielką drogą wodną, jaką jest Ucayali i Amazonka. Naprzeciwno Monte Carmelo, na drugiej stronie rzeki Ucayali, rozciągają się tereny niczyje.

— Tamten brzeg — wyraził się o nich syn Urresti'ego — jest dziki; niema jeszcze swego pana.

To, co nie ma swego pana, jest w pojęciu mieszkańców Montanji dzikie. I naodwrot, to wszystko co ma właściciela, jest *civilizado*. Nawet Indjanie są tylko

dopóty *bravos* (dzicy), dopóki nie skłonią głowy przed białym panem.

Lasy nie obfitują tam w większą zwierzynę. Chodzą wprawdzie słuchy o jaguarach i tapirach, ale są to słuchy dość mętne, świadczące, że zwierzęta te trafiają się bardzo rzadko. Również świnie dzikie, pospolite w stronach dalszych, w okolicach Monte Carmelo należały do rzadkości. Jedynie ptactwa, a w szczególności wodnego, oraz papug — nie brakowało. Na każdym kroku można było zobaczyć dużego zimorodka, zwanego tam martin pescador (*Alcedininae*), mnóstwo odmian rybitw, tuki-tuki, rodzaj kurki wodnej, oraz stada czarnych ptaków, zwanych guardacavallo; nie brakowało też czarno-żółtych tkaczy, tkających wiszące gniazda, a także papug, oraz czapli szarych i białych. Spotykało się też czaple-egrety, obdarzone przez naturę strojnemi piórami, znanymi w Polsce pod nazwą rajerów. Z egretami spotkałem się po raz pierwszy podczas podróży do Paragwaju. Miałem wówczas okazję podejść stosunkowo blisko do olbrzymiej ich kolonii, tak licznej, że wzbudziła we mnie niepomierne zdumienie. Hałas, jaki czyniły, można było słyszeć na wiele kilometrów naokoło. W Peru nie natrafiłem nigdzie na taką kolonję, ale, niewątpliwie, muszą one tam również istnieć.

Na plantacjach Urresti'ego nietrudno też było natknąć się na kilka odmian kusaków (*Tinamidae*), niesłusznie tam zwanych kuropatwami lub przepiórkami, na paufie — ptaki wielkości indyka, oraz na wielkie orły i jastrzębie.

Rozdział X.

Bolesna przygoda w lesie.

Pewnego dnia, gdy Zarychta czuł się już dość nie-
źle, postanowiliśmy wraz z Ordą udać się na wycieczkę
do pobliskiej *cocha'y*, czyli jeziora, powstałego wsku-
tek zmiany koryta rzeki. Takie jeziora posiadają zwy-
kle połączenia ze swoją macierzą za pośrednictwem
naturalnych kanałów, zwanych tam *cano*.

W drogę wyruszyliśmy łodzią, wraz z dwoma wio-
ślarzami. Jeden z tych ludzi był stuprocentowym
Indjaninem z plemienia Kampa, drugi zaś metysem.
Indjanin nosił nader poetyczne, aczkolwiek mało wo-
jownicze imię — Postracha Kur. Był on wodzem
wszystkich niewolników Urresti'ego i gniewał się, gdy
nie zwracano się do niego per — kuraka.¹ Co do metysa,
to nie odznaczał się on niczem szczególnem.

Po kilkugodzinnej jeździe w górę wód rzeki Ucayali,
w czasie której zastrzeliliśmy kilka marcinów-rybaków
i kilka papug, dotarliśmy do ujścia kanału, prowadzą-
cego do jeziora.

Cano był wąski i ciasny. Gęsty las porastał oba
jego brzegi, a gałęzie wielkich drzew uwiły ponad
nim nieprzeniknione sklepienie. Tysiące lian wypu-
szczały ku dołowi niezliczone warkocze, które musie-
liśmy rąbać maczetami, aby utwóżyć drogę dla łodzi.
Rzadko, albo nigdy nie ukazywała się łódź na tym
samorodnym kanale leśnym. Dawniej, gdy brzegi dol-
nego Ucayali zaludniały wioski Remów i Panów, wi-
dywał zapewne wyprawy myśliwskie lub wojenne, ale

¹ Kuraka — wódz, kacyk.

teraz, gdy Indjan częściowo wycięto, a częściowo obrócono w niewolników, nikt nie mąci spokoju jego wód.

Przedzierając się z trudem przez roślinne zapory, posuwaliśmy się naprzód. Co chwila musieliśmy kłaść się na dnie łodzi, aby móc prześliznąć się pod potężnymi konarami, którym maczeta nie dałaby rady. Naokoło rozlegał się świergot drobniejszego ptactwa, przerywany od czasu do czasu cichym gwizdem olbrzymich jastrzębi, lub dziwacznymi głosami wielkich, nieznanym mi ptaszysk. Nad dżunglą przeciągały stada papug, wrzeszcząc i łopocząc skrzydłami. Ani jeden promień słońca nie był w stanie przedrzeć się przez sklepienie lian, gałęzi i liści. Tylko żaru rozpalonej kuli słonecznej nie potrafiły powstrzymać żadne zapory.

Po półtoragodzinnem przedzieraniu się w głąb lasu, zapytałem Postracha Kur:

— Kiedyż, nareszcie, dojedziemy do cocha'y.

Kuraka położył wiosło, schwycił za gałąź i przyciągnął łódź do brzegu. Przez długą chwilę rozglądał się wokoło uważnie, poczem wymamrotał coś do metysa. Metys kiwnął głową. Wówczas kuraka odepchnął łódź na środek kanału i wskazując palcem na niebo, rzekł, nie patrząc nawet na mnie:

— Słońce zejdzie za las, gdy ty i my dojedziemy do cocha'y.

Odbyliśmy krótką naradę.

— Jedźmy dalej — doradzał Zarychta — przenocujemy w lesie nad jeziorem.

— Róbcie, jak chcecie — deklarował swoje désintéressement Orda.

Co do mnie — wahałem się. Zdecydowane zdanie miał jedynie Postrach Kur.

— Nad cochę — mówił — jest „wiele wiele“ moskitów i „wiele wiele“ krokodyli. Wróćmy, nie nocujmy w tym lesie.

Przytakiwał mu metys.

W rezultacie postanowiliśmy jechać jeszcze z godzinę, a potem pośpiesznie wracać do Monte Carmelo. Jednak postanowienie człowieka napotyka w dżunglach amazońskich tyle przeciwności, że nigdy nie można być pewnym jego wykonania. Zaledwie przebrzmiały ostatnie słowa narady, aliści zdarzyło się coś, czego najmniej mogliśmy się spodziewać: napad os leśnych. Nie napad Indjan, nie krokodyli, czy jaguara, lecz właśnie drobnych, małych owadów. Jak na dziewiczą selwę, to dość skromnie!

Osy można spotkać niemal w całej Ameryce Południowej. Gniazda, podobne do gniazd os polskich, tylko znacznie większe, zawieszają osy amerykańskie na gałęziach, lub lokują w dziuplach drzew. Tubylcy opowiadają, że rody osie utrzymują stałą straż „zbrojną“, rzucającą się na każdą istotę, która wydaje się jej dla gniazda niebezpieczna. Tę samą gadkę słyszałem w Paragwaju, w południowej Brazylii, a ostatnio nad Ucayali. Miałem zresztą możliwość przekonać się na własnej skórze o jej prawdziwości. I to nie raz. Podczas podróży do Paragwaju w roku 1926 przechodziłem pewnego razu mimo starego drzewa, w którym mieściło się gniazdo os. Oczywiście, nie wiedziałem o tem i dopiero kilka bolesnych, a zupełnie niespodziewanych ukłuc fakt ten mi uświadomiło. Zaznaczam, że o drzewo nawet się nie otarłem, ale snąc „straż“ była tak czujna i tak podejrzliwa, że zaatakowała mnie wcześniej, nim miałbym czas okazać

jakieś wrogie dla gniazda zakusy. Podobnie miała się rzecz na bezimiennym kanale, prowadzącym do bezimiennego jeziora w Montanji. Osy napadły na nas zupełnie niespodzianie. Pierwsze ukłucie dostało się Ordzie.

— Aj! — wrzasnął przerażony myśliwy, nie mający pojęcia o tem, co się stało.

Niestety, napad nie był skierowany jedynie na Orde. Zawrzała przeraźliwym głosem również metys i syn Urresti'ego; coś podobnego do „o Jezu!“ wydał z siebie Zarychta, a ja, ja nie pamiętam, co tam wówczas mówiłem.

Krzyki i zamieszanie trwały nie dłużej, aniżeli kilka sekund. Przytomność umysłu Postracha Kur uratowała nas od ostatecznej „klęski“. Nie bacząc na osy schwycił on za wiosło i kilku potężnymi uderzeniami odsunął łódź na taką odległość, z której, według mniemania os, nie byliśmy już dla nich niebezpieczni.

Gdy później policzyliśmy ukąszenia, okazało się, że Orda nosił na sobie, ni mniej ni więcej tylko osiemnaście znaków, ja — osiem, Zarychta — kilka.

Napad nieznośnych owadów zniechęcił nas do przedłużania naszej wycieczki. Postanowiliśmy wracać. W powrotnej drodze przykryliśmy się szczelnie gumowemi płaszczami i ominęliśmy niebezpieczne miejsce szczęśliwie. Orda, jako najczęściej poszwankowany, odwrócił się i strzelił grubym śrutem w zawieszony na niskiej gałęzi gniazdo. Zaszumiało i zabrzączało w powietrzu, a my, nie chcąc narażać się na dalsze niebezpieczeństwo, oddaliliśmy się pośpiesznie od „zamosionej“ miejscowości, nie sprawdzając nawet efektu strzału.

Ból spowodowany ukąszeniami, w pierwszej chwili nader dokuczliwy, mijał bardzo prędko. Osoby o słabszej kompleksji organizmu są na działanie jadu mniej odporne i dostają zwykle gorączki. Z nas, jedynie młody Urresti i metys przypłacili atak os jednodniową chorobą. Reszta uczestników niefortunnej wyprawy myśliwskiej nie czuła po godzinie żadnego bólu, a po dwóch — i z opuchlizny nie pozostało śladu.

Na krótko przed zachodem słońca, znaleźliśmy się ponownie na Ucajali. W powietrzu panowała przedwieczorna cisza. Ptactwo układało się do snu. Co chwila przeciągały nad rzeką stada lor, lub pojedyncze pary guacamaya'i (Sittacae). Zarówno pierwsze jak i drugie należą do rodziny papug. Lory są mniejsze, o upierzeniu zielonem, guacamaya'e natomiast większe i wielobarwne. Lory ukazywały się wówczas w wielkich stadach, podczas gdy ich większe siostryce jedynie parami. Chcąc chociaż jako tako powetować sobie nieudane łowy nad jeziorem, postanowiliśmy zapolować na papugi, kurki wodne i „pawie leśne“. Te ostatnie nie mają nic wspólnego ze znanymi w Polsce pawiami. Są to wielkie, rude ptaszyska, odznaczające się wielką żywotnością i niesłychanie łykowały mięsem, któremu tylko z trudem mogą podołać takie żelazne instrumenty, jakiemi są zęby indyjskie.

Papugi obsiadły gałęzie drzew, pokrywających szczelnie każdą mieliznę, czy też wysepkę, a kurki zrywały się co chwila przed nami z wody. Każdy strzał przynosił czasem po dwa, a nawet trzy ptaki.

Już w nocy dotarliśmy zpowrotem do Monte Carmelo, a raczej do *Cahuapanasa*, na którym posiadaliśmy swoje stałe locum.

Rozdział XI.

Flirt z niewolnikami.

W oczekiwaniu na *Jankę* mijały nam dni monotonnie. Początkowo zwiedziliśmy dokładnie haciendę,¹ później bliższe okolice, aż wreszcie nie pozostało nic, nad polowanie i pogawędkę z niewolnikami. Zwłaszcza to ostatnie zaczęło mnie pociągać. Wiedziałem, że Urresti sprowadził swoich Kampów z nad Urubamby i że trzymał ich w karchach żelaznej dyscypliny. Chcąc, aby jak najrychlejsz zapomnieli o swej dalekiej ojczyźnie i swych starych, dzikich zwyczajach, zdarł z nich kuźmy² — strój narodowy, — zabronił wtykać we włosy pióra i malować twarze. Wzamian zato kazał im nosić jakieś stare, podarte perkalowe spodnie i coś, co tylko słabo przypominało koszule. Na głos gwizdka rozpoczynała się i kończyła praca, na głos gwizdka kładziono się spać i wstawano. Ciężkie życie wiedli niewolnicy w Monte Carmelo. Wzamian za kilkunastogodzinną codzienną pracę otrzymywali kawałek ziemi, na której mogli uprawiać w godzinach „pozasłużbowych“ potrzebne do życia produkty. W tym kraju, w którym leżą odłogiem bajeczne obszary ziemi dziewiczej, wynagrodzenie takie wyglądało na drwiny. Nam, cudzoziemskiej ekspedycji, wszystko przedstawiano w różowych kolorach. Usiłowano w nas wmówić, że Indianie otrzymują wynagrodzenie w sumie jednego sola dziennie, płacone częściowo w gotówce,

¹ Hacienda (hiszp.) to samo, co brazylijska „fazenda“ — duży majątek ziemski.

² Cushma — długa szata bawełniana, noszona przez większość plemion indyjskich w Montanji.

częściowo w naturze. Niestety, szereg rozmów, które z niewolnikami, pilnie zresztą strzeżonymi, przeprowadziłem, wykazał niezbicie, że nietylko nie otrzymują nigdy pieniędzy, ale nie widzą też prawie nigdy wynagrodzenia w naturze. Europejczycy wydają się niezrozumiałe, dlaczego Indjanin te warunki wytrzymuje i dlaczego nie ucieka do dżungli, gdzie nikt, prócz Boga i dzikich zwierząt, nie gości. Dwie są przyczyny, dla których tego nie robi. Pierwsza — to zaskakująca uczciwość tych ludzi, którym wystarczy powiedzieć, że za otrzymaną maczetę lub siekierę, której posiadanie jest marzeniem każdego dzikusa, musi pracować np. dwanaście księżyców, aby ten czas sumiennie odpracowali. Gdy dodamy, że *patron*¹ stale czemś obdarza swego niewolnika, nakładając mu coraz to nowe terminy pracy, to zrozumiemy łatwo, dlaczego Indjanin nie ucieka. Ale jest jeszcze druga przyczyna. Oto, po prostu, właściciel haciendy pilnuje ich, a w wypadku ucieczki ściga i srodze prześladowuje. Tacy kresowi plantatorzy mają ciężką rękę. Obawa przed solidarnym pościgiem i okrutnymi karami, o których krążą wśród ujarzmionych plemion legendy, doskonale pomaga do spotulnienia niewolników.

Indjanie z Monte Carmelo, „moi Kampowie“, jak mówił o nich Urresti, znajdowali się w położeniu nieco lepszym niż niewolnicy innych hacienderów, a w szczególności ludzie osławionego Pancho Vargasa z La Huairy, o którym będę pisał na dalszych stronach tej pracy. Niemniej jednak, los ich był godny pożałowania.

¹ Chlebobdawca, a także właściciel niewolników.

Czując do Indjan wielką sympatję, datującą się od lat młodzieńczych, a spotęgowaną bezpośrednio zetknięciem się z nimi w różnych krajach Ameryki Południowej, zainteresowałem się bliżej życiem garstki Kampów z Monte Carmelo. Pewnego dnia udałem się na rozległe pola haciendy, obsadzone trzcina cukrową, w poszukiwaniu samotnych chatek niewolniczych, porzucanych popod lasem. Skierowałem swe kroki ku pierwszej z brzegu. Była to buda, otwarta na cztery strony świata, w której jedyne urządzenie stanowiło podwyższenie do spania, sporządzone z elastycznych prętów bambusowych. Urządzenie to jest niezbędne, gdyż spanie na ziemi w krajach tropikalnych przedstawia poważne niebezpieczeństwo nawet dla Indjan. Właściciel tej nędznej chatki, Kamp, nazwiskiem Czauasi, siedział sobie wygodnie na zwalonym pniu drzewa. Dostrzegłszy mnie, zerwał się na równe nogi i coś tam zaczął maczetą wycinać. Był napół nagi. Jego brązowe ciało lśniło w słońcu, a pod skórą można było dostrzec zwoje potężnych mięśni. Podeszedłem bliżej. Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi i nie przerywał machania maczetą ani na chwilę. Gdy pozdrowiłem go po hiszpańsku — nie odpowiedział, ale gdy uczyniłem to samo w jego języku rodzinnym, podniósł głowę i wymruczał:

— Hee ajnirana!

Usiadłem w chacie i wezwałem go, aby uczynił to samo. Spełnił moje życzenie w milczeniu.

— Czauasi — zapytałem go — gdzie twoja *cy-naany* (kobieta)?

Indjanin myślał przez chwilę nad moim pytaniem, jakby układając w głowie odpowiedź, poczem odrzekł krótko:

— W ziemi.

Spojrzałem po wnętrzu chaty. Znać było na niej opuszczenie i ten charakterystyczny brak „ręki kobiecej“, zaznaczający się równie wyraźnie w koczuwisku indyjskim, jak i w salonie wielkomijskim.

— Sam jesteś?

Czauasi potrząsnął głową przecząco.

— Nie, mam syna.

I chcąc mi go zapewne sprezentować, krzyknął donośnie.

— Kirysy! Kirysy!

Jakby czekając na wezwanie, wyłusknął się z pobliskich krzaków mały chłopiec indyjski, i śmiałym krokiem zbliżył się do chaty.

— To jest syn mój i mojej żony — rzekł Czauasi, wskazując na chłopca.

Indjaniatko było śliczne. Stało nagie, z miniaturowym łukiem i strzałami w ręku, niczem Amor ze starych malowideł. Stał spokojnie i śmiał się.

— Cóż to, Kirysy, tak mały jesteś, a już chodzisz na polowanie? — zapytałem.

Chłopiec potrząsnął głową i spojrzał na ojca.

— On nie zna twojego, wirakucze,¹ języka.

— A strzelać z łuku umie?

Czauasi kiwnął głową, rzuciwszy przytem na mnie nieco zdziwione spojrzenie.

— No, to niech pokaże, co umie — rzekłem.

I teraz nastąpiło coś dziwnego. Ten mały, najwyżej ośmioletni bachor, naciągał łuk ruchem tak pewnym

¹ Wirakucze — nazwa nadawana ludziom białym przez wszystkich Indjan. Jest to nazwa pełna szacunku.

i trafiał w odległe, drobne cele tak niezawodnie, że wywołało to we mnie zdumienie.

— Czauasi — zapytałem — kiedy ten Kirysy zdążył nabrać tej wprawy?

Indjanin zdawał się nie rozumieć pytania. Widocznie pojęcie doskonałego władania łukiem było w nim tak skojarzone z każdym mężczyzną, czy choćby dzieckiem, że moje zdumienie wywołało w nim również zdumienie. Skąd umie strzelać? No, umie i już. Każdy przecież umie władać łukiem.

Dałem chłopcu dziesięć centów peruańskich. Wziął je skwapliwie i począł niezwłocznie wiercić w nich dziurkę. Jeszcze przed mojem odejściem powiesił je sobie na szyi. Szczęśliwy kraj, w którym pieniądz służy jedynie do upiękśzenia nagiej piersi dziecięcej!

Powracając do *Cahuapanasa*, spotkałem obdartego Indjanina, który wyglądem swym, różniącym się od licznych w Monte Carmelo Kampów, wzbudził moje zainteresowanie.

— Coś ty za jeden? — zapytałem.

Indjanin przestraszył się.

— Nie bój się — rzekłem — nic złego ci nie zrobię. Spojrzał na mnie nieufnie.

— Jestem Amahuaca — rzekł.

— Amahuaca? — zdziwiłem się.

— Tak, panie, jestem tu jedynym człowiekiem z tego wielkiego plemienia.

Obecność Indjanina z plemienia Amahuaca zdziwiła mnie dlatego, że zamieszkuje ono tereny nad górnymi biegami prawych dopływów Ucayali i na wybrzeżach tej ostatniej spotkać jego przedstawicieli można tylko bardzo rzadko.

Ciekawe to plemię należy do wielkiej grupy plemion ukajalskich, mówiących językami podobnemi, którą prof. dr. Sievers nazywa Pano-gruppe. Z plemion loretańskich zalicza się do niej, oprócz Amahuakanów, również Czamów, Setebów, Panów, Szypibów i Kunibów. Wiele szczepów amahuakańskich prowadzi do dzisiaj żywot wolny. W obawie przed ich napadami biali nie osiedlają się w głębi łądu, między rzekami Yurua i Ucayali.

Korzystając z okazji, która zresztą powtórzyła się jeszcze raz w La Huaira nad Urubamba, obejrzałem dokładnie spotkanego Amahuaca. Był to człowiek wysoki i dość szczupły. Cerę twarzy posiadał jasno-żółtą, a więc podobną do cery przedstawicieli ukajalskich plemion pokrewnych. Od tych ostatnich różnił się jedynie wyniosłością i smukłością postawy. Uwłosienie na twarzy posiadał stosunkowo bujniejsze od Kampów, ale, podobnie jak oni, niszczył je zawzięcie.

Siadłem z dzikusem na jakimś pniaku i po długich ceregielach wydobyłem z niego następującą historję:

— W Monte Carmelo — opowiadał — jestem niedawno. Może tyle księżyców (mówiąc to, pokazał rozczapierzone szeroko wszystkie palce u obu rąk), a może więcej. Mieszkałem daleko, w pobliżu kraju, który wy nazywacie: Brazylja. Żyłem spokojnie. Strzały moje spotykały codziennie tłuste paukary (dzięcioły) i ronsoki (*Hydrochoerus capybara*), moje sidła były mocne, w mojej chacie drwiłem sobie z deszczów i burz. Dwie wierne kobiety warzyły mi strawę i doglądały półka jukowego. Byłem szczęśliwszy od potężnego manicy (jaguar) i od krokodyla. Jak wolny żóraw błąkałem się po plażach, jak psie szczenię śpiewałem i żyłem. Byłem tłusty...

Amahuaca westchnął i spojrzał po swoim wychudłym, pokrytym warstwą brudu, ciele.

— Patrz, wirakucze — ciągnął dalej — nawet śladu z tego nie pozostało na moich barkach i udach. Chudy jestem, jak stary żółw.

Zamilkł.

— Mów dalej — zachęcałem Indjanina — mów, czyj Bóg sprowadził cię tutaj, nad Ucayali.

Indjanin obejrzał się trwożnie i wyszeptał mi w same ucho:

— To pewnie twój, wirakucze, biały Bóg, wtrącił mnie w to nieszczęście. Nie jestem pewny, ale tak mi się zdaje. Bo, tylko pomyśl — dodał po chwili — byłem zupełnie szczęśliwy, gdy nagle wszystko się zmieniło.

— Jakto?

— Nadbiegło nocą dużo, dużo wirakuczów i jeszcze więcej naszych wrogów Kampów. Nic nie mówili, tylko jedni pochwycili mnie, inni moje kobiety, a jeszcze inni podpalili chatę.

Indjanin zamyślił się.

— To była *coreria*. Udała się wirakuczom. I tak skończyło się moje szczęście. Nie wiem nawet, gdzie moje dwie wierne, tłuste kobiety się znajdują. Mam teraz patrona i dla niego pracuję. Pole trzciny cukrowej i pole bawełny wyciągnęło ze mnie wszystkie siły. Spójrz na te krzewy, jak bujnie rosną. To moja i moich braci siła w nie wstąpiła.

Zamyśliłem się. Historia ta brzmiała jakoś dziwnie niewspółcześnie i nieprawdziwie. Ale jestem pewny, że Indjanin nie kłamał. *Corerias*, które dziesiątkowały Indjan dorzecza Amazonki w czasie rozkwitu eksploa-

tacji kauczuku, zdarzają się stosunkowo często i dzisiaj. Urządzają je wielcy posiadacze ziemscy, oraz ludzie, zajmujący się splanem drzewa i zbiorem płodów dżungli. Na wyprawę udaje się zwykle kilku białych i kilkunastu, a czasem i kilkadziesiąciu Indjan, oczywiście, z innego plemienia, aniżeli to, na które wyprawa jest zamierzona. Urresti opowiadał mi, że pewnego razu zrobił szereg wypraw w głąb tak zwanego Gran Pajonalu, zamieszkanego przez Kampów, które dały mu w rezultacie około 1500 niewolników obojga płci. Ilu Indjan straciło przytem życie, nie mówił, natomiast chętnie przechwalał się ranami, które z rąk Kampów otrzymał.

Rozdział XII.

Co się z nimi stało?

Po dwunastodniowym bezskutecznem oczekiwaniu na powrót *Janki*, ogarnął nas niepokój. Co się mogło przydarzyć naszym towarzyszom? Dlaczego nie wracają? Do Iquitos dotarli zapewne szczęśliwie, ale później... Co się stało później? Nie wąpiliśmy, że komandor José Carillo, dowódca flotylli wojennej, dołoży wszelkich sił, aby motor doprowadzić do stanu używalności, ale przecież w drodze powrotnej do Monte Carmelo mogło się przydarzyć nowe nieszczęście. Kto wie, może nasi towarzysze koczują gdzieś na bezludnem wybrzeżu, wypatrując napróżno pomocy!... Przypuszczenie to napełniło nas niepokojem. Sądząc, że dalsze oczekiwanie w Monte Carmelo może spowodować jakieś nieznanne jeszcze nieszczęście, uda-

ostatni posiadają, rzekomo, lekarstwo w postaci jakichś ziół, których napar, przyjęty do wewnątrz, powoduje śmierć *canero'a*. W literaturze podróżniczej znajdujemy opisy zarówno samych *canero'ów*, jak i opisy ich trochę nienaturalnej działalności. Między innymi wspomina o nich uczoney francuski, wspominamy już Le Cointe.

Miejsce zlewu Ucayali z Maranon'em, szerokie na kilka kilometrów, wygląda imponująco. Jak okiem sięgnąć, ciągną się niezmierzone, głębokie tonie rudawych wód. Brzegi pokrywa szczelnie ciemno zielony, dziewiczy las, wysuwając ku wodom wysokie trzciny i satiki.¹ Jedyńm mieszkańcem białym jest tam wspomniany już Serapio Zarazeta, a jedynymi budowlami, jego dwie zagrody.

Rzecz charakterystyczna: w Perseverancji jest bardzo mało komarów. Przez te dni, które tam spędzieliśmy, nie było ich prawie zupełnie. Nie wiem, czemu to przypisać, gdyż wybrzeże jest dość błotniste, a nawet zalewne.

Na trzeci dzień po przybyciu do Perseverancji, usłyszeliśmy szum motoru, a następnie ukazała się naszym oczom *Janka*. Na jej wysokim maszcie powiewała biało-czerwona bandera z dumnym ptakiem pośrodku. Aż mnie coś za serce z radości schwyciło, że oto tutaj, o 4 stopni od równika, na wodach największej rzeki świata, powiewają ku mnie polskie barwy. Chciało mi się zakrzyczeć z radości, podobnie jak czynią to nasi czerwoni bracia, ale obecność kilkunastu marynarzy peruańskich powstrzymywała mnie od tych zbyt bezpośrednich oznak zadowolenia.

¹ Drzewka, rosnące na terenach ulegających zalewom.

Przy sterze stał Warchałowski, a że to w starym podróżniku płynie krew nielada, przeto jął zataczać koło za kołem przed oniemiałą z zachwytu załogą *Cahuapanasa*, która, jak żyje, nigdy takiej sprawnej i eleganckiej w sylwetce łodzi nie widziała.

Przywitaliśmy się serdecznie, jak rzadko.

Przedewszystkiem, chcieliśmy dowiedzieć się, dlaczego nie wracano tak długo. Różne się na to złożyły przyczyny. Bo i mechanika nie było i nikt w całym mieście nie mógł się na motorze „wyznać“, ale, przedewszystkiem, miało umaczać palce w tej zwłoce... ościenne państwo. Nie wiem, czy należy włożyć to „między bajki“, czy też wersji uwierzyć, ale fakt pozostaje faktem, że ktoś tam coś stałe w motorze psuł. Możliwe, że jedno z państw, które w Iquitos głośno wymieniano, chciało wszelkimi sposobami, może nie tyle polskiej kolonizacji przeszkadzać, ile wogóle republice peruańskiej szkodzić. Mniejsza z tem.

Niezwłocznie po przybyciu *Janki* poczyniliśmy niezbędne przygotowania i poczekawszy ze dwie godziny na powrót kpt. Narvaeza, który wraz z kilku członkami ekspedycji udał się poprzednio na wycieczkę w górę Maranonu, opuściliśmy *Perseverancję*.

Teraz już rozpoczęliśmy podróż na dobre.

Rozdział XIII.

W gnieździe zarazy.

W trzydzieści kilka godzin po opuszczeniu *Perseverancji* dotarliśmy do miasteczka Requeny, położonego w pobliżu ujścia rzeki Tapiche. W Requena znaj-

duje się klasztor franciszkanów bosych, oraz klasztor zakonnice, które zapomniałem zapytać, jakiej regule są podporządkowane. Księża utrzymują szkołę męską z internatem, zakonnice taką samą żeńską. Pobiera tam naukę około 300 dzieci z najodleglejszych zakątków Montanji. W klasztorze przebywa znany w Peru szeroko misjonarz, padre Alemany, nawracający Indian już przez lat pięćdziesiąt pięć. Dzisiaj jest to dziewięćdziesięcioletni staruszek, stojący u kresu swego życia. Otacza go wielki szacunek. Alemany jest autorem słownika języka szypibo, wydanego w Limie.

Requena jest obok Contamany jedyną miejscowością na brzegach Ucayali, która chociaż coś niecoś przypomina małe miasteczka europejskie. Są tam jakieś ślady uliczek, a przedewszystkiem są sklepy. Ludność, oprócz dzieci z internatów i braci zakonnej, wynosi około 60 rodzin. Nigdy nie zapomnę pompy, z jaką przyjął nas tamtejszy *gubernator*.¹ Otóż w chwili, gdy wyszliśmy na ląd, rozległy się dźwięki trzech bębnow i dwóch piszczałek, przy których powitał nas ten wysoki urzędnik. oraz jeden z księży. Gdy skierowaliśmy swe kroki do miasteczka, orkiestra ruszyła za nami i towarzyszyła nam aż przed dom zakonny, gdzie wykonawszy jeszcze kilka rozdzierających uszy *kawałków*, rozeszła się.

Księża przyjęli nas bardzo uprzejmie. Nietylko pokazali to wszystko, co do pokazania mieli, ale także opowiedzieli o najsłynniejszych swoich zamierzeniach i projektach. Zdziwiła mnie obecność w tej dziurze małej drukarni, w której księża wydawali swój *Głos*

¹ *Governador* — godność podobna wójtowskiej w Polsce.

Puszczy (La voz de selva) i drukowali książki do nabożeństwa. Dumą i chlubą zakonników była montowana właśnie elektrownia, która miała oświetlać wszystkie budynki zakonne, a także i część miasteczka.

W Requena dostałem od jakiegoś nieznanego Indianina miłe zwierzątko, które później nazwałem Miś, a które dzisiaj jest prawdziwą ozdobą warszawskiego ogrodu zoologicznego. Jakiś tam uczoney dał mu nazwę *Nasua socialis*, a znowu któryś z naszych rodaków przetłumaczył to na zdeb towarzyski, lub ryjkonos. W Peru nazywają je rozmaicie, nad Ucayali — czoni (choni). Młody ryjkonosik żył sobie w puszczy szczęśliwie, aliści pewnego razu wpadł w zdradziecko zastawione sidła i dostał się w nielitościwe łapy dwunogich istot. Wpadł w nie tylko dlatego, że był młody, a więc niedoświadczony, żyje natomiast dotychczas też tylko dlatego, że popadł w niewolę jako smarkacz, gdyż starsze nie potrafią przystosować się do zmienionego trybu życia i giną. A tymczasem Miś ma doskonały apetyt, cieszy się doskonałym zdrowiem i... żyje, Ale ileż to trudu kosztowało przetransportowanie go do Polski! Ileż to razy wydawało mi się, że już po nim, że zginął bez śladu, to znowu, że się utopił, to zmarzył w Kordyljerach, ale, w rezultacie, jakoś tam do Warszawy dojechał.¹

Podczas czterech dni drogi, które dzieliły Requenę od gniazda wszelkich chorób równikowych, od Mahuiso, na uwagę zasłużyła hacienda Puerto Enrique, własność p. Schütta, oraz jego wspólnika, p. Saco. Obszar, który ten majątek obejmuje, wynosi w przybliżeniu 50 ty-

¹ W rok po powrocie z Peru ofiarowałem go warszawskiemu ogrodowi zoologicznemu, gdzie też dotychczas się znajduje.

sięcy hektarów. Pomimo posiadania takich rozległych włości, wspólnicy mieszkają, jak nędzarze. Zabudowania „dworskie“ prezentowały się tak, jak nasze mocno podupadłe szopy, chlewy i kurniki, a sam dwór stanowczo bardziej przypominał stary kresowy „świronek“, aniżeli budynek mieszkalny. Don Enrique Schütt, mieszaniec peruańsko-niemiecki, jest sympatycznym typem wiejskiego, nieco krzykliwego hreczkosieja. Pana Saco nie poznałem, gdyż był nieobecny. Pomimo pozorów ubóstwa, właściciele haciendy są bogaczami. Powiedziały mi o tem olbrzymie tratwy najprawdziwszego mahoni, cedru, lauru etc., które czekały na sposobny moment spławu do Nanay, gdzie ostrzyły sobie na nie zęby amerykańskie piły tartaczne.

Gdyby mi ktokolwiek powiedział przed przybyciem do Mahuiso, że może istnieć na świecie miejscowość, w której co najmniej 90 procent ludności jest chora i to chora dość poważnie — wyśmiałybym go. Niestety, miejscowości takie są, i do nich trzeba właśnie zaliczyć nieszczęsne Mahuiso. Jest to osada, położona na czarnych jak smoła trzęsawiskach, otoczona lasami podlegającymi zalewom, i chaszczami. Pomimo słońca i upału, ulice tej miejscowości toną w błocie. Cuchnące wyziewy dochodziły z każdej chaty i wionęły nawet wprost od ziemi, na której, w błocie, walały się całe tonny zgniłych odpadków jedzenia, ekskrementy świń, drobiu i ludzi. Z takiego to gnoju wyrastało kilkadziesiąt chat bambusowych, krytych liśćmi, które służyły za schronienie dwu setkom zbiedzonych, nieszczęśliwych ludzi. Na wieść, że na *Cahuapanasie* jest lekarz, wyległo na brzeg wszystko, co się jeszcze w tem błocie mogło ruszać. Napracował się tam doktor Freyd

niemało! Staszliwa lejszmanioza, wrzód tropikalny, syfilis, pian, ankilstomiaza, malarja — wszystko to zbiegło się z całej Montanji na zgubę mieszkańców Mahuiso. Napatrzyłem się tam tylu okropnym ranom, tylu cierpieniom i nieszczęściom, że świat egzotyczny, tak piękny pozornie, a tyle kryjący w sobie straszliwego zła, zszarzał mi jakoś i zbladł.

Zapytałem miejscowego gubernatora:

— Czemu tutaj, w tej ohydnej, śmierdzącej dziurze gnieździ się tylu ludzi. Czyż niema w Montanji miejsc zdrowszych?

Usłyszałem na to odpowiedź, która kazała mi długo myśleć nad wielkimi wartościami, jakie kryje w sobie dusza neo-Latynów amerykańskich.

— Bo, panie — odpowiedział — tutaj jest szkoła.

Jak mi później mówił doktor Freyd, całe to tak zwane Bajo Ucayali, a w szczególności Mahuiso, jest rozsadnikiem wszelkiego rodzaju chorób o charakterze zakaźnym. Należałoby tę osadę spalić do cna, a ludzi przenieść w inne zdrowsze miejsce, których w Montanji nie brakuje.

Dnia 21 kwietnia zapisałem w swoim notatniku: „od rana widać góry“. Dla człowieka, który przebył półpięta tysiąca kilometrów bez widoku najdrobniejszego nawet wzgórza — siniejące woddali potężne pasmo górskie jest czemś niesłychanie ponętne. Góry, które wówczas dostrzegliśmy, nazywają się Sierra de Hualaga i stanowią dział wód dla rzeki Ucayali i Huallagi.

Tego samego dnia, w którym opuściliśmy Mahuiso, dotarliśmy do Orellany, miejscowości położonej na zielonych, malowniczych pagórkach. W przeciwieństwie do Mahuiso, powietrze tu czyste, świeże i zdrowe.

Nawet sama osada ma charakter miły i wdzięczny. Nie też dziwnego, że przyjeżdża do niej wiele osób z pobliskiej Contamany na odpoczynek, względnie dla poratowania zdrowia. Jeszcze przed niedawnym czasem funkcjonowała tu stacja telegrafu iskrowego, która jednak została przeniesiona do Yurimaguas, miasteczka o większem znaczeniu.

Za Orellaną postanowiliśmy puścić w ruch motor *Janki* i w ten sposób pomóc dość niedołożonej maszynie parowej *Cahupanasa*, która sapała, jęczała, piszczała, ale więcej nad 6—7 kilometrów na godzinę ugryźć nie mogła. Przy pomocy tedy naszej benzyny udało się monitorowi przebyć przestrzeń, dzielącą Orellaną od Contamany, znacznie szybciej, aniżeli mógłby tego dokonać sam.

Dużo opowiadano nam w Iquitos o Contamanie, o jej wielkości, ruchu i znaczeniu, to też zbliżaliśmy się do niej z odpowiedniem namaszczeniem w duszy.

Miała to być ostatnia wyspa cywilizacji na naszej drodze. Dalej mieliśmy spotykać już tylko nieliczne osady i pojedyncze haciendy. W tamtych odległych stronach, służących za ostatnie schronienie dzikiemu zwierzowi i dzikim ludom koczowniczym, samotność naszą miały przerywać jedynie krokodyle, warzęchy i delfiny rzeczne.

Rozdział XIV.

Od Contamany do Rio Pispui.

Contamana jest stolicą jednej z trzech prowincyj, na jakie departament Loreto się dzieli. Prowincja ta nazywa się Ucayali i obejmuje tereny nad brzegami rzeki tej samej nazwy od ujścia Tapiche do Boca del

Tambo. Pomimo jednak tego swego stołecznego charakteru posiada zaledwie 1800 mieszkańców. Podobnie jak Mahuiso, Contamana nie leży w miejscu o klimacie zdrowym. To też nie brak tu chorych, a jedyny lekarz, dr. Castillo, ma niemało roboty. Nie od rzeczy będzie w tem miejscu nadmienić, że nad całym biegiem rzeki Ucayali (ca 1900 km) dr. Castillo jest jedynym przedstawicielem swego zawodu. Choroba jest w każdych warunkach rzeczą niemiłą, ale, mam wrażenie, w prowincji Ucayali musi ona być stokroć nieprzyjemniejszą, aniżeli gdziekolwiek bądź indziej.

Wszystkie zapowiedzi, wychwalające Contamanę i opisujące ją, jako miasteczko „wcale, wcale“, okazały się fałszywe. Jest to osada bardzo mała, składająca się z kilku szeregów chat bambusowych i kilku domów murowanych. Nawet sam „jefe militar“ prowincji, kpt. Washington de los Rios, sympatyczny zresztą skądinąd człowiek, urzęduje w nędznej budzie, absolutnie nie przypominającej ludzkiego domu. O kredyty na jaki taki dom dla podprefektury miejscowej stara się usilnie i oddawna, o czem miałem możność przekonać się z raportów oficjalnych, sam prefekt departamentu, płk. Molina Derteano. Starania te nie zostały jednak uwieńczone rezultatem pomyślnym i urzędowanie odbywa się po dawnemu, w czemś, co może przypominać wszystko, ale nie dom w europejskiem tego słowa znaczeniu. Należy jednak przyznać, że handel tego miasteczka znajduje się w stanie kwitnym. Liczni kupcy, skupujący od mieszkańców lasów kauczuk, yarinę,¹ bawełnę, kakao etc., mają tu swoje

¹ Marfil vegetal — roślina kość słoniowa.

dobrze zaopatrzone sklepy, w których można dostać wszystkiego, na co w tych stronach istnieje zapotrzebowanie.

W Contamaniu zabawiliśmy krótko. Zaledwie kilka godzin. Gdy tylko dr. Freyd skończył konferencję z dr. Castillo, która, jak twierdził, dała mu dużo cennych informacji, kpt. Narvaez zatrafił przeraźliwie na okrętowej syrenie i niezwłocznie ruszyliśmy dalej.

I znowu popłynęły dni monotonnej jazdy po olbrzymiej rzece. Po obu brzegach rozciągały się wciąż jednakowe szeregi drzew, przetykane gęstym podszyciem trzciny, bądź też żółciły się długie wstęgi mielizn. Tylko życie ptasie stało się znacznie więcej ożywione, aniżeli nad Amazonką. Niewątpliwie, miała tu swój wpływ inna pora roku, która w czasie podróży z Iquitos zmieniła się z „lata“ w „jesień“. Nad rzeką przeciągały niezliczone stada machaco'ów (*Mycteria americana*) i yaguargarça's czyli warzęch (*Plataleinae*), przybywających tu na porę suchą z Ekwadoru. Zalegały one wszystkie plaże nadbrzeżne, zrywając się do lotu dopiero wówczas, gdy stuk maszyny parowej zaczynał dochodzić ich z nazbyt bliska. Wraz z nimi podrywały się ociężałe, tłuste paty (*Cairina moschata*) i wysmukłe szare czaple. Wślad za ptactwem wyległy na plaże krokodyle. Co chwila któryś z marynarzy zwracał naszą uwagę na jakiegoś wygrzewającego się na słońcu w ciepłym mule *lagarto*. Niejeden z tych złośliwych potworów zginął z naszej ręki, niejeden liże się z ran może jeszcze dotychczas. Ucayali wydało mi się jakieś inne, mniej dzikie, aniżeli Amazonka. Jedyne chrapanie delfinów rzecznych (*Inia amazonica*) przypominało, że płyniemy po falach, które toczą się

nie dokąd indziej, jak właśnie do nienasyconej, wiecz-
nie spragnionej Rzeki-Morza.

Przez taki to kraj wesoły, ożywiony obecnością i głosami tysięcy ptactwa wodnego, które pościagało tu z nieprzeliczonej ilości jeziorok i drobnych strumieni, służących im w okresie pory deszczowej za żerowiska, płynęliśmy na starym *Cahuapanasie*. Teraz, gdy susza zaczęła odsłaniać olbrzymie plaże nad wielką rzeką, wszystkie stworzenia rzuciły się ku nim, ku tym polom, na których zdobycie tłustej rybki, ślimaka, lub kraba nie przedstawia żadnej trudności. Wśród ptasiego pospólstwa nie brakło też i arystokratki — białej czapli, posiadającej w ogonie i na grzbiecie cennie bardzo w Europie rajery. W czasie pobytu na Ucayali udało mi się zebrać nieco tego cennego pierza. Dość spory jego pęczek upiększa moje zbiory egzotyczne.

Dnia 23 kwietnia *Cahuapanas* przybił do brzegu w miejscowości Yanchamayo, skąd do rzeki Pisqui, stanowiącej północną granicę koncesji terenowej, ofiarowanej p. Kazimierzowi Warchałowskiemu przez rząd Peru, było nie dalej, jak dwie do trzech godzin drogi. W tej to miejscowości postanowiliśmy pozostawić kapitana Narvaeza wraz z jego monitorem, a sami ruszyć na *Jance* w górę rzeki Pisqui.

Tak też i zrobiliśmy.

Okolo południa wyruszyliśmy z Yanchamayo w towarzystwie mechanika, sternika i dwóch marynarzy. Po półtoragodzinnej jeździe dotarliśmy do miejscowości Atahualpa, położonej na lewym brzegu Ucayali, w odległości 10 km od ujścia Pisqui. W Atahualpie zastaliśmy jedynie syna właściciela haciendy, oraz nie-

wolników (Czamów i Kaszybów), którzy pracowali przy wyrobie podkładów kolejowych dla mającej się budować drogi żelaznej z Pucalpy do Kordyljerów i Limy.

Podczas całej podróży udało się nam widzieć Indian z plemienia Kaszybo jedynie w Atahualpie. Jest to lud bardzo dziki i, jak mówią, ludożerczy. Nie został jeszcze ujarzmiony przez białych, to też w niewoli jest okazem bardzo rzadkim. Mieszkają oni nad górnymi biegami lewych dopływów Ucayali (od Pachitei do Maranonu). Ci, których spotkaliśmy w Atahualpie, przedstawiali się jako ludzie tężdy, zdrowi i silni. Ich rozrośnięte torsy i rozwinięte bicepsy zdradzały wielką siłę, a prawdopodobnie i zdrowie. Kolorem skóry nie różnili się wiele od dobrze opalonego warszawiaka, tylko szerokie twarze o grubych rysach, oraz małe, nieco skośne oczy, i twarde, niemal granatowe włosy — nadawały im wyrazu charakterystycznego, który zdradzał na pierwszy rzut oka pochodzenie indyjskie. Z nadmiaru kokieterji mieli oni część twarzy pokrytą tatuowaniami i malowidłami. Wzory przypominały nieco układ parkietowej posadzki europejskiej. Kaszybowie nie lubią Czamów, ale snąć niewola, a raczej może bat dozorca, przytępił wstręt do odwiecznych wrogów, bo pracowali wspólnie i napozór zgodnie.

Właściciel Atahualpy nazywa się Cesaro Odissio. Podobno nie ma on tytułu własności na wielkie obszary ziemi, które eksploatuje, niemniej jednak pretenkuje sobie do nich rości. Między innymi, uważa się on, powtarzam to za jego synem i pracownikami, za właściciela ziem, leżących po obu brzegach rzeki Pisqui. Na tych terenach posiada około 400 niewolników, Cza-

mów i Kaszybów, którzy spławiają dlań z najdalszych dopływów cenne drzewa, oraz zbierają we właściwej porze kauczuk, balatę i yarinę. Cesara Odissio należałoby zaliczyć do jednego z tych niewygodnych dla polskich koncesjonariuszy sąsiadów, którego trzebaby było pozbyć się, bądź to drogą wykupu jego pretensyj, bądź też drogą policyjną. Człowiek, mający na swe skinienie czterysta uzbrojonych par rąk, nie jest dogodny, zwłaszcza, o ile miałby być z nowego porządku rzeczy nad rzeką Pisqui niezadowolony.

Po zwiedzeniu Atahualpy, na którą składają się dwa domki bambusowe, będące „rezydencją“ właściciela, oraz kilka chat dla niewolników, wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Zaraz za siedzibą pana Odissio'a wjechaliśmy na wielkie rozlewisko. Odnosiłem wrażenie, jakgdybym jechał nie po rzece, ale po olbrzymiem jeziorze. Na nieszczęście ster dzierżył pan Warchałowski, który nie wyczuwając głębokości, osadził nas bardzo rychło na mieliźnie. Motor porykiwał groźnie, ale, ani rusz, nie mógł łodzi z mielizny ruszyć.

Obejrzałem się wokoło.

Ze wszystkich stron widniały puste, bezludne brzegi, poroste bądź zagajnikami satikowemi, bądź chikotzą,¹ bądź też zbitą gęstwą zwyczajnej dzungli. Atahualpa już dawno znikła na horyzoncie, a wokoło nie widniał najmniejszy nawet ślad siedziby ludzkiej. Humory nam trochę skwaśniały, ale na fantazji nic nie straciliśmy. Po długich debatach i wypróbowaniu przeróżnych, jedynych i świetnych metod, przyszło

¹ Rodzaj trzciny.

nam na myśl zaczepić gdzieś kotwicę i, nakręcając łańcuch, łódź z mielizny powoli ściągać. Tak też niezwłocznie zrobiliśmy i po godzinnej zwłoce wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Ujście Pisqui mierzy około 150 metrów szerokości. Brzeg lewy jest przy ujściu płaski, zarosły satikami, co świadczy, że ulega zalewom. Brzeg prawy, koncesyjny, jest nieco wyższy i o ile zalewom ulega, to zapewne tylko na czas krótki. Tak, jak i brzegi Ucajali, brzegi Pisqui pokryte są dziewiczym lasem. Bierze ona swój początek w górach Cerro de Campana i ma być, według Stiglicha¹, dość daleko wgórze biegu spławna. Co do tej spławności, to mam poważne zastrzeżenia na podstawie opowiadań ludzi, znających tę rzekę. Fakt pozostaje faktem, że jeszcze żaden parowiec nie przeciął jej wód dziewiczych.

Na brzegach Pisqui mieszkają Szypibowie i Kaszybowie. Biali pamiętają dotychczas, że przodkowie tych Indjan wycięli w pień i obrócili w perzynę spore miasteczko Charasmaná, leżące wpobliżu ich siedzib. Działo się to w r. 1809. Wprawdzie później wojowali Kaszybowie z białymi niejednokrotnie, ale już nie na tak wielką skalę, jak wówczas. Dzisiaj kauczuk nie ma już tej ceny, co przed laty 20-tu, biali nie śpieszą się do odległych siedzib indyjskich, to też Kaszybowie są spokojni i dobrzy.

W Atahualpie mówiono nam, że na lewym brzegu Pisqui, wpobliżu ujścia, ma znajdować się *trapiche*, czyli domowa gorzelnia do pędzenia wódki z trzciny cukrowej. Postanowiliśmy odwiedzić jej właściciela —

¹ Diccionario geografico del Peru.

metysa. Przeszkodziło nam jednak nowe utknięcie na mieliźnie i wynikła z tego powodu nowa zwłoka. Po wyjechaniu na wody głębokie, zaniechaliśmy poszukiwań *trapiche* i skierowaliśmy się w górę rzeki. Po przebyciu jakichś sześciu kilometrów, zwrócił się do mnie mechanik, który rzekę znał wybornie i rzekł:

— Panie kapitanie, tutaj rozpoczynają się *palisady*.¹ Wracajmy lepiej.

Przyjrzałem się rzece.

Ze wszystkich stron wysterczały z wody pnie drzew, gałęzie, a nawet korzenie. Co chwila sternik skręcał gwałtownie, aby nie natknąć się na zdradziecki kłoc i łodzi nie rozbić. Łacno mogło się wówczas stać z *Janką* to, co stało się z *San Salvadorem* na Amazonce. Niewielka dziura i... koniec pięknej motorówki.

Nie czekałem na to, co mogło się stać.

— Wracać! — rozkazałem krótko sternikowi, który bardzo skwapliwie łódź zawrócił.

W dwie godziny później dotarliśmy zpowrotem do *Cahuapanasa*, który stał sobie spokojnie przy brzegu i czekał.

Już o zmroku wyruszyliśmy w dalszą drogę monitorem.

Rozdział XV.

U pożeraczy małp.

Rankiem następnego dnia znaleźliśmy się w osadzie ludzi białych, w Huancavelica. Jest to miejscowość typowa dla tamtego kraju. Składa się z jednego

¹ Zwalone pnie drzew, unieruchomione na płytce położonym dnie.

szeregu bambusowych domów, krytych liśćmi palmowymi, oraz, co nie jest już zbyt typowe, z wielkiego budynku, również z tyk, mieszczącego szkołę. Huan-cavelica robi bardzo dodatnie wrażenie, zarówno ze względu na swoje suche, wyniosłe położenie, jak i schludność mieszkańców.

Tego samego dnia (24 kwietnia 1928 r.) zwiedzi-liśmy małą miejscowość, San Luiz, a następnie więk-sze nieco pueblo¹ — San Francisco. Tę ostatnią osadę zamieszkują wyłącznie zbieracze kauczuku, któ-ry jednak podczas naszej bytności byli nieobecni. W osadzie pozostały niemal same kobiety, dziewczęta i dzieci. Cała wioska zbudowana — jak wszystkie inne — na palach,² przypominała jakąś opowieść An-dersena o zaczarowanym kraju, gdzie domy stoją na kurzych nóżkach, a mężczyzn zabrał niedobry król na wojnę.

Po nocy, spędzonej w drodze, znaleźliśmy się o świcie dnia następnego w pobliżu ujścia rzeki Aguaitia'i, przy chacie, noszącej nazwę Boca de la Aguaitia (Uj-ście Aguaitia'i).

Już o 6 rano opuściliśmy peruański monitor i ru-szyliśmy polskim jachtem w górę tego ważnego dopływu Ucayali.

Aguaitia mierzy przy ujściu około 170 metrów sze-rokości. Jej brzegi nie są jeszcze zamieszkane przez białych. Wpływa na to zarówno bojaźń przed dzikimi

¹ Pueblo (hiszp.) — osada.

² Wszystkie domy w Montanji, poza domami murowanymi, są zbudowane na palach. Chroni to mieszkańców zarówno przed powodzią, jak i, przede wszystkim, przed wilgocią, „ciągnącą“ od ziemi.

Kaszybami, jak i ogólny brak ludzi w Montanji. Mieszkają tam jedynie Indianie, przyczem strony bliższe Ucayali zajęli Czamowie, pozostający dzisiaj w pańszczyźnianej zależności od wielkich posiadaczy ziemskich z nad Ucayali, a tereny dalsze zajęły niezależne szczepy Kaszybów. Ci ostatni wojują stale z Czamami, używając dotychczas łuków i oryginalnych mieczów drewnianych, zwanych makanami. Pierwszym człowiekiem białym, który dotarł do źródeł Aguaitia'i, był Hiszpan, Alfonso Abad. Badał on tereny położone między Huallagą i Ucayali, w r. 1757.

Przy ujściu Aguaitia'i zginął wielki odkrywca peruański, ksiądz Illescas.

Widok, jaki roztoczył się przed nami w chwili, gdy wjechaliśmy *Janką* w rzekę, nie był zbyt zachwycający.

Na obu brzegach widniała roślinność, typowa dla terenów zalewnych. Wszędzie białaty kępy i całe lasy satików, co zawsze znamionuje tereny błotniste. Dopiero na jakimś trzecim kilometrze dostrzegliśmy brzegi wyższe, a w jednym miejscu niewielką świeżą porębę z dwoma szałasami. Wstąpiliśmy tam. W szałasach mieszkały trzy rodziny Czamów. Zastanowiło mnie, że zarówno na tej porębie, jak i we wszystkich innych wioskach indyjskich nad Aguaitia, Indianie spali pod moskiterami, czyli siatkami z muślinu. Widocznie olbrzymie chmury komarów, które nie opuszczały nas ani na chwilę, dokuczały również i tubylcom. Musiała to już być plaga nielada, skoro nawet Indianie nie mogli jej znieść, szukając przed nią dość niezwykłego, jak na ludzi dzikich schronienia.

Zapytałem Indian z poręby:

— Jak się nazywa ta miejscowość?

Spojrzeni na mnie zdziwieni.

— No tiene nombre — niema nazwy — odpowiedział mi jeden z nich łamaną hiszpańszczyzną.

To: no tiene nombre, prześladowało mnie nietylko na Aguaitia'i, ale podczas całej podróży. Indianie wschodnio-peruańscy nie obdarzają imionami swoich osiedli. Ma to, prawdopodobnie, źródło w tem, że nawet ci czerwonoskórzy, którzy umieją budować dość trwałe chaty, są koczownikami, porzucającymi z byle jakiej przyczyny swoją siedzibę i przenoszącymi się gdzie indziej. Nie nadając jednak nazw wioskom, Indianie nadają imiona wszystkim rzekom, jeziorom, strumieniom, a nawet charakterystycznym skałom i miejscom.

Gdzieś na 9-tym kilometrze dostrzegliśmy na lewym brzegu większą wioskę indyjską. Zanim jednak zdążyliśmy dobiec do brzegu, czerwonoskórzy uciekli w panicznym popłochu, pozostawiając na naszą łaskę i niełaskę cały swój dobytek. Napróżno towarzyszący nam w charakterze przewodnika Indianin z Monte Carmelo, wspominany już Postrach Kur, wydawał przyjacielskie okrzyki, — nikt z lasu nie wyszedł, nikt nie zaryzykował zetknięcia się z białymi, od których nie oczekiwano czego innego, jak tylko krzywd i gwałtów

Obejrzeliśmy wioskę.

Składała się z czterech dużych chat, otwartych na cztery strony świata. Dachy sporządzone były z liści palmowych. Wewnątrz widniało kilka moskiter, naciągniętych na tyczki, oraz mnóstwo przedmiotów domowego użytku. Wokoło roznieconych ognisk stały

oryginalne płytkie wazy gliniane, pomalowane w charakterystyczne wzory, leżały porzucone w pośpiechu na ziemię ciekawe mieszadła, ozdobione prymitywnymi rzeźbami, a na kołkach pod powałą wisiały poduszeczki do rytualnego deformowania niemowlętom czaszek.¹ Nie brakło też drewnianych mieczów, łuków, strzał i nożyków pojedynkowych. W jednym miejscu zauważyliśmy zagrodę z prętów, w której Czamowie przechowywali schwyconą gdzieś w lesie niewielką świnkę piżmową (*Dicotyles labiatus*), zwaną w Montanji — javali. Śnać widok ludzi wprawiał zwierzę w złość, gdyż kłapało donośnie potężnymi zębiskami i wydziało niemłą woń.

Nigdzie podczas całej podróży po Ameryce Południowej nie spotykaliśmy takiej obfitości ptactwa wodnego i lądowego, jak podczas wyprawy wgórę Aguai-

¹ Wspomniawszy o poduszczkach do deformowania czaszek, nie mogę powstrzymać się od skreślenia kilku słów o tym dziwnym obrzędzie. Wśród wielu plemion indyjskich w Peru, a w szczególności wśród Indjan, należących do grupy językowej Panów (Czama, Szypibo, Kunibo, Amahuaca, Setebo), panuje obrzędowy zwyczaj deformowania czaszek niemowlętom. Deformacji, polegającej zwykle na spłaszczeniu przedniej i tylnej części czaszki, dokonywa się przy pomocy dwóch miękkich poduszczek oraz bandaża. Poduszcзки przyłożone do czoła i tylnej części czaszki, skrępowane mocno bandażami, powodują cofnięcie się górnej części czoła i posunięcie się ku przodowi przeciwległej części czaszki. Po wieloletnim bandażowaniu uzyskuje się oryginalny, śpiczasty kształt głowy. Zwyczaj deformowania czaszek znany był w państwie Inków. Pamiętnikarze przekazali nam opisy głów kwadratowych, stożkowatych etc. Ten ciekawy, barbarzyński zwyczaj nie jest właściwy jedynie Indjanom. Spotykamy go w wielu punktach globu, a między innymi pewne jego ślady można było obserwować doniedawna i w Polsce.

tia'i. Zdumiewały nas nieprzeliczone zastępy machaco'ów, czapli i wielkich różowych ptaków, o dziobie kształtu ludzkiej stopy, zwanych w Montanji yaguar-garca'mi. Wprawdzie szum motoru płoszył je, jednak odniosłem wrażenie, że były one znacznie śmielsze od swoich towarzyszy z nad Amazonki i Ucayali, co wskazywałoby, że Indianie polują na nie bardzo rzadko, albo zgoła wcale nie polują.

W dalszym biegu Aguaitia robi wiele zakrętów i formuje wiele wysp. Brzegi podnoszą się, zdradzając tierra firme.

Wysokopienny las, pokrywający szczelnie oba brzegi rzeki, musi być już dobrze przetrzebiony z cennych drzew, gdyż jedyna tratwa mahoniu, którą podczas drogi spotkaliśmy, pochodziła z nad Rio Taguapua, dopływu Aguaitia'i, oddalonego od Boca de la Aguaitia o dwa dni drogi. Tratwę tę prowadzili ludzie niejakiego Goncalveza de los Rios z Nuevo Saposoa. Gdy dziwiłem się, że tak daleko szukali drzewa, odrzekli, że bliżej, w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki Aguaitia'i, mahoniu jest już bardzo niewiele. Jednak na pierwszy rzut oka nie widać, czy dżungla jest przetrzebiona z drzew szlachetnych, czy też nie. Festony tropikalnej roślinności zasklepiają każdą ranę bardzo szybko.

Przed kilkunastu laty, gdy gorączka kauczukowa ogarnęła całe dorzecze Amazonki, biali rabusie dżungli dotarli i do Aguaitia'i. W owym czasie kursowały po niej parowce z Iquitos, a na brzegach rozlegały się strzały kauczerów-myśliwców. Dzisiaj czasy się zmieniły. Spokoju dzikich mieszkańców tych ustroni nie mać już oddawna stuk maszyny parowej. Już na-

wet odwykli oni od widoku dziwacznych potworów, prujących z hałasem zielone wody rzeki. Być może, ich pierwotne mózgi zagubiły nawet świadomość o nich. To też szum motoru *Janki* wzbudzał powszechny popłoch i trwogę. Wydawało mi się, że nie tylko ludzie, zwierzęta i ptaki kryły się przed nami w mroczne ostępy, ale nawet drzewa nieruchomiały jakoś dziwnie i milkły.

Na rzece spotykaliśmy od czasu do czasu łodzie z rybakami indyjskimi, polującymi na paiche¹ z harpunem w rękę. Ludzie ci, gdy tylko zauważyli naszą motorówkę, puszczały się całą siłą swoich ramion do brzegu i tam, porzuciwszy łódź na pastwę losu, kryli się w lesie.

Ktoby to w Europie uwierzył, że w Ameryce, w tej Ameryce, o której tak lubią różni ludzie opowiadać, jako o niedościgłym wzorze wszystkiego dobrego, w tej właśnie Ameryce człowiek, podobny nam, na widok drugiego człowieka, swego brata, ucieka w przerażeniu i popłochu. Gdy dostrzegłem przez lornetkę młodą parę indyjską, może małżeństwo, jak uciekało w szalonym pośpiechu, jak czepiało się lian nadbrzeżnych i z jaką gorączkową trwogą drapało się na stromy brzeg — ogarnął mnie smutek. Biedni czerwonoskórczy! Tępieni, prześladowani i zmuszani do pracy, pędzą żywot dzikiego zwierzęcia, przeciw któremu przysięgło się wszystko.

Około południa dotarliśmy do dużej wsi indyjskiej, w której, oprócz domów zwykłych, stała bardzo duża chata o dachu spadającym do wysokości $\frac{3}{4}$ metra

¹ Peruańska nazwa tej samej ryby, którą Brazylijanie nazywają pirarucu (*Sucis gigas*).

nad ziemią. Ta wielorodzinna chata służyła do urządzania wszelkiego rodzaju uroczystych obchodów, a w szczególności wesel. Otóż w tej, również bezimiennej wiosce, zastaliśmy kilkadziesiąt Indjan i Indjanek. Tym razem uciekła tylko część ludności. Sukces ten udało się nam uzyskać przy pomocy zabranego po drodze jednego z aguajtijskich Czamów, który zdaleka przyzywał swoich rodaków, oznajmiając, że nadjeżdżający wirakucze (biali) nie są żołnierzami, ale, przeciwnie, ludźmi bardzo dobrymi. Te zapewnienia, że nie jest się wojskiem, trzeba było powtarzać wszędzie. Widocznie ludność indyjska ucierpiała „nieco“ od obrońców peruańskiej ojczyzny, gdyż samo wspomnienie o nich wystarczało, aby zamykała się w sobie, zdradzając poza tem niedwuznaczną chęć do ucieczki.

Na wyprawie był z nami również i pan Merovian, kinooperator. Już podczas pierwszych godzin podróży robił on szereg zdjęć, ale w obszernej, ludnej wsi, w jakiej znaleźliśmy się teraz, ogarnął go wprost szal „kręcenia“. A więc oryginalna chata z niemniej oryginalnymi ludźmi, a więc malowanie glinianych waz, tkanie *pampanilli*¹ i t. d., i t. d. Patrzyliśmy na poczciwego paryskiego mieszczucha, kręcącego się wśród napół nagich Indjan, dusząc się od śmiechu. I rzeczywiście, ta groteskowa figura, wycięta żywcem z jakiejś powieści „egzotycznej“, ubrana w miejski garnitur, w krawat, w półbuciki — wyglądała na groźnem tle dziewiczych lasów i brązowych barbarzyńców nader zabawnie.

¹ Sukieneczka kobiety indyjskiej.

W tej to wsi zapytałem jednego z Czamów, znającego nieco język hiszpański, czy ich sąsiedzi, Indianie z plemienia Kaszybo, jedzą mięso ludzkie.

Indianin pokiwał głową poważnie i bez wahania odrzekł.

— Tak, wirakucze, Kaszybo lubi, bardzo lubi człowieka.

W tem miejscu wykonał gest, wyobrażający, jak to zły Kaszybo obgryza rękę ludzką.

Od tego samego Indianina dowiedziałem się, że kilkanaście kilometrów dalej mieszka jakiś wirakucze. Postanowiliśmy do niego dotrzeć. Nie było to trudne. Aguaitia wciąż jeszcze była dostatecznie szeroka i wolna od pni. Sonda wykazała 20 stóp głębokości. Jechaliśmy tedy bezpiecznie, płosząc po dawnemu ludzi, zwierzęta i ptactwo. Na licznych plażach mijaliśmy wylegujące się krokodyle, które na odgłos motoru zsuwały się leniwie do rzeki i, wlokąc za sobą wstążkę rozprutej wody, znikwały w głębinach. Nie wszystkie jednak były takie ostrożne. Niektóre, snąc zadufane w swojej sile, zaniedbywały tej ostrożności i przypaływały się nam obojętnie. Do tych to maruderów strzelał zawołany wśród nas myśliwiec, Włodzimierz Orda, a także i inni koledzy. Aż wreszcie przyszła kolej i na mnie. Siedziałem sobie właśnie na przodzie łodzi, gdy poczciwy Postrach Kur schwycił mnie za rękę i aż skręcając się cały z niecierpliwości, zawołał:

— Lagarto, capitan, lagarto!

Schwyciłem za karabin.

— Gdzie?

— Tutaj, tutaj! — wskazywał mi ręką.

— Nie widzę, gdzie?

Indjanina aż zatykała niecierpliwość.

— Ależ tutaj, kapitanie, tutaj!

Dostrzegłem wreszcie. Leżał sobie pocziwina na drobnych kamykach i spoglądał odważnie ku nieznanemu, sapiącemu potworowi — ku naszej łodzi.

Przytknąłem do ramienia swoją potężną kolubrynę i zmierzyłem.

Jak grzmot, zahuczał strzał polskiego karabinu wojskowego na rzece Aguaitia'i. Krokodyl poderwał się, jakby rażony prądem elektrycznym i niezdarnie powłókł się ku rzece. Dzielila go od niej przestrzeń nie większa od dwudziestu metrów i gdyby kula go nie dosięgła, przebyłby ją wcześniej, aniżeli możnaby zliczyć do trzech. Jednak był ranny i włókł się wolno.

Zarepetowałem.

Nowy huk targnął powietrzem. Krokodyl zatrzymał się, począł machać rozpaczliwie mięsistym ogonem wreszcie uspokoił się zupełnie — zginął.

Widok śmierci potężnego gada, odwiecznego wroga indyjskiego rodu, wzbudził w Postrachu Kur zachwył. Nie mogąc pohamować radości, zakrzyknął donośnie ku brzegowi, na którym leżało bezwładne cielsko mojej ofiary.

Dojechaliśmy wreszcie do wirakucza, o którym wspominał Indjanin. Nazywał się ten człowiek Alejandro Pacaya i był robotnikiem niejakiego José Torresa z Boca de la Aguaitia. Nawiasem mówiąc, nie był to człowiek biały, lecz metys, a, kto wie, może nawet tylko cywilizowany Indjanin. Nie mieliśmy zamiaru badać jego rodowodu. Miejscowość nazywała się Santa Rosa i składała się z kilku prymitywnych

chat indyjskich. Pan Alejandro Pacaya przyjął nas nader gościnnie i po krótkim powitaniu poczęstował upieczoną na rożnie małpą. Dalibóg, niemiły to widok — pieczona małpa. Zupełnie tak samo wyglądałaby pieczeń z dziecka. Wszyscy Indjanie, a także i niektórzy biali, jedzą mięso małpie, twierdząc, że jest delikatne i smaczne. Małpina jest nawet dość popularną strawą, gdyż stada tych stworzeń są w Montanji bardzo liczne. Zdarzyło mi się pewnego razu w Afryce, gdy „przycisnął“ mnie głód, że zjadłem kawałek mięsa małpiego. I, przyznam się, smakowało mi. Jednak później, ilekroć ten fakt sobie przypomniałem, tylekroć napadały mnie mdłości. Sądzę, że byłoby mi trudno przyzwyczaić się do małpiny.

Pacaya nie mieszkał w Santa Rosa stale. Przebywał tam czasowo, dopóki nie zakończą się prace spławu drzewa. Był to sympatyczny *loretano*, który informował nas chętnie o wszystkim, co nas interesowało.

Słońce stało jeszcze wysoko nad lasem, gdy postanowiliśmy wracać.

Z prądem łódź płynęła z podwójną szybkością. Jak w kalejdoskopie zaczęły nam teraz migać przed oczami zielone brzegi, stada ptactwa i szare dachy chat indyjskich. Zatrzymaliśmy się dopiero w tej wiosce, z której poprzednio uciekła cała ludność, a w której obecnie mieliśmy wysadzić zabranego z sobą Czama. Teraz nie uciekł nikt. Brzeg zaroił się na nasze powitanie dziwaczными postaciami. Kobiety miały czoła pomalowane do połowy czarną farbą, a policzki pokryte czerwonymi arabeskami. Również mężczyźni, a nawet małe dzieci, posiadali czarne i czerwone malowidła na twarzy.

Indjanie byli nami oczarowani. Nie grabiliśmy ich, ani nie zmuszali do pracy. Co za nadzwyczajni wirakucze! Nic też dziwnego, że gdy znowu zatrzepotała polska bandera i gdy *Janka* zaczęła oddalać się od ich brzegu, długo jeszcze machali ku nam rękami, wysyłając przyjazne spojrzenia i okrzyki.

Rozdział XVI.

Wśród Szypibów.

Następnym etapem naszej podróży miało być obejrzenie wielkiego jeziora *Yarinacocha*, powstałego wskutek zmiany koryta przez rzekę *Ucayali*. Jezioro to, jak wiele innych tego samego pochodzenia, łączy się z korytem nowem za pośrednictwem wąskiego kanału naturalnego, który w okresie wysokiego stanu wód jest splawny. Niestety, w chwili kiedy do niego dotarliśmy, nie było mowy o tem, aby do jeziora móc przedostać się *Cahuapanasem*, bądź też *Janką*. Wiadomość ta zmartwiła nas nieco, jednak nie tyle, abyśmy mieli z tej racji zaniechać projektu zwiedzenia jeziora. Dowiedzieliśmy się od sternika, że o godzinę drogi dalej znajduje się hacienda *Puerto Tambo*, skąd prowadzi ścieżka do *Yarinacocha'y*. Wsiadliśmy tedy niezwłocznie na motorówkę i ruszyli w drogę. *Cahuapanas* zdążył powoli za nami. W niespełną godzinę dotarliśmy do *Puerto Tambo*. Tam podzieliliśmy się na dwie grupy. Jedna ruszyła pieszo do jeziora, a druga, w której znalazłem się ja, *Zarychta* i *Merovian*, udała się do pobliskiej wioski indyjskiej, zwanej przez białych *Tupinal*.

Widok nasz wzbudził wśród Indian, jak zwykle, przerażenie i popłoch. Cała ludność uciekła. Pozostał jedynie jakiś stary indyjski dziad, który witał się z nami, nie wypuszczając z ręki ani na chwilę ostrej jak brzytwa maczety.

— *Kumpa*¹ — rzekłem do niego — nie bój się, nie jesteśmy *soldados*.

Spojrzał na mnie nieufnie.

— Nie jesteście? — zapytał.

— Nie, kumpa, nie jesteśmy *soldados*; jesteśmy kupcy.

Śnać wiadomość ta uradowała starego, gdyż zakrzyknął coś w swoim języku, co wywabило z pod brudnej moskitery jakąś brudną staruchę, a z lasu co najmniej tuzin kobiet i dziewcząt. Stary opowiadał im coś długo, a kobiety potakiwały: „eehm, eehm“... Po chwili jedna z nich wyniosła z chaty olbrzymi korney *yuca*² oraz wiązkę bananów i dała mi to z krótkim przemówieniem, z którego, oczywiście, nic nie rozumiałem. Na wszelki wypadek wyciągnąłem z kieszeni lusterko dla kobiety, a składany nożyk dla starego. Podarunki wzbudziły wśród czerwonoskórych sensację. Oba przedmioty przechodziły z rąk do rąk. Oglądano je ze wszystkich stron, brano nawet w zęby.

Okazało się, że Indianie z Tupinalu należeli do pokrewnego Czamom szczepu Szypibów i że byli niewolnikami właściciela haciendy Puerto Tambo, pana Felipe Donaire.

¹ *Kumpa* w języku szypibo oznacza wyraz, odpowiadający naszemu „kumie“.

² *Yuca* (*Manihot utilissima*), roślina zastępująca nasze kartofle.

— Don Felipe — powiedział mi jeden z Szypibów, nazywając swego pana, według zwyczaju przyjętego we wszystkich krajach hiszpańsko-amerykańskich, po imieniu — jest naszym patronem. Dobrym patronem, nie bije.

— A za robotę płaci? — zapytałem.

Indjanin spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— No, czy daje wam *kireki*¹ — dodałem, myśląc że Szypibo mnie nie rozumie.

— Kireki? Nie, panie, don Felipe nie daje nam nigdy kireków.

Oświadczenie to nie zdziwiło mnie. Żaden z „patronów“, czyli zwyczajnych właścicieli niewolników, nie płaci Indjanom za pracę, lecz „wynagradza“ ich „opieką“ i łaskawem zezwoleniem na uprawę kawałka ziemi, do której, zwykle nie ma najmniejszego prawa. Gdy *pan* jest bardzo dobry, to daje od czasu do czasu jakąś szmatę, nóż, lub trochę igieł i paciorków, gdy jest przeciętny — zadowala się tylko wydawaniem niewolnikom strawy w dniach pracy.

Mężczyźni, należący do Felipa Donaire, używali jako ubrania długich szat, zwanych kuźmami. Kobiety natomiast nosiły krótkie, sięgające zaledwie wyżej kolan spódniczki własnego wyrobu, zwane *pampanillami*. Spódniczki te malują w charakterystyczne wzory barwikami roślinnymi. Już jako nabytek cywilizacji widziałem u niektórych dziewcząt śmieszne, perkalowe bluzki, które wkładały na siebie „od święta“. Na codzień świeciły ciemną nagością aż do pasa. Mili to byli ludzie. Otoczyli mnie ciasnym kołem, bawiąc się

¹ Pieniądze.

jak dzieci widokiem obcego, białego człowieka. Ponieważ w owym czasie układałem słowniki różnych języków indyjskich, zagadnąłem przeto jednego z mężczyzn, jak w jego języku nazywa się dziewczyna.

Indjanin, o którym dowiedziałem się później, że nosi imię Ocziety czyli Pies, początkowo nie rozumiał.

— A która dziewczyna? — zapytał, spoglądając po chichoczących, brązowych dziewczynach.

Długo musiałem tłumaczyć, o co mi się rozchodzi. Nareszcie zrozumiał.

— Wakky — odrzekł — nazywa Szypibo dziewczynę.

— Wakky — powtórzyłem.

Słowo indyjskie w ustach człowieka białego musiało się Szypibom wydać czemś bardzo zabawnem, bo wybuchnęli zgodnym chórem śmiechu. Natomiast, gdy zacząłem zadawać następne pytania, odpowiedzi sypały się natychmiast. Trudność powstała dopiero przy liczbach.

— Jak Szypibo mówi *jeden*?

— Aabiczi! — wykrzyknęło z tuzin głosów.

— Jak mówi *dwa*?

— Raby!

— *Trzy*?

— Keemisza — odpowiedziało jeszcze kilku ludzi.

— *Cztery*?

Nastąpiła głucha cisza. Indjanie coś tam do siebie mówili, naradzali się, wreszcie wypchnęli naprzód starego dziada, który witał mnie tak uprzejmie z ostrą maczetą w ręku.

— Szypibo mówi: raby rabybo.

Z liczeniem, okazało się, Indjanie niebardzo dawali sobie radę.

— A wiesz, kumpa — pytałem dalej starego — jak Szypibo nazywa *pięć*. Mówiąc to, pokazywałem rozczapierzone palce jednej ręki.

Stary myślał długo, wreszcie przypomniał sobie.

— Haty! — wykrzyknął uradowany.

Jednak słowa *sześć* nie znał już w wiosce nikt. Nawet staruch, który uchodził w szczepie za nieładną mędrca.

Indjanie, przekonawszy się, że nie przybyliśmy ich krzywdzić, ośmielili się zupełnie i sami zaczęli zadawać pytania. Najczęściej powtarzało się: „jak się nazywasz“ i „skąd przyjechałeś“? Nawet kobiety i dziewczęta podeszły bliżej i nieśmiało zapytywały, czy nie mam *czakiras* — paciorków.

A tymczasem pan Merovian skończył swoje przygotowania, oraz zdjęcia krajobrazów, i zaczął „nakręcać“ Indjan. Ciekaw byłem bardzo, co myśleli dzikusy z Tupinalu, gdy zobaczyli dziwną maszynę na drewnianych nogach i usłyszeli charakterystyczny terkot. Przypuszczali zapewne wszystko, oprócz tego, że maszyna zabierze w dalekie kraje ich najwierniejsze konterfekty.

Nadszedł wreszcie czas powrotu do Puerto Tambo, gdzie oczekiwał nas kapitan Narvaez ze swoim okrętem.



Rozdział XVII.

W Pucalpie.

Rząd peruański prowadzi już szereg lat budowę drogi żelaznej od Kordyljerów, od strony Cerro de Pasco, do Montanji, a ściślej rzecz biorąc, do rzeki

Ucayali. Kolej ta została już ukończona na odcinku wysokogórskim i obecnie znacznie przecinać mało zbadane tereny, zamieszkane przez niepodległych Kampałów i Kaszybów, znane ogólnie pod nazwą Gran Pajonal'u. W latach ostatnich rząd limański postanowił prace przyśpieszyć i rozpocząć budowę kolei również od strony Montanji. Na miejsce wyjściowe wybrano Pucalpę. Koncesję na prowadzenie robót związanych z budową otrzymał inż. Hartman, obywatel Stanów Zjednoczonych niemieckiego pochodzenia. Hartman zaangażował ze swej strony na głównego inżyniera p. Charley Belloos'a, także Amerykanina, ale znowu holenderskiego pochodzenia i rozpoczął prace. Przyglądając się postępom tej budowy, nabrałem dość złego o całym przedsięwzięciu wyobrażenia. Pomimo bowiem szumnych zapowiedzi, „biura“ naczelnego inżyniera składały się z jednego urzędnika, a „armia robotnicza“ z... 45 ludzi. Nie mam podstawy do przypuszczeń, aby Hartman wraz z Belloosem mieli nie dotrzymać zobowiązań, ale, pomimo tego, jestem co do budowy, a zwłaszcza ukończenia jej, wielkim pesymistą. Niewątpliwie zostanie ona ukończoną, ale liczyć na to, że mogłoby to nastąpić wcześniej, aniżeli za lat, co najmniej, dziewięć, byłoby wielką nieroztropnością.

Pierwsze swe kroki w Pucalpie, będącej stolicą dystryktu Calleria, zwróciliśmy do władz oficjalnych. Niestety, gubernator Rafael Souza był nieobecny, gdyż pomimo piastowania funkcji urzędowej, mieszka stale w swojej haciendzie, położonej o kilka godzin drogi w górę rzeki. Jego zastępca, teniente-governador Jose Reves Garcia, był w domu i udzielił nam chętnie

wszelkich informacyj. Na żądanie dr. Freyda urządził nawet rodzaj doraźnego ambulatorjum, potrzebnego do badania mieszkańców. A chorych, chętnych do otrzymania porady, nie brakowało. Według prowizorycznych obliczeń dr. Freyda miejscowość ta liczyła około 60% ludności chorej na syfilis i jego nieco łagodniejszą odmianę — *cuchipe*. Jak się okazało, nie brakło w okolicach Pucalpy również i trądu. Uprzejmy vice-gubernator zaofiarował się sprowadzić trędowatych, aby lekarz miał możność ich zbadać.

Zkolei udaliśmy się do inżyniera Charley'a Belloos'a. Przyjął nas dość kwaśno. Z informacyj cenniejszych udało się nam wydostać od niego tylko dane, co do płac, jakie ofiarowuje swoim robotnikom. Wynoszą one od 1 sola 80 centawów do 2 soli, a nawet, wyjątkowo, do 2 i pół soli dziennie. Na nasze stosunki nie są to płace wysokie, na peruańskie też nie, ale zważywszy, że do pracy zostali zaangażowani metysi i Indjanie, a więc ludzie o wymaganiach bardzo małych i bardzo małej wydajności pracy, należy je uznać za dostateczne.

Roboty, które Belloos od czasu naszego przybycia przeprowadził, ograniczały się do wycięcia dwukilometrowej trasy, zgromadzenia kilkunastu tysięcy podkładów, oraz sprowadzenia niewielkiej ilości szyn, muter i narzędzi. Gdy porównamy te przygotowania z olbrzymim zadaniem zbudowania paru setek kilometrów linii poprzez jedne z najbliższych stron świata, to łatwo dojdziemy do przekonania, że, właściwie, nic jeszcze nie zostało zrobione.

Z chwilą ukończenia linii kolejowej, rozwój Pucalpy będzie przesądzony. Wyrośnie ona wówczas na duże

handlowe miasto. Jednak narazie jest mała, niehandlowa i na tytuł miasta zupełnie nie zasługuje. Jest to poprostu wieś o kilkuset mieszkańcach i setce drewnianych domów, porozrzucanych na wysokim w tem miejscu brzegu rzeki Ucayali. Nędzna jest ta Pucalpa, ale posiada aż cztery szkoły powszechne. W tem miejscu muszę podkreślić fakt niezwykle starannej opieki szkolnej, jaką rząd limański w osobie bardzo inteligentnego inspektora szkolnego z Iquitos, pana Eloy Picony, nad ludnością miejscową rozłącza. Dość będzie wymienić, że w departamencie Loreto, kraju wprawdzie wielkim, lecz posiadającym zaledwie stutysięczną ludność, funkcjonowało w 1927 roku — 91 szkół powszechnych, do których uczęszczało 10.272 dzieci obojga płci, aby przekonać się, że sprawa szkolnictwa nie jest traktowana w Peru po macoszemu. Nietylko jednak czynniki urzędowe okazują zrozumienie dla akcji oświatowej, również i ludność ceni naukę, poszukując skwapliwie możności dania jej swoim dzieciom. Zdarza się wielokrotnie, że jako jedyny powód bardzo dalekich niejednokrotnie przynosin podają Loretańczycy konieczność kształcenia dzieci. Gdy dodam, że mam tu na myśli element tak zwany „leśny“, a więc kulturalnie zupełnie surowy, to zdziwienie nasze spotęguje się jeszcze bardziej. Stosunki te tłumaczę sobie dobrym zacyzmem krwi, pulsującej w żyłach mieszkańców Montanji. Bądź co bądź, płynie w nich krew Latynów...

W jednej ze szkół poznałem młodego księdza, który przybył do Pucalpy przed dwoma tygodniami w celu założenia rolniczej stacji doświadczalnej. Delegowało go w tym celu ministerstwo rolnictwa.

W Pucalpie istnieje niewielki drewniany kościółek, obsługiwany przez księdza z zakonu franciszkanów bosych. Przebywa tam też kilka zakonnic, utrzymujących jedną z czterech wyżej wymienionych szkół.

Na opisie Pucalpy zatrzymałem się specjalnie dłużej, ponieważ wiadomem mi było, że koncesjonariusz tych ziem, Kazimierz Warchałowski, wysuwał tę miejscowość na centrum ewentualnych poczynań kolonizacyjnych na terenie swojej koncesji. Niewątpliwie, ma Pucalpa dużo danych do tego, aby na ten wybór zasłużyć. W pierwszym rzędzie przemawia za nią budująca się kolej, a w drugim — wyniosły, niezalewany brzeg, ciągnący się na dość długiej przestrzeni. Ma jednak i odwrotną stronę medalu: syfilis, cuchpię, ankilostomę, utę, malarję i trąd. Gdyby nawet choroby te nie były zbyt niebezpieczne przy pewnych zabiegach profilaktycznych, to pozostanie jeszcze jedna przeszkoda: klimat *jednolicie* gorący i wilgotny, oraz plaga komarów. Uważając Pucalpę za miejsce nie nadające się na teren, na którym ludzie ze środkowej Europy mogliby pracować fizycznie, nie dyskwalifikuję jej tem zupełnie, jako stolicy poczynań plantacyjno-eksploatacyjnych. Nie wątpię, że podobnie jak europejscy księża, oraz inżynier Belloos, mogliby i Polacy sprawować w Pucalpie różne prace kierownicze, bez uszczerbku dla swego zdrowia, a tem bardziej — życia. Nie oznacza to jednak, aby nasz chłop lub robotnik mógł znaleźć tam warunki dla swojego ciężkiego trudu fizycznego.

Rozdział XVIII.

Przez Wielką Wolbę.

Dnia 28 kwietnia opuściliśmy Pucalpę i po kilkunastu godzinnej drodze dotarliśmy do haciendy Bauaniso, w której gospodarzył „gubernator“ z Pucalpy, wspomniany już alfiereś¹ Rafael Souza

Ucayali w pobliżu Bauaniso rozpoczyna gigantyczny zakręt, tworząc pętlę, której podstawa mierzy zaledwie kilka kilometrów szerokości. Zakręt ten nosi nazwę Wielkiego Zakrętu czyli Volta Grande. Na przebycie go wodą zużywa się dobre kilkanaście godzin czasu, podczas gdy na przecięcie pętli łądem wystarcza jedna godzina.

W pobliżu siedziby pana Souzy mieszka, o czym dowiedziałem się znacznie później, pewien znany literat peruański, który zapadł przed paru laty na ciężką, nieuleczalną chorobę tropikalną, zwaną przez lud Montanji *sarna negra* (czarny świerzb).² Nieszczęśliwy ten człowiek żyje samotnie, unikając kontaktu z ludźmi i oddając się pijaństwu. Nauka nie wie dokładnie, na czym ten świerzb polega; objawy przedstawiają się następująco: na ciele chorego występują ciemne plamy, które rozrastają się coraz bardziej, tworząc czarną ohydłą maskę. *Sarna negra* nie jest nazbyt dokuczliwa, lecz piętnuje stygmatem, boleśniejszym od cierpień. Chorują na nią przeważnie Indjanie, rzadziej kreole, a Europejczycy prawie nigdy. Przez cały czas podróży widzieliśmy tylko jednego, Włocha, o którym będą wspominał na dalszych stronicach tej pracy.

¹ Podporucznik kawalerji.

² Grzybica.

Dużą część Wielkiej Wolty przebyliśmy w nocy. Drogę między Bauaniso i ujściem rzeki Tamaya'i, położonem w pobliżu punktu szczytowego zakrętu, przebyliśmy w czasie od 5 wieczorem do 6 rano.

Świtaniem 29 kwietnia ujrzeliśmy czarne, przezroczyste wody Tamaya'i. Już poprzednio uplanowaliśmy wyprawę w górę tej rzeki, podobnie jak zrobiliśmy to na Pisqui i Aguitia'i. Rano o godzinie 7:20 opuściliśmy *Cahuapanasa* i wyruszyliśmy na *Jance* na niepewne wody mało znanej rzeki.

Brzegi Tamaya'i były dawniej zaludnione przez Indjan z plemion Remo i Amahuaca. Liczne wyprawy łowców niewolników, czyli tak zwane *correrias*, dokonywane przez białych przy pomocy ukajalskich Kuni-bów i Szypibów, doprowadziły do tego, że smutne niedobitki autochtonów przeniosły się daleko w głąb łądu i na odcinku bliższym rzeki Ucayali wcale się ich dzisiaj nie spotyka. Na miejscach opróżnionych przez Indjan biali nie osiedlili się. Wprawdzie już w roku 1857 zorganizował misjonarz Calvo wyprawę w górę tej rzeki w celu wyszukania miejscowości, zdolnej na założenie większego osiedla, ale punktu dogodnego nie znalazł i powrócił z niczem. Zlekceważenie tych stron przez białych ma swoją przyczynę w tem, że nad dolnym i nawet średnim biegiem Tamaya'i mało jest miejsc niezależnych przez cały rok. O ile nad brzegami Pisqui czy Aguaitia'i spotykaliśmy tereny niskie, zalewne tylko sporadycznie, o tyle nad Tamayą występowały one prawie bez przerwy. Prostu, nie można było znaleźć miejsca do wylądowania. Przebyliśmy po niej około 30 kilometrów, nie znajdując, z wyjątkiem ujścia, ani jednego stałego

osiedla ludzkiego. Koczownicy mogli się tam utrzymać, ludzie osiadli — nie. Wprawdzie piękność i oryginalność widoków nic na tem nie ucierpiała, a może nawet, przeciwnie, zyskała, niemniej jednak stanowi to zapowiedź dla osadnictwa nader niekorzystną.

Ciemne wody Tamaya'i wlewają się w samą dżunglę, tworząc ową, opisywaną przez Juljusza Vernego „puszczę wodną w lesie“. I w istocie, w wielu miejscach woda wlewała się głęboko w porosły głuchym borem łąd, tworząc dziwaczny kraj, gdzie las wyrasta z wody, a ryby ocierają się srebrną łuską o korę wysokopiennych drzew.

Snać takie niepewne brzegi są niesprzyjające nie tylko dla człowieka, ale i dla zwierzyny, bo żaden głos ani ślad nie mącił naszej uwagi. Nawet ptactwa, od którego roiło się w stronach mijanych uprzednio, nie było tu ani na lekarstwo. Czasem tylko zamigotała kolorowa guacamayo, lub zagwizdał jastrząb.

Tamaya służy za drogę wodną dla wywozu kuczuku z olbrzymich niewyekspluatowanych puszczy rzeczki Yurua, z którą łączy ją varadero, czyli dogodne połączenie. Przez to właśnie varadero transportuje się duże ilości kuczuku do Tamaya'i, spławiając je następnie do Ucayali i wreszcie do Iquitos. Varadero ze strony Tamaya'i rozpoczyna się przy miejscowości Putaya. Od tej osady do ujścia — rzeka posiada dwanaście większych dopływów i sto pięćdziesiąt cano, czyli kanałów, prowadzących do brzegowych jezior, powstałych wskutek zmiany koryta przez rzekę.

Łódź zwykła zużywa dwadzieścia dni na przebycie drogi od ujścia do wspomnianej Putaya'i (według Stiglicha).

Sami Peruańczycy piszą o Tamaya'i, że: „z powodu niskiego położenia, brzegi jej nie nadają się, z wyjątkiem położonych nad najgórnijszym biegiem, do kolonizacji. Tylko podczas lata są one suche i mogą służyć pod uprawę“.¹

Lasy tamajskie obfitują w doskonałe gatunki drzew, a wody — w wielką ilość krów rzecznych, zabijanych celem uzyskania doskonałego mięsa i tłuszczu. Co do gumowców, to należy zaznaczyć, że rabunkowa gospodarka kauczerów przetrzebiła je i dzisiaj jest ich tam bardzo mało.

Na jakimś dziesiątym kilometrze od ujścia dostrześliśmy na prawym brzegu cztery szałas i grupkę ludzi. Okazało się, że przebywało tam chwilowo trzech metysów i jeden Indjanin z żoną i dziesięcioletnią córeczką. Byli to drwale niejakiego Pedra Linaresa z Huamachuco, którzy spławiali drzewo, zdatne na podkłady do budowy drogi żelaznej w Pucalpie.

Zapytałem jednego z nich, czy nad Tamayą mieszkają *civilizados*.

— Tak — odpowiedział — jest nas trochę nad rzeką, ale mało. Caserio² przy ujściu już pan widział — ciągnął dalej — oprócz tej osady, są nad rzeką jeszcze dwie miejscowości: Charasmana, hacienda Andreasa Lopesa, Brazylijanina, położona o jeden dzień drogi łodzią od ujścia, oraz Caramana, caserio o dziesięciu rodzinach, znajdujące się o dwa do trzech dni drogi od ujścia. Daleko, w pobliżu varadero'a do Yurua'y, znajduje się Putaya.

¹ Germano Stiglich: Diccionario Geografico del Peru.

² Caserio — miejscowość o kilkunastu domach, leżących w niewielkiej od siebie odległości. Gdy domy są zgrupowane obok siebie, wówczas miejscowość nazywa się pueblo lub villa.

Na dawnych mapach figurowała też miejscowość Binuncuru. Jeszcze w Iquitos mówiono mi o niej, jako o istniejącej. W rzeczywistości okazało się, że ślady nawet po niej zarosły.

W chwili, gdy mieliśmy z drogi zawrócić, a stało się to na jakimś 30 kilometrze od ujścia, postanowiliśmy wyjść na łąd, aby zbadać charakter lasu. Brzeg wznosił się w tem miejscu na dwa metry nad powierzchnią wód rzeki. Pomimo tej stosunkowo znacznej wysokości, grunt był bardzo wilgotny i błotnisty. Uderzyła nas wielka obfitość potężnych drzew i stosunkowo rzadkie podszycie. W lesie nad Tamayą mogliśmy posuwać się prawie bez pomocy machety, co np. w lesie południowo-brazylijskim lub paragwajskim byłoby nie do pomyślenia.

Powrót wdół rzeki nie nastęrczył nic specjalnie ciekawego poza tem, że zmierzaliśmy w paru miejscach głębokość wód. Wynosiła ona przeciętnie 30 stóp.

Przy ujściu, na samym cyplu, stoi osiem dość nędznych chat, zamieszkałych przez miejscowych metysów. Na drugiej stronie Ucayali widnieją też chaty. Ma to być caserio. Ludność ujścia Tamaya'i podobnie jak większości osiedli nad Ucayali, trudni się nieco rolnictwem i rybołówstwem, a w głównej mierze zbieraniem kauczuku, balaty i innych płodów lasów. Nie jest to ludność tęga. Nękają ją liczne choroby tropikalne. Na nasz okręt zgłosiło się wielu chorych, którzy błagali o radę i lekarstwa. Ludzie ci patrzyli na lekarza, jak na zbawcę i widać było, że ponieśliby każdą ofiarę, byleby uzyskać pomoc i choć szczyptę nadziei.

Tamaya'ę opuściliśmy pod wieczór. Był to jakiś wyjątkowo piękny dzień. Czyste niebo i świeże po-

wiewy wiatru stworzyły atmosferę wesołą i odświeżoną. Do radosnego nastroju przyczyniało się również to, że zbliżaliśmy się do Masisei, do tej miejscowości, która stanowi rodzaj niewidzialnej granicy między Bajo Ucayali a górnym biegiem tej rzeki, sławnym w całej Montanji z dobrego i niezbyt upalnego klimatu. W rzeczywistości, Masisea nie okazała się tą granicą. Można by, od biedy, uznać za nią dopiero miejscowość Cumaria'ę, położoną o kilka dni drogi dalej. W każdym bądź razie, Masisea jest ważnym punktem węzłowym, osadą; posiada stację telegrafu iskrowego, a więc cieszyliśmy się perspektywą biwakowania w warunkach nieco znośniejszych.

Podczas drogi z Boca del Tamaya zwiedziliśmy jeszcze dość ludną miejscowość Nueva Rioja i późnym wieczorem stanęliśmy w Masisea'i.

Rozdział XIX.

Na rozstajnych drogach.

Misisea leży na wysokim, dziesięciometrowym brzegu. Brzeg ten jest urwisty, uwidoczniający czerwoną glinę, która składa się na tamtejszą glebę. Niestety, wszelkie nadzieje, pokładane przez nas w Masisea'i zawiodły.

Okazało się, że osada ta jest jeszcze nędzniejsza, aniżeli Pucalpa. Jej ludność wynosi zaledwie 160 osób, wiodących niezbyt dostatni żywot w przewiewnych chatkach z tyczek bambusowych. Nawet dom samego „gubernatora“, don Adolfa Ampuera, nie wyróżniał się niczem, a za jedyną ozdobę we wnętrzu posiadał

kolorowy plakat, obwieszczający w pięknym hiszpańskim języku, że tylko niemiecka Bayera cefiaspirina może pomóc na malarję, ból głowy, nerwy, żołądek, wątrobę, tudzież na szereg innych chorób. Nawiasem mówiąc, zdumiewała mnie zapobiegliwa propaganda tej firmy, której ogłoszenia spotykaliśmy nad dolnem Ucayali na każdym kroku.

Masisea głośna jest w całej Montanji, a nawet w Peru, nie z racji liczby swoich mieszkańców, ale z racji położenia na skrzyżowaniu dróg, wiodących z jednej strony do Kordyljerów i Limy (przez rzekę Pachiteę, której ujście leży w odległości pół dnia drogi od Masisei), z drugiej zaś — do stolicy Montanji, Iquitos, i, wreszcie, do mało wyeksploatowanych terenów nad górnem Ucayali, Urubambą i Tambo. Troszcząc się o rozwój tego miasteczka, założył w nim rząd limański stację telegrafu iskrowego, będącą łącznikiem między stacją w Limie i stacją w Iquitos, oraz ustanowił stację dla aero- i hydroplanów, kursujących do Iquitos nad Amazonką i do miasteczka San Ramon, położonego przy końcowym punkcie drogi samochodowej, prowadzącej do stacji kolejowej w Oroya'i. Gdy dodamy do tego, że Masisea jest punktem, w którym następuje przeładunek towarów, przewożonych z Limy do Iquitos, lub z Iquitos do Limy — z okręci-ków mniejszych na większe i odwrotnie, to przekonamy się, że Masisea posiada dostateczne warunki, aby stać się ważnem centrum w życiu gospodarczem Montanji. Narazie jednak nie posiada nawet jednego sklepu. Za mało miałem czasu, aby przestudjować, dlaczego tak jest. Należy jednak przypuszczać, że przyczyna leży w ogólnym upadku kraju, który do-

tychczas nie może dźwignąć się po katastrofie, spowodowanej dewaluacją kauczuku.

Dr. Freyd zauważył, że ludność Masisei była zdrowsza, aniżeli ludność osad, położonych bliżej Iquitos. W klimacie jednak nie odczuwaliśmy dobitniejszej zmiany. Odczuliśmy ją dopiero znacznie dalej, nad Alto Ucayali.

Następnego dnia po naszym przyjeździe, przyleciał z San Ramon aeroplan pasażerski, kierowany przez pilota yankesa, który zaledwie kilkanaście słów umiał po hiszpańsku i tak pił wódkę, że, myślę, nasi doróżkarze wyglądaliby przy nim na urodzonych abstynentów. Amerykanin przywiózł jednego pasażera, którego na drugi dzień zabrał do Iquitos nadeszły w tym czasie hydroplan, prowadzony przez wytrawnego pilota, por. Cornejo.

W Masisei zastał nas 3-ci maj. Postanowiliśmy uczcić święto narodowe godnie. A więc, przedewszystkiem, udekorowaliśmy *Jankę* chorągiewkami, następnie — wydaliśmy załodze *Cahuapanasa* po butelce piwa i rozpoczęliśmy przygotowania do wypuszczenia kilkunastu barwnych i białych rakiet. Pistolet rakiety i naboje nabyliśmy jeszcze w Paryżu, aby w wypadku jakiegoś niebezpieczeństwa ze strony dzikich, móc działać na ich wyobraźnię niezmiernie dziwnym, jakim, niewątpliwie, byłyby dla nich rakiety. Kapitan Narvaez kazał ubrać chorągiewkami również mój monitor. Wiedząc, że wszelkie rocznice najlepiej „wychodzą“ przy kieliszku dobrego wina, wyciągnęliśmy parę butelek tego specjału, co dało okazję do wygłoszenia przy obiedzie paru toastów, na które kpt. Narvaez odpowiedział wyjątkowo uprzejmie i wy-

jątkowo z sensem. Nie potrzebuję chyba dodawać, że marynarze peruańscy, dostawszy tak drogiego w Montanji napoju, jakim jest piwo¹, wpadli w nielada entuzjazm i zapewne długo jeszcze będą wspominali chwile polskiego święta narodowego, obchodzonego w Masisei.

Nie zapomnę nigdy uroczystych i zadowolonych min mieszkańców Masisei, którzy zebrali się tłumnie na brzegu rzeki przy naszej *Jance*, w oczekiwaniu na puszczanie rakiet. W tem miejscu uważam za konieczne nadmienić, że Peruańczycy, podobnie jak wszystkie narody hiszpańsko-amerykańskie, pasjonują się do sztucznych ogni. Niema uroczystości państwowej czy rodzinnej zabawy, a nawet procesji, by nie towarzyszyły im *fugetes*. A tu jeszcze rozeszła się wieść, że *fugetes* mają być europejskie, a więc niewątpliwie, bardzo ciekawe.

Widocznie rakiety musiały być bardzo ciekawe, gdyż w chwili, gdy ku górze wznosiły się barwne gwiazdy, rozlegał się prawdziwy ryk zadowolenia. Piszczwały donośnie z uciechy nawet dość cywilizowanie wyglądające i niebrzydkie panienki. Wszystkich unosił gorący, tropikalny temperament. Jestem pewien, że paczka tych rakiet, puszczone ku gwiazdom z racji 3-go maja, więcej zrobiła dla polskiej propagandy w Montanji, aniżeli byłaby w stanie zdziałać setka najmądrzejszych odczytów i stos nudnych wydawnictw. Nie wątpię, że wieść o tych uroczystościach rozeszła się wzdłuż brzegów całego Ucayali, że zawędrowała do najdalszych zakątków i że długo jeszcze będą o niej

¹ Piwo w Montanji, importowane z Brazylii, jest droższe od wina stołowego.

wspominać ludzie z bambusowych chat, łącząc je z imieniem dalekiej Polski.

Tego samego dnia, około godziny 11 wieczorem, „podnieśliśmy kotwicę“ i ponownie ruszyliśmy w dalszą drogę.

Masisea była już poza nami.

Wjechaliśmy w kraj, na którym cywilizacja, nawet w tak prymitywnym pojęciu, jak na Bajo Ucayali, nie wypaliła jeszcze swego śladu. Wjechaliśmy w kraj, przez białych zaludniony bardzo słabo, miejscami zupełnie pusty, w kraj piękny, nieujarzmiony.

Rozdział XX.

Wzdłuż gór Iparyjskich.

Cahuapanas był statkiem małym. Wprawdzie zajmowaliśmy cały jego górny pokład, ale pokład ten był „szeroki“ na trzy kroki, a „długi“ na piętnaście. Nadmiar złego, podzielono go na cztery części: na przodzie mieściło się koło sterowe, nieco ku tyłowi obszerna kajuta, którą trochę bezceremonialnie a już zupełnie niegrzecznie zabrał na swój użytek kapitan korwety, Narvaez; w środku stał stół do posiłków, tył zaś, ogrodzony siatką drucianą, pomalowaną na piękny zielony kolor, oddano nam do użytku na sypialnię. Na tych paru metrach kwadratowych rufy ustawiliśmy kilka łóżek polowych obciążniętych muślinami i umieściliśmy część rzeczy, oraz broń. „Gnieździli“ się tam Pankiewicz, Merovian i ja. Orda i Zarychta ulokowali się na dolnym pokładzie, gdzie znajdowała się jeszcze jedna kajuta z dość wygodnymi łózkami; Gadomski

z Warchałowskim spali na *Jance*; Freyd zajął miejsce bodaj najlepsze — w przewiewnej „jadalni“, w najbliższym sąsiedztwie stołu posiłkowego. Do tych niewygód, spowodowanych ciasnotą, trzeba jeszcze dodać niewygody, powstałe wskutek zbyt niskiego osadzenia dachu nad górnym pokładem, co nie pozwalało człowiekowi nieco słuszniejszego wzrostu poruszać się, czy też stać w pozycji wyprostowanej.

Łał właśnie porządny deszcz. Wprawdzie deszcze padały często, ale nie takie gwałtowne i nie połączone z takim okrutnym wiatrzyskiem, jak w nocy z 3 na 4 maja. Nie pomogły siatki, nie pomogły również i płótna żaglowe, któremi obciągnięto „sypialnię“ — woda lała się na łóżka strumieniami. Nie mogąc w takich warunkach spać, wstaliśmy i poszliśmy do „jadalni“, ale i tam, w najlepszym miejscu *Cahuapanasa*, dr. Freyd wysiłał się daremnie nad wynalezieniem miejsca, do którego nie sięgałaby złośliwa woda.

Kapitan Narvaez był wprawdzie w lepszej sytuacji, aniżeli my; ale też nie mógł spać, gdyż niepokoił się o losy okręciku. Biedny *Cahuapanas* trząsł się jak w febrze i jakoś dziwnie na oba boki przechylał. Fale nie żartowały. Nic też dziwnego, że kpt. Narvaez wstał i patrzył teraz z troską na wodę, zagadując *practica*¹ o jego zdanie. Coś tam jednak nad nami czuwało. Ani się wówczas nie rozbiliśmy o pień, co mogło zdarzyć się dość snadnie, ani też żaden inny nie spotkał nas przypadek. Tylko dużo rzeczy zamokło i do rana pokryło się ładnym, zielonym kożuszkiem.

¹ Pilota.

Po tej piekielnej nocy wstał dzień ładny, słoneczny i świeży. Ptactwo, które przed taką niecną pogodą jest zawsze jakieś osowiałe, czy też zaniepokojone — teraz krzyczało radośnie, ciesząc się jak najwidoczniej samym faktem życia. Nawet drzewa szumiały weselej i pogodniej. Dżungla zaczęła mi się wówczas wydawać nie tak groźna i nie tak ponura, jak poprzednio. W takim miłym nastroju ducha minęliśmy miejscowość Santa Rosa oraz Tushmę, i dotarliśmy do ujścia rzeki Pachitea'i. Ze względu na ważność tej rzeki, jako drogi wodnej z Montanji do Andów, podaję o niej nieco szczegółów, posługując się danymi, czerpanymi ze źródeł peruańskich, oraz z opowiadań niektórych członków ekspedycji, którzy później przebyli ją od ujścia, aż do rzeki Pichis.

Pachitea'ę odkrył misjonarz Hernandez w roku 1763. Wieści przyniesione przez niego były jednak dość mętne i właściwie nic o rzece, oprócz samego faktu jej istnienia, nie mówiły. Dopiero w trzydzieści lat później, w r. 1794, przebył ją aż do ujścia niejaki Girbal, którego należy uznać za właściwego odkrywcę Pachitea'i. Jak większość rzek peruańskich, Pachitea powstaje ze zlewu dwu rzek innych, posiadających inne nazwy. Są to: Pozuzo i Palcasu. Miejsce tego zlewu wznosi się 245 *m* nad poziom morza. Brzegi Pachitea'i mają być dość wysokie i obfitujące w gumowce (sheringa i caucho). Rzeka ta jest wprawdzie spławna dla parowców o małym zanurzeniu, jednak w stosunku do jej ogromu spławność ta jest niewspółmiernie mała. Rzeka Pichis, aczkolwiek znacznie węższa, jest dla żeglugi nieco lepsza. Pachitea stanowi granicę między koczowiskami plemienia Kampa i ple-

mienia Kaszybo. Na jej brzegach spotyka się jednak prawie wyłącznie Kampów. Ongiś istniały na brzegach rzeki misje chrześcijańskie. Dzisiaj niema ich.

Rzeka Pachitea służy, jak już wspomniałem, jako droga wodna z Montanji w kierunku Kordyljerów. Obecnie posiada ona stałą komunikację parostatkową. Dwa razy na miesiąc odchodzą z Masisea'i małe parowczyki pocztowe, które drogę przez Pachitea'ę do końcowego punktu spławności rzeki Pichis przebywają w 4—5 dni. Nadmienić mi w tem miejscu wypada, że całkowita droga z Masisea'i do stacji kolejowej w Oroya'i wynosi 16 dni, a koszt jej kalkuluje się na 30 funtów peruańskich (około 1 tys. złotych). Oprócz parowców, które, zresztą, w pewnym okresie pory suchej po Pachitei nie kursują, krąży po rzece mnóstwo łodzi zwykłych, promów i tratów. Zwłaszcza przy „spuszczaniu“ produktów wdół rzeki jest to środek lokomocji nie do pogardzenia, gdyż nader bystry prąd niesie te bezsilnikowe statki z dużą szybkością.

Ujście Pachitea'i które mijaliśmy 4 maja, jest dość niskie, porośłe lasem i bezludne. Dopiero kilka kilometrów dalej mają znajdować się coś trzy, czy cztery domy, noszące nazwę Asturia'i.* Przy samem ujściu nie zatrzymywaliśmy się, bo nie było poprostu poco.

Wkrótce po wyminięciu tej ważnej arterji wodnej, dostrzeżliśmy na lewym brzegu zarysy gór, które miejscowi *civilizados* nazywali Sierra de Iparia. Góry te stanowią dział wód między Pachitea'ą i Ucayali. Są one porośłe aż do szczytów gęstym lasem tropikalnym. Zamieszkują je jedynie Kampowie, gdyż biali lękają się sąsiedztwa dzikich, niezależnych szczepów. Widok tych gór, a później innych jeszcze, towarzyszył

nam aż do samego zlewu Tambo z Urubambą, a nawet dalej, bo aż do końca podróży po terenach koncesyjnych.

Wprawdzie Ucayali przyjmuje nazwę Ucayali Gór- nego już od ujścia rzeki Pachitea'i, jednak narazie nie dostrzeżliśmy żadnych zjawisk, któreby oba biegi różniły. Brzegi były równie płaskie i pokryte jednakową roślinnością; wody rozlewały się również szeroko, a dno nie zdradzało innego podłoża, aniżeli poniżej Masisea'i i Pucalpa'y. Jedynie nieco świeższe powietrze i lekkie, orzeźwiający powiewy wiatru mówiły nam, że od Amazonki odsadziliśmy się już o dobre półtora tysiąca kilometrów i że, bądź co bądź, znajdujemy się prawie pod 9^o południowej szerokości geograficznej.

W dwa dni po opuszczeniu Masisea'i, pod wieczór, zatrzymaliśmy się w miejscowości Iparia, położonej na lewym brzegu Ucayali. Liczy ona około dwunastu rodzin *civilizados* i jest wskutek tego najliczniejszą osadą między ujściem Pachitea'i i osadą Bolognesi, o której będę pisał na dalszych kartach tej książki. Od Iparia'i wiedzie w głąb lądu ścieżka. Mierzy ona około 20 kilometrów długości i kończy się u samych podnóży gór Iparijskich. Człowiek pieszy przebywa ją w cztery godziny.

Zarówno Iparia, jak i położone o kilka kilometrów dalej Puerto Elvira, gdzie braliśmy drzewo, wydają się miejscowościami zdrowymi. Lekarz ekspedycji znalazł tam zaledwie jednego chorego (na „cuchipec“) i to przybyłego z nad dolnego Ucayali.

Rozdział XXI.

Wyprawa wgórę rzeki Chesea'i.

O godzinie 7 rano opuściliśmy *Cahuapanasa*. Motor *Janki* pracował bez zarzutu.

Brzegi Ucayali porastały po obu stronach nieprzejezane zarośla trzciny, zwane *cana brava* albo *chikotza*.

Tylko gdzie niegdzie widniały małe, piaszczyste plaże. Na jednej z nich dostrzegłem wylegującego się bezczelnie krokodyla. Zmierzyłem do niego z karabinu i palnąłem. Krokodyl zadrgał i został na miejscu.

Krokodyli znajduje się w tamtych stronach dużo. Niemal co chwila płoszyliśmy te ciężkie jaszczury, które na hałas, sprawiany stukotem motoru naszej *Janki*, przerywały słodkie, leniwe wywczasy i rzucały się bezwładnie do rzeki.

Nie były one jedynymi mieszkańcami brzegów. Na każdym kroku biwakowały stada wielkich machaco'ów i czapli, a od czasu do czasu mijaliśmy chaty miejscowych Indian. Zarówno ptaki, jak i ludzie uciekali na nasz widok pośpiesznie. O ile u ptaków było to objawem zwykłym, o tyle u ludzi wyglądało upokarzająco. Oczywiście, nie dla biednych dzikusów, ale dla ich starszych, cywilizowanych braci, którzy nic oprócz strachu, nie potrafili w nich dla siebie zaszcześcić.

Indianie, zamieszkujący okolice ujścia rzeki Chesea'i, należą do plemion tej samej grupy językowej, co ich pobratymcy z za Masisea'i i Wielkiej Wolty. Kampów jeszcze tam nie spotykaliśmy, aczkolwiek pojedyncze rodziny mieszkają już w Iparia'i. W jednym miejscu zauważyliśmy większą grupę chat i kil-

kudziesięciu czerwonoskórych na brzegu. Wśród nich widniała sylwetka człowieka białego. Śnać obecność wirakucza ośmieliła ich, gdyż nie uciekli w głąb łądu, jak ich krewni z innych wiosek, lecz cisnęli się nad wodę, obserwując nas ciekawie. Kobiety, sądząc, że dobijemy do brzegu, narzucały na siebie pośpiesznie jakieś szmaty, które, gdy przekonały się, że mijamy ich wioskę obojętnie, natychmiast odrzuciły. W innym znowu miejscu zauważyliśmy parę rodzin indyjskich, biwakujących na pięknej plaży. Uwiązane do kamieni łodzie świadczyły, że Indianie znajdują się w podróży i że nad rzeką przebywają tylko chwilowo.

Dotarliśmy wreszcie do Chesea'i.

Przy ujściu tego dopływu stoi chata niejakiego Crispina Tuesta'y. Jegomość ten nosił na sobie wyraźne cechy bardzo rozwiniętej choroby *cuchipe*. Uściśnięcie jego ręki, pokrytej zaschłymi strupami, nie należało do rzeczy przyjemnej. Tuesta mieszka nad Chesea'ą już dawno. Wprawdzie żadnego prawnego tytułu własności do zajętych ziem nie posiada, nie mniej jednak uprawia je i czerpie z nich zyski. Do pomocy w tej swojej pracy posiada kilka rodzin indyjskich i sporo potomstwa. Nie jest on przy ujściu Chesea'i jedynym mieszkańcem. Znajduje się tam tak zwane *caserio*, czyli kilkanaście chat, rozrzuconych w najbliższym, ale nie bezpośrednim sąsiedztwie. Caserio Chesea liczy tych chat dziesięć.

Rzeka Chesea, zwana też Sheshea, jest wąska. Jej ujście mierzy około 25 metrów, a szerokość wyższego biegu nie odbiega naogół wiele od tych wymiarów. Gdyby w parze z tą wąskością szła również i mała głębokość, Chesea nie zasługiwałaby wcale na uwagę.

Tak jednak nie jest. Chesea jest bardzo głęboka. Na ósmym mniej więcej kilometrze od ujścia sonda wykazała 15 stóp, potem 18, a jeszcze w innym miejscu 12 stóp głębokości. Jej wody, a w szczególności wody jej *cochas*, obfitują bardzo w ryby.

Nie wiem dlaczego jeden z geografów peruańskich napisał, że: „Chesea jest miejscowością, w której Moskity nie pozwalają swobodnie ani pracować, ani jeść“. Ocena ta jest niesprawiedliwa. W przeciwieństwie do wybrzeży Bajo Ucayali, Chesea znajduje się w strefie, w której plaga komarów jest mniej dokuczliwa, a już zupełnie swobodnie można w niej „pracować i jeść“.

Długości Chesea'i nikt oczywiście nie zmierzył. Doświadczeni kauczerzy (zbieracze kauczuku) powiadają, że dopiero po piętnastu dniach podróży łodzią wgórę wód dociera się do miejsca, gdzie wpada rzeka Vacapistea, którą, z kolei, dociera się do działu wodnego, rzeki Yurua'y, w przeciągu pięciu dni. *Varadero* jest wąskie i mierzy zaledwie kilkanaście kilometrów. Jak daleko płynie Chesea poza ujście Vacapistea'y nikt nie potrafił mnie poinformować, gdyż nikt tam nie jeździł. Jest to królestwo Indjan z plemienia Amahuaca, o których wspominałem poprzednio. Drogę powrotną przez Vacapistea'ę i Chesea'ę wdół ma się odbywać w sześć dni. Ta wielka różnica między czasem potrzebnym na podróż wgórę wód, a czasem potrzebnym do podróży z wodą wskazuje na to, że prąd tej rzeki jest bardzo bystry.

Brzegi Chesea'i, poza ujściem, są niemal zupełnie niezaludnione przez białych. W pobliżu Ucayali niema również Indjan wolnych.

Podobnie jak brzegi rzeki Ucayali i wszystkich jej dopływów, również i brzegi Chesea'i pokrywa gęsty, spleciony las równikowy. W paru miejscach zauważyłem satikale, czyli lasy satików rosnących najbujniej na terenach niskich, ulegających zalewom, ale naogół odniosłem wrażenie, że woda nigdzie nie wkracza daleko w głąb lądu.

Brak czasu, który dotkliwie dawał się wyprawie we znaki podczas podróży po Montanji, nie pozwolił nam zapuścić się w górę Chesea'i dalej, aniżeli 15 kilometrów. Trudno, oczywiście, przedstawić sobie z widoku małego kawałka całość rzeki i jej brzegów. Niewątpliwem jedynie wydało mi się, że Chesea jest głęboka i bardzo wąska. Niełatwo było wywnioskować, jak dalece jest spławna, jednak sądząc z tego, że nawet nasza niewielka *Janka* miała sporo trudności z zawróceniem, nie przypuszczam, aby nadawała się do żeglugi bodaj dla małych parostatków. Niezależnie jednak od stron ujemnych, Chesea posiada i posiadać będzie duże znaczenie z racji dogodnego połączenia z rzeką Yuruay'ą, a także dlatego, że stanowi wygodną drogę dla spławu drzewa, kauczuku oraz innych płodów leśnych, w które obfitują wielkie dżungle, leżące na wschód od Ucayali.

W godzinach popołudniowych opuściliśmy Chesea'ę, i znaleźliśmy się ponownie na wodach Ucayali. W pobliżu brzegu dostrzeżliśmy *Cahuapanasa*. Po dłuższym pościgu, w czasie którego stare pudło amazońskie wycężyło wszystkie swoje spróchniałe siły, aby nie dać się Polakom zdystansować, dogoniliśmy je i umocowaliśmy *Jankę*, jak zwykle, do jego boku.

Kapitan Narvaez przywitał nas uprzejmym uśmiechem i chudym obiadem.

I znowu zabraliśmy się do żmudnego robienia notatek, przerywanego od czasu do czasu donośnym okrzykiem któregoś z marynarzy:

— Krokodyl na lewo!

Lub:

— Krokodyl na prawo!

Huczały wówczas strzały, a krokodyle... Różnie bywało. Najczęściej jednak uchodziły do wody, aby „spokojnie zdychać”, jak mówił nasz postugacz, Sinuiri Chota, miły marynarz o twarzy koloru czekolady, usmarowanej nieco sadzami.

Rozdział XXII.

Krwawe echo.

Wpobliżu ujścia rzeki Chesea'i znajdowało się ongiś niewielkie *fundo*, czyli mająteczek. Przy małym strumieniu, Sampaya, stała duża chata na palach, a wokoło niej grupowało się w gęstym platanalu¹ kilka szałasów dla niewolników indyjskich. Mieszkało tam dwóch braci, żyjących z pracy czerwonoskórych i własnej przemyślności. Zdawało się, że przetrwają wieki na tej ziemi, wydartej dziewiczej przyrodzie. Strachy przed Indjanami, które dawniej mąciły spokój osiedla, zanikły, i biali zapuszczali się w najdalsze knieje z taką beztroską, jakgdyby nie selwa to była, pełna niebezpieczeństw i niespodzianek, lecz spokojne ulice Limy, czy Iquitos. Nic nie zwiastowało, aby jakieś ostrożności należało zachowywać.

Aż tu pewnego razu...

¹ Platanal (hiszp.) — plantacja bananów.

Z dalekiego tajemniczego lasu, z wyżyn Gran Pajonalu, przywędrowało tuzin rodzin Kampów.

— Chcemy zobaczyć, jak żyje biały — rzekli i spokojnie podziwiali mnóstwo nieznanym im drobiazgów i czynności.

Był to dzień upalny, słoneczny. Jeden z braci, José, siedział przed chatą i gawędził z Indjanami przyjacielsko.

Civilizados wiedzą doskonale, że przyjaźń czerwonych można uzyskać najłatwiej przy pomocy alkoholu. To też pierwszą czynnością kolonistów z Sampaya'i było wydobycie kilku butelek wódki i ofiarowanie ich przybyszom.

— Pijcie — mówił do nich José po kampasku — jest to trunek silniejszy od najsilniejszego mężczyzny, sprawia rozkosz i przywołuje wesele.

Kampów nie trzeba było zapraszać dwukrotnie. Okowitę umieją wyrabiać sami, a za wódką ludzi białych wprost przepadają.

Poupijali się doszczętnie.

I tam, gdzie odbyła się pijatyka, na złocistej plaży nadrzecznej, legli bezprzytomni. A tymczasem groźne promienie słońca równikowego rozpoczęły swą robotę. Niewidocznymi igłami wbijały się w ciała spitych Indjan i wierciły niewidoczne korytarze. Na drugi dzień obudzili się tylko niektórzy. Trzech zmarło. Może zatruli się alkoholem, może zabiło ich słońce, a może jedno i drugie spowodowało śmierć. Było to jasne dla białych, ale nie dla leśnych Kampów. Za nic nie chcieli uwierzyć, że ich towarzysze zginęli z własnej winy.

— Wy ich otruliście — rzekł jeden z nich do braci z otwartością, cechującą ludzi tego plemienia.

Napróżno Peruańczycy tłumaczyli, że to słońce i nadmierna ilość wódki spowodowała nieszczęście na ich rodaków.

Nie wierzyli.

Joségo i jego brata ogarnął niepokój. Znali ludzi dzikich i wiedzieli, jak trudno z nimi przyjść do ładu. Postanowili obdarować ich sówicę i tem ułagodzić.

— Damy wam maczetę¹ i siekiere — rzekli — ale idźcie sobie stąd natychmiast.

Indjanie podarunki przyjęli i odeszli. Ale tylko na krótko. Nie upłynęło kilka godzin, gdy wrócili ponownie. Jeden z nich wygłosił do białych taką przemowę:

— Wy, wirakucze, zniszczyliście trzech Kampów. Zniszczyliście trzech wojowników, których strzały zawsze spotykały zwierzynę. Wy, wirakucze, jesteście winni ich śmierci i ciężkiego losu ich trzech żon. Napróżno te kobiety będą spoglądać na ścieżkę leśną. Ich karmiciele nie wrócą.

W czasie wygłaszania tych słów przez Kampa, który wydawał się być kuraką (wodzem), pozostali kiwali potakująco głowami i powtarzali co chwila: „echy, echy“.

— Kto tedy — ciągnął dalej kuraka — nakarmi głodne kobiety? Kto naszyje nowych liści na dach ich chat?

Biali próbowali pertraktować.

— Więc czego chcecie? — zapytał José.

Indjanin wyciągnął w górę trzy szeroko rozczapierzone palce i odpowiedział:

¹ Macheta (hiszp.) — długi, szeroki nóż, służący do wycinania krzaków i cięcia ścieżki w lesie. Ostrze mierzy około 1/2 metra długości.

— Trzy strzelby i trzy maczety.

José roześmiał się.

— Za co mam je wam dać? Ani mi się śni. Zresztą, w całym *fundo* niema tyłu sztuk broni.

Śmiech uraził Indjan.

— Dajesz, czy nie? — zapytał kuraka groźnie.

— Nie! — odpowiedział rozgniewany José też niezbyt pokojowo.

— Dobrze, wirakucze, ale pamiętaj, od tej chwili między nami wojna. Strzeż się!

Indjanie oddalili się pośpiesznie, unosząc ku górze swoje długie kuźmy i coś do siebie podniesionym głosem mówiąc.

Civilizados z nad strumienia Sampaya znali Kam-pów i wiedzieli, że dotrzymają słowa. Rozesłali tedy w okolice wici i zdwoili zwykłą czujność. Przez szereg dni spokojne *fundo* rozbrzmiewało szczękiem broni sąsiadów, przybyłych samotnym osadnikom z pomocą. Gdy jednak minął jeden i drugi tydzień, a nic nie zamąciło spokoju cichej osady, przyjaciele rozjechali się do domów. Rychło i pewnośc siebie powróciła pod palmową strzechę białych. Kto wie — myśleli — może Indjanie zaniechali zemsty. Przecież nigdy nie wiadomo napewno, co zrobi człowiek dziki.

Jednak wrócili...

Już zdaleka wydawali wrogie okrzyki.

Enrique, brat Joségo, padł pierwszy. Strzała przebiła mu gardło. José zdążył wyrwać rewolwer z za pasa i dać kilka strzałów. Połała się krew czerwonych. Konwistador pojął jednak odrazu, że tu, na otwartem miejscu, musi go „spotkać“ trzciniowa strzała, kierowana niezawodną ręką Indjanina. Trzeba dopaść do

chaty. Tam, w kącie, stoi karabin. Gdy poczuje przy ramieniu jego kolbę, będzie już bezpieczny. Byle tylko znaleźć się w chacie...

Nie było mu jednak sądzone do izby dotrzeć.

Na jej progu, na wysokich schodach, jakie zwykli budować *civilizados* przy swoich chatach, wzniesionych na palach, poległ.

Kropla po kropli spływała z jego ran krew i powoli wsiąkała w wilgotny grunt wybrzeża Ucayali.

Gdy *practico* rzeczny z *Cahuapanasa*, Julio Cesar Paredes, opowiedział mi tę historję, zapadał właśnie zmrok. Z zalanych czerwonym światłem brzegów Ucayali wyglądały ku mnie zarośnięte już zupełnie półka osady z nad ujścia Sampaya'i.

Nieco dalej wyrastały ponad szczytami drzew wysokie wzgórza — pierwszy stopień do rozległego, tajemniczego wyżu, zwanego Gran Pajonalem. Co kraj ten, nietknięty stopą białego człowieka, w sobie kryje? Jakie jeszcze niespodzianki zgotuje białym osadnikom z nad Ucayali? Na to pytanie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. Wiemy o nim napewno tylko to, że zaludniają go liczne szczepy indyjskie, wśród których kołaczę się do dzisiaj wolna pieśń i otwarta ku białym nienawiść.

— I cóż? — Zapytałem przewodnika rzecznego — czy sąsiedzi nie próbowali pomścić śmierci Josého i jego brata?

Przewodnik potrząsnął głową.

— Nie — rzekł — nie próbowali. I nawet nie mogli próbować, albowiem działo się to w roku 1915, na krótko przed wielkiem powstaniem ludzi czerwonych z Gran Pajonalu i z nad Ucayali.

Jeszcze przez długie godziny roztaczał przede mną Peruńczyk opowieści o krwawym roku, kiedy to dzicy Kampowie połączyli się z niewolnikami z nad Ucayali i wspólnymi siłami uderzyli na wspólnego wroga. Dużo *civilizados* zginęło. Podobno ponad sto rodzin. Jeden Pancho Vargas¹ ostał się i to tylko dlatego, że jego Pirowie nienawidzą Kampów i chętnie przeciw nim wystąpili. Ciężkie to były czasy. Czerwoni ośmielili się napaść nawet na statek pocztowy, na lancę *Libertad*. Później, przez długie lata, nikt nie ważył się na osiedlenie za Cumarią. Urodzajne ziemie stały puste, czekając cierpliwie innych, lepszych czasów. Czy te dzisiejsze „lepsze“ czasy są jednak lepsze, to jeszcze kwestja.

Pobici Kampowie odsunęli się w głąb łądu. Dawne szczepy nadbrzeżne błakają się dzisiaj po stepach i lasach Gran Pajonalu. Nie wszystkie jednak utrzymały nieskażoną linię bohaterstwa. Niektóry nachyliły głowy pod obrożę niewoli i nadal polują na paiche i paukary nad rudemi wodami Ucayali. Zwą ich *mansos*.² Kto wie jednak, czy któregokolwiek dnia nie poczują w sobie niezmożonej tęsknoty do swobody i wolności... Co wtedy? Nowa rzeź białych, czy hekatomba czerwonych? Napróżno sobie nad tem pytaniem łamać głowę. Życie je rozwiąże. Kto silny i czujny — ten wytrwa, kto słaby i niebaczny — zginie.

¹ Znany w Montanji plantator, o którym będę pisał na dalszych kartach tej książki.

² Manso (hiszp.) — dosłownie: oswojony. Terminu tego używa się w stosunku do tych Indjan, którzy utrzymują przyjazny kontakt z białymi. Można też powiedzieć o koniu, psie, lub kocie etc., że jest „manso“, czyli oswojony, łagodny.

Rozdział XXIII.

Wśród pionierów włoskich.

Do miejscowości Cumaria, położonej nad górnem Ucayali, przybył przed pięćdziesięciu laty Włoch z Lombardji — Francisco Franchini. Stała tam wówczas niewielka wioska indyjska, a naokoło, jak wszędzie, rósł potężny, wysokopienny bór. Twardy był to człowiek ten Franchini. Przez pół wieku walczył z groźną przyrodą, dzikim zwierzem i dzikimi ludźmi. Jednak wrósł w ziemię mocno. Zapasy z krajem dziewiczym skończyły się dlań pełnem zwycięstwem. Z dumą spogląda na dzieło swego życia: — na szereg włoskich osiedli, rozsypanych po obu brzegach Ucayali. Dwudziestu czterech wnuków i osiemnastu prawnuków osadza mu starość nieustanną troską o niego i miłością. Ciężki trud tego prostego człowieka stworzył tu, nad górnem Ucayali, kawałek dalekich Włoch. Starokrajskie nazwy,¹ starokrajka mowa, imiona i zwyczaje przypominają mu rodzinną Lombardję i dalekich rodaków.

Na tym kawałku Włoch znaleźliśmy się 7 maja przed świtem. Ładna słoneczna pogoda wywabiła mnie na łód bardzo wczesnie. Wdrapałem się na dość stromy, wysoki na jakieś dwanaście metrów brzeg, i rozejrzałem się...

Ponieważ o Cumarii słyshałem jeszcze w Polsce, przypuszczałem, że bądź co bądź, zastanę tu, o ile nie miasteczko, to przynajmniej osadę, podobną do Masi-sea'i. O błogie złudzenia! W rzeczywistości całą Cumaria'ę tworzą dwa domy, w których mieszka stary

¹ W pobliżu Cumaria'i leżą osiedla: Florencja, Wenecja i Bolognesi.

Franchini i jego zięć, Giuseppe Dolce. Nawiasem mówiąc, Dolce jest jedynym białym nad Ucayali, którego czepliła się okrutna choroba, zwana *sarna negra*.

Oprócz dwóch domów mieszkalnych, stoi w Cumaria'i tak zwane *engenio*, czyli fabryczka śniadego cukru i wódki trzciniowej. Jest to „państwo“ Dolcego. Jego to ręce zmontowały niezgrabne maszyny i pouzupełniały brakujące, zapewne zużyte części. Fabryczka Dolcego — to chluba całego górnego Ucayali. I aczkolwiek wygląda więcej, aniżeli skromnie, to jednak, gdy zważymy, w jakich warunkach powstała, zgodzimy się uznać ją za taką chlubę.

Jak wszyscy biali z nad Ucayali, Dolce ma niewolników indyjskich. Głównie Kampów i Kunibów. Twierdzi, że Kampowie są znacznie do roboty „sposobniejsi“ i chętniejsi. W przeciwieństwie do Urrestiego z Monte Carmelo, nie zabrania im nosić narodowych ozdób, to też jego Indianie paradują dotychczas w koronach z piórami, w koleczykach, kunsztownie założonych do nosa i dolnej wargi, a także w bawełnianych, malowniczych kuźmach.

Po zwiedzeniu Cumaria'i postanowiliśmy udać się na drugi brzeg rzeki, na którym, w odległości kilku kilometrów, znajdowała się miejscowość Florencja, *fundo* jednego z synów patriarchy włoskiego. Ponieważ niejaki Lavy, Indianin z pleniemia Kunibo, udawał się wraz ze swoją liczną rodziną, do której należały dwie żony i wiele dzieci, w tym samym kierunku, co i my, pozwoliliśmy mu przyczepić swoją łódź do naszego jachtu. *Cahuapanas* pozostał w Cumaria'i i miał nas dogonić we Florencji, lub innej pobliskiej miejscowości.

Nieco powyżej siedziby Franchinich prawy brzeg rzeki jest niski i nosi cechy zalewności, lewy natomiast jest nieco wyższy. Po godzinie drogi zauważyłem, że brzeg prawy wygląda nieco lepiej, co też znalazło swój wyraz w tem, że zauważyliśmy zaraz osiedle ludzkie. Była to miejscowość Varadero, w której mieszkał niejaki Benjamin Sanchez, wychodźca, czy też uciekinier z departamentu San Martin. Aczkolwiek brzegi wydawały mi się tam wyniosłe, to jednak Sanchez twierdził, że ulegają one w niektórych latach zalewom. Uległy im także w roku 1927.

Z siedziby Sancheza prowadzi znacznie krótsza, aniżeli rzeką, droga do miasteczka Bolognesi. Aby dostać się do tej miejscowości, położonej za wielkim zakrętem, wystarczy trzech godzin drogi, z których jedna przypada na marsz pieszy, a dwie na jazdę łodzią przez bezimienne jezioro.

Wkrótce po opuszczeniu Varadera przybyliśmy do Florencji. Jej właściciel, Carlo Franchini, był nieobecny. Znajdował się właśnie w Iquitos, dokąd spławił parę tratw drzew. W gospodarstwie zastępowała go żona, również Włoszka, z domu Orsini, którą Carlo przywiózł sobie pewnego pięknego dnia z Iquitos. Dobrobyt tej rodziny jest oparty w pierwszym rzędzie na bawelnie i drzewie. Doskonale sekunduje temu bezpłatna praca niewolnych Kunibów, których Carlo Franchini „posiada“ około czterdziestu rodzin. Na własne potrzeby uprawia również ryż, jukę, kukurydzę, a także mnóstwo bananów.

Pani Franchini, osoba nader miła, zaprosiła nas jak najuprzejmiej do swojego domu, który, aczkolwiek służył za pomieszczenie ludziom zamożnym, na nazwę

domu właściwie nie zasługiwał. Dziwna rzecz, jak pionierzy peruańscy, a nawet cudzoziemscy w Peru, małą przykładają wagę do urządzenia swego ogniska domowego. Byłe budę na palach, sporządzoną z połupanych bambusów, przykrytą liśćmi, uważają za dostateczne schronisko na wiele lat, a nawet na całe życie. Pęczniejący trzos i rosnące w banku konto też nic w tych stosunkach nie zmienia. Niesłychanie niska stopa życiowa, ograniczająca się do zaspokajania jedynie elementarnych potrzeb, wystarcza tym ludziom jak najzupełniej. Domy ich nie posiadają nic z malowniczości wnętrz chat pionierów anglosaskich. Ani jednej skóry na ścianie, ani jednej barwnej tkaniny, nic, nic, nic... A jednak ci ludzie są ze swoich domostw zadowoleni... Ba, i jeszcze jak. Trudno wprost wyrazić dumę, z jaką wygłaszają do obcego przybysza formułkę grzecznościową:

— Mój *dom*, panie, jest do twego rozporządzenia.

W najbliższem sąsiedztwie „dworu“ Carla Franchiniego stoi kilkanaście chat indyjskich, zamieszkałych przez Kunibów. Udałem się do nich. Wszedłem do jednej z dużych, wielorodzinnych chat. Zostałem tam kilku mężczyzn i może z tuzin kobiet i dziewcząt. „Panowie“ nosili na sobie kuźmy, natomiast „panie“ ograniczały cały swój strój do krótkich spódniczek, sięgających od pasa do kolan. Nietrudno było tedy zauważyć, że niewiasty te są naogół dobrze zbudowane, że skóra ich jest gładka i że kolorem nie różnią się wiele od swoich białych, peruańskich siostrzyc.

Podobnie jak wszystkie wioski indyjskie, również i ta posiadała swego wodza. Nazywał się Hernando Angyny, a jego ostatnio poślubiona i najulubieńsza

ze wszystkich żon, nosiła imię Riszi. Oprócz niej, szczylił się Angyny posiadaniem jeszcze trzech innych kobiet, które różnemi czasy poślubił i które, dość zresztą zgodnie, pracowały na swego męża i pana. Podczas mojej rozmowy z kuraką nadeszły jeszcze dwie młode kobiety. Przywitały się jakimś mruknięciem i grzecznie usiadły na ziemi.

— Czy to też twoje żony? — zapytałem Angyny'ego, wskazując na przybyłe kobiety.

Indjanin roześmiał się. Wogóle, czerwonoskóry śmieje się zawsze, gdy biały go o coś zapyta. Śnać wydaje mu się to niesłychanie śmieszne, że wirakucze może nie wiedzieć czegoś, o czym on, głupi Indjanin, wie doskonale.

— Nie — odrzekł — to nie są moje żony. One mają innego męża.

I zaraz dodał:

— Przyszły tak jak ty, odwiedzić mnie.

Teraz ja kolei roześmiałem się. A więc te golasy przyszły z wizytą. Jednak nasze różne „czwartki“ są niczem innym, jak tylko dalszym ciągiem wizyt, składanych już w czasach zamierzchłych, w czasach, kiedy za ostrza strzał służył nam pocziwy kamień.

Chcąc wykorzystać przyjazną rozmowę, zacząłem wypytywać kurakę, jego żony i gości o znaczenie różnych wyrazów. Z wielkiej kurtuazji dla dam rozpocząłem od zanotowania imion kobiet. Prawie wszystkie nosiły imiona hiszpańskie, nadane im przez białych panów. Zważywszy jednak, że wiele z nich przypominało sobie te imiona z wielkim trudem, albo nawet nie pamiętało ich zupełnie, można było wniosko-

wać, że oprócz imion narzuconych, posiadały jeszcze inne, rodzinne.

Język Kunibów jest bardzo podobny do języka Czamów, Szypibów i Setebów. Podobieństwo jest tak duże, że należałoby właściwie zastanowić się nad tem, czy są to języki odrębne, czy też tylko narzecza jednego języka. To wielkie podobieństwo sprawiło widocznie, że biali mieszkańcy brzegów Ucayali nazywają wszystkie te plemiona jednym, wspólnem mianem Czamów.

Zarówno podczas wizyty u pani Franchini, jak i w czasie odwiedzin u Angyny'ego towarzyszył mi stale Lavy. Gdzie tylko się zwróciłem, wszędzie migotał mi w słońcu jego wypukły, srebrny kolczyk w nosie.

— Czego ty się wciąż za mną włóczysz? — zapytałem go.

Lavy przestraszył się, ale nic nie odpowiedział. Z jego miny wywnioskowałem, że czegoś chce.

— No, cóż Lavy? — zachęciłem go do pogawędki.

— Moja chata jest blisko — rzekł naraz „ni w pięć, ni w dziesięć“.

Chcąc zrobić mu przyjemność zainteresowałem się tą bliskością i zapytałem, ile czasu potrzeba na dotarcie do niej.

— Na twojej łodzi dojedziemy tam prędzej, aniżeli ptak przeleci Apuparo.¹

Zrozumiałem, że Lavy'emu marzy się moja wizyta.

— Gdyby to była prawda — rzekłem — to pojechalibyśmy do ciebie.

¹ Apu-paro — indyjska nazwa Ucayali.

Lavy ożywił się.

— Prawda, panie. Jedź do mnie. Napijesz się najlepszej chicha'y, jaką kobiety Kunibów gdziekolwiek na świecie robią.

Biedny Lavy nie przypuszczał, że wolałbym sobie uciąć palec, aniżeli wypić tykwę indyjskiej chicha'y.¹ Niemniej jednak wybrałem się w odwiedzinę do poczciwego dzikusa, któremu aż oczy błyszczały do tego zaszczytu, za jaki uważał wizytę człowieka białego.

Po krótkim pobycie u Lavy'ego udaliśmy się jachtem na drugi brzeg rzeki, na którym widniała jakaś chata. Lavy nazwał tę miejscowość Catay. Mieszkała tam rodzina metysów, przybyła z nad Urubamby. Sam właściciel zastrzelił się, podobno przypadkowo, przed paru miesiącami. Pozostała wdowa z 15-letnią córką i dwoma dorastającymi synami. Utrzymują się z uprawy bawełny i zbierania balaty. Ta samotna chata nad wielką rzeką, otoczona zewsząd potężną dżunglą, jest świadectwem niezmożonej siły żywotnej człowieka. Zdala od istot sobie podobnych wydziera ta nieliczna rodzina wrogiemu żywiołowi to wszystko, czego potrzebuje do swej pierwotnej egzystencji.

W Catay dogonił nas *Cahuapanas*. Resztę dnia spędziliśmy na jego pokładzie. Już późnym wieczorem dotarliśmy do caserio'a Seboya, położonego o pół godziny drogi od ujścia rzeki Seboya'i, lewego dopływu Ucayali. Znaleźliśmy tam dwanaście chat, zamieszkałych przez *civilizados*, trudniących się zbieraniem gumi i rolnictwem.

¹ Napój z kukurydzy lub owoców palmy. Przygotowuje się go w ten sposób, że materiał przeżuwiają kobiety w ustach, wypluwają tę papkę do glinianego naczynia, poczem, po przefermentowaniu, napój jest gotów.

Rozdział XXIV.

Spotykamy misjonarzy amerykańskich.

Dzień był słoneczny a powietrze świeże, gdy dotarliśmy do miejscowości o dziwacznej, bo baskijskiej nazwie — Betijay. Mieszka tam Bask hiszpański wraz z żoną, córką Sancheza z Catay. Nawiasem mówiąc, pan domu, podobnie jak wielu innych panów domów z miejscowości, które odwiedziliśmy, był nieobecny. Wyruszył do dżungli zbierać balatę.

— Czy pani nie boi się mieszkać sama w selwie? — zapytałem niebrzydka kobietkę, żonę Baska.

— Nie jestem sama — odrzekła, wskazując na uśmiechniętą Indjanę-służącą.

— No tak, ale to niezbyt pewna ochrona.

— Tutaj niema przed kim się bronić — westchnęła żałośnie właścicielka osady Betijay. Widocznie ten stały brak niebezpieczeństw dokuczył jej już porządnie...

— Chyba przed tygrysami — dodała po chwili.

Z opowiadania tej niewiasty wynikało, że w pobliżu Betijay jest dużo jaguarów, których ryk niepokoi nadbrzeżnych mieszkańców. Oprócz tych groźnych drapieżników, znajduje się tam jeszcze wielkie mnóstwo ronsoco'ów (*Hydrochoerus capybara*) czyli wodoświnek, znanych polskim kolonistom w południowej Brazylii pod nazwą kapiwarów. Wielkie stada ronsoco'ów mają stale plondrować półka kukurydzy i juki. Na tę samą plagę narzekała pani Franchini z Florencji, co świadczyłoby, że strony tamte obfitują w zwierzynę. Ronsoco'i i polowanie na nie opisywałem już wielokrotnie,¹

¹ Patrz tegoż autora: „W dzikich ustroniach“, „Na cmentarzyskach Indjan“, „Oceanem, rzeką, łądem“.

to też nie będę się tutaj rozwodził o nich szeroko, nadmienię tylko, że zasięg geograficzny tych zwierząt jest bardzo rozległy, oraz że mięso ich jest niesmaczne, aczkolwiek jadalne. Tłuszczu używają mieszkańcy Brazylii jako lekarstwa przeciw reumatyzmowi i szeregowi innych dolegliwości.

O kilka godzin drogi od Betijay leży małe miasteczko, noszące nazwę wziętą od nazwiska peruańskiego bohatera narodowego, pochodzącego z włoskiej rodziny. Jest to Bolognesi. Wprawdzie „miasteczko“ liczy niespełna setkę mieszkańców, lecz w tych stronach uchodzi za gród nielada. Leży ono na wysokim, niezależnym brzegu i posiada coś w rodzaju ulicy, przy której wznosi się sześć domów, wyciągniętych w jeden szereg. Podobnie jak domy nad całym Ucayali, są one zbudowane na palach i kryte liśćmi palmy yarina'y. Pozostali mieszkańcy posiadają swoje domostwa w obrębie kilkuset metrów. Otaczają je wielkie gaje bananowe i małe pólka bawełniane, jukowe i kukurydzowe. Bolognezjanie zajmują się głównie zbieraniem kauczuku, który gromadzą na rachunek różnych domów handlowych z Iquitos. Ponieważ gumowce najbliższych okolic wybrzeży Ucayali zostały już wyniszczone rabunkową gospodarką chciwych „wytwórców“, przeto obecnie kauczery z Bolognesi muszą po ten cenny produkt zapuszczać się daleko w głąb lądu, gdzie drapieżna ręka człowieka białego nie zdążyła jeszcze dokonać zniszczenia.

W czasie całej niemal podróży spotykałem się ze zdaniem kauczery, że w pobliżu Ucayali już prawie wcale niema gumowców, zdolnych do eksploatacji. Znaczyłoby to, że ziemie przeznaczone dla pol-

skiej kolonizacji, jako stanowiące wąski, trzydziestopięciokilometrowy pas nad samą rzeką, są tego cennego produktu pozbawione. Jedyne na dużej wyspie San Pablo, położonej w pobliżu ujścia Urubamby, ma się znajdować jeszcze nieco terenów kauczukowych, co stwierdzili wobec mnie jej mieszkańcy. Ale, niestety, wyspa ta nie jest do koncesji włączona.

Bolognesi posiada teniente-governadora, którym jest prosty człowiek, nazwiskiem Juan Ruiz, oraz dwie szkoły powszechne. W szkołach tych uczą dwie sympatyczne panienki. Na lekcje uczęszcza około 70 dzieci. Ta wielka liczba uczniów i uczennic tłumaczy się tem, że wielu mieszkańców z miejscowości, gdzie o szkołach jeszcze zupełnie głucho, lokuje swe dzieci „na stancjach“ w Bolognesi. Zresztą, dzieci jest tam aż do zbytku. Nic dziwnego też, że szkoły w Bolognesi są przepełnione, a nauczycielki przepracowane.

W czasie pobytu w Bolognesi mieliśmy bardzo ciekawe spotkanie. Nadjechali tam wówczas na wielkiej łodzi indyjskiej dwaj misjonarze północno-amerykańscy. Jeden z nich, V. E. Peugh, jest superintendentem czyli biskupem, i stale rezyduje w Limie, drugi zaś, E. A. Stahl, Niemiec amerykański, piastuje nieco niższe godności i stale rezyduje w Iquitos. Głównem centrum działalności tych misjonarzy¹ jest miejscowość Peruvian, położona nad rzeką Perené. Stamtąd zapuszczają oni swoje zagony w głąb Montanji, niosąc słowo Boże do plemion indyjskich, a jak twierdzą ludzie obeznani ze stosunkami — prowadzą wywiad na rzecz kapitału swojej ojczyzny. Dla ni-

¹ Ewangelicy.

kogo nie są tajemnicą metody Yankesów. Sami byliśmy świadkami podczas wojny i bezpośrednio po niej najścia rozmaitych instytucyj, których celem działalności nie wydawało się być jedynie łapanie dusz, lecz coś innego, wstydliwego. Wiemy wszyscy, że wślad za wyprawami naukowemi, czasem nawet wyprzedzając je, idą misjonarze, a dopiero dalszy etap stanowi najście kapitału w postaci wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw i komiwojażerów. Amerykańskie wyprawy naukowe już Montanję badały, teraz pokazali się misjonarze, zobaczymy co będzie za lat kilka. Wielkie środki, jakimi ewangelicy rozporządzają, i idąca stąd ich wielka bezinteresowność w stosunku do autochtonów zaskarbiła im wśród nich wielką więźność. Dzisiaj istnieje już wiele plemion, twierdzących o sobie, że są ewangelikami i żywiących do „ojca Stahla“ niekłamaną sympatję. Zdarzyło się nam w dalszej podróży, że nawet największy wódz Kampów, krwawy Tasulinczi, oświadczył, że jest ewangelikiem i dopytywał się skwapliwie, gdzie obecnie przebywa padre Stahl. Krążyły wówczas wśród Kampów wieści, że ewangelicy mają przybyć z wielkim okrętem, pełnym różnych użytecznych przedmiotów, nad rzekę Tambo, aby założyć wpobliżu ujścia rzeki Cheni duże osiedle indyjskie. Opowiadali sobie Indjanie, że w mieście tem będą rządzili ludzie czerwoni, jedynie przy życzliwej pomocy ewangelików. Wersję tę potwierdzono nam również w wielu innych miejscowościach, a więc nie jest wykluczone, że podróż Peugha i Stahla, którzy przebyli całe Perené, Tambo i obecnie przecinali Ucayali, była rekonnesansem, pozostającym w związku z zamiarami, o których głośno mówiono wśród Indjan Gran Pajonalu.

Dwaj misjonarze niemiecko-amerykańscy przypominali swojami osobami wszystko, tylko nie misjonarzy. Co do superintendenta, to twarz jego miała w sobie nieco uduchowienia, ale potężna i dość opasła sylwetka Stahla przywodziła mi na myśl jedynie dobrego piwosza, lubiącego opowiadać niezawsze chude kawały i dobrze zjeść. Był to jednak niewątpliwie doskonały organizator, czego dowodem była jego duża popularność wśród Indjan. Ubrani byli na modłę kowbojów. Obaj znali język hiszpański, a podobno także nieco i język Kampów. Do Bolognesi przybyli na zwyczajnej łodzi wiosłowej, w towarzystwie metysa-tłumacza i siedmiu Indjan wiosłarzy.

Misjonarze zabawili w Bolognesi krótko. Coś tam z niektórymi ludźmi poszeptali, porozmawiali z nimi, kupili świeżych bananów oraz kur i odjechali. Zniknęli tak szybko i niespodziewanie, jak przyjechali. Tylko potężny głos rogu, na którym jeden z ich wiosłarzy wygrywał dzikie a przejmujące melodie, dochodził naszych uszu jeszcze przez długą chwilę, ale i on utonął wreszcie w głębokich nurtach Ucayali, służących za schronienie licznyim plemionom rybnym i legendarnym, zielonowłosym upiorom — Yacu-runom.¹

Rozdział XXV.

„Ci ludzie, to mordercy“.

Kilkanaście kilometrów powyżej Bolognesi dostrześliśmy po raz pierwszy niezamieszkane wybrzeża, które wydały się nam możliwe do założenia osiedla.

¹ Patrz rozdział: Yacu-runy.

Być może, odcinków takich było znacznie więcej, ale ja ich nie widziałem. Tereny tamtejsze pokrywała gęsta, wysokopienna dżungla i nigdzie nie było widać ani śladu satików lub chikotzy, natomiast tak zwany *canal* (główne koryto) przechodził w pobliżu brzegu, co pozwalałoby okręcikom dobijać do samego lądu. Podczas mijania tych stron zdarzył się nam defekt w motorze jachtu. Staliśmy w miejscu przez dwie godziny. Po skutecznieniu naprawy, ruszyliśmy w dalszą drogę i na noc dotarliśmy do miejscowości Chumichinya, zamieszkaną przez dwie rodziny *civilizados*.

Następnego dnia przecinaliśmy przez kilkanaście godzin kraj zupełnie niezamieszany. Dopiero późno po południu dotarliśmy do wyspy Chumichinya, na której ma gospodarować sześć rodzin japońskich emigrantów. Na południowym krańcu tej dużej wyspy, gdzie leży miejscowość, nosząca kobiecą nazwę *Hermelinda'y*, wylądowaliśmy. Przesiedliśmy się tam na jacht i odłączyli od *Cahuapanasa*, który podążał za nami zwolna. Chcieliśmy odszukać rzekę *Cuengua'ę* i zapuścić się nią w głąb lądu. Niestety, znaleźć jej nie potrafiliśmy, jak również nie potrafiliśmy stwierdzić, czy rzeka ta wogóle istnieje. Zdarza się bowiem w Montanji niejednokrotnie, że jakaś rzeka, jezioro, lub nawet miejscowość powtarza się uporczywie na wszystkich mapach, a w rzeczywistości nikt o niej nic nie wie. W czasie całej podróży po *Ucayali* robiłem poprawki na istniejącej już mapie i byłem zmuszony poprawek i uzupełnień dokonać przeszło sto, aczkolwiek jestem przekonany, że zrobiłem tylko drobną część tego, co należałoby zrobić, aby mapa tej rzeki była choć jako tako dokładna.

Była może godzina czwarta po południu. Upał już przeminął i nad rzeką zaczynały ukazywać się gromady zielonych papug, białych czapli i barwnych zimorodków. Hałaśliwy motor jachtu płoszył drzemiące na plażach krokodyle i nieruchawe kamungi. Brzegi rzeki porastała, jak wszędzie, zielona gęstwina dżungli. Girlandy lian zwieszały się do samej wody, maczając w niej swoje splecione warkocze. Z głębi ładu dochodziły niekiedy jakieś dziwaczne głosy. Coś tam jęczało, skomlało lub krzyczało donośnie, triumfalnie. Gdy mijam takie strony dzikie, serce przepęlnia mi nieusprawiedliwiona niczem radość i wesele. Przyroda nabiera dla mnie wówczas tajemniczego wyrazu. Głos ptaków wydaje mi się ostrzeżeniem dla ukrytych w gęstwinie stworów dziwnych, szum fal — szeptem tajemniczym, a śpiew dżungli — groźbą. Wydaje mi się wtedy, że nie głusza bezduszna otacza mnie wokoło, lecz zbiór tworów żywych, czujących podobnie jak ja. I gdy w takiej chwili jestem sam, prowadzę z dżunglą i jej duchami długie rozmowy. Dla kogoś, ktoby mnie wówczas podsłuchał, byłoby to zwykłe majaczenie człowieka chorego. Ale ja jestem zdrow... Tylko... tylko, że mnie zdarzyło się już niejednokrotnie poczuć na sobie groźną, lecz wyrozumiałą rękę dżungli. Pocziwa dżungla! Ileż to razy miała mnie w swoich pazurach, ileż to razy mogła mnie zgnieść, jak marnego robaka, a przecież żyję. Pocziwa dżungla!

Z marzeń wyrwał mię jakiś krzyk donośny. Głos ten brzmiał w puszczy obco.

— Indjanie! — wykrzyknąłem ku kolegom.

Nie omyliłem się.

W pięć minut później ujrzeliśmy ujście rzeki Puntijao, a w jej najbliższym sąsiedztwie wioskę indyjską.

Szum motoru wywabił na brzeg tłum ludzi. Czerwonoskórzy nie okazywali zbytnej ufności ludziom białym, gdyż na brzegu nie widzieliśmy kobiet, a mężczyźni przybyli z bronią, wśród której nie brakowało i karabinów.

Towarzyszący nam podczas wypraw przedstawiciel szefa departamentu Loreto, Urresti, okazał na widok wioski i ludzi, którzy wysypali się na brzeg, pewne zaniepokojenie.

— Kapitanie — wykrzyknął nagle do mnie — ci ludzie, to mordercy!

Spojrzałem na niego pytająco.

— W roku 1915 — mówił — przyłączyli się oni do buntowników Tasulinczego z Gran Pajonalu i wspólnie z nimi dokonali znanej panu rzezi. Gdy w owym czasie zbliżaliśmy się z kapitanem Julio Delgadem na statku Libertad do tej miejscowości, Indianie wyszli na brzeg, podobnie jak teraz, i nie pozwolili nam wylądować. Ten sam kuraka, którego obecnie widzę między nimi, wymierzył ku nam karabin i zagroził strzałami, o ile statek zatrzymałby się chociaż na chwilę.

Patrząc na dziwne oburzenie, jakie ogarnęło Peruńczyka podczas opowiadania, zwróciłem jego uwagę, że postępowanie Indian należałoby uważać za naturalne, boć przecież wówczas była wojna.

Urresti aż podskoczył.

— Nie, kapitanie — zaperzył się — nie było wojny, był bunt.

Niezależnie od tego jak tam ongiś było, należało zachować środki ostrożności przy lądowaniu. A więc przede wszystkim przypasaliśmy rewolwery, które wielokrotnie pozostawialiśmy dla wygody w łodziach i mieliśmy się na baczności.

Jak w wielu innych miejscach, również i w Puntijao udało się nam zawrzeć z Indjanami przyjaźń, dzięki paru drobiazgom, ofiarowanym im bezinteresownie. Już po pierwszej wymianie słów Indjanie przestali zdradzać nieufność, popuszczając wodze swojemu dobremu humorowi i zwykłej pogodzie ducha. Sam kuraka, potężny dryblas, naznaczony czarnym świerzbem, gdy poczuł w ręku królewski dar — trzysolową maczetę, rozkleił się zupełnie i kazał swoim poddanym, aby zaraz poodnosili do chat strzelby i łuki.

Wioska Kampów przy ujściu rzeki Puntijao liczyła sześć wielkich wielorodzinnych domów i około setki mieszkańców. Szczep ten, aczkolwiek zachował do pewnego stopnia swoją niezależność, jednak w rzeczywistości podlegał jednemu z białych sąsiadów, a mianowicie niejakiemu Simphorianowi Pinheiro, którego nazwisko zdradzało pochodzenie brazylijskie. Zależność wyrażała się w dostarczaniu bezpłatnego robotnika do wyrębu lasu, oraz do zbierania kauczuku i obróbki plantacji bawełny. Wzamian za tę korzyść realną dowcipny Pinheiro „opiekował się“ czerwonymi w sposób dość nietrudny. Opieka ta polegała jedynie na gwarancji, że już inny biały nie będzie nachodził cichej wioski, otoczonej plantacjami bananów i juki.

W Puntijao miałem możliwość po raz pierwszy zapoznać się z budownictwem Kampów. Różni się ono od budownictwa innych plemion ukajalskich większą solidnością i specjalnymi cechami, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć należy kopulastą budowę dachu i niedociąganie go do samej niemal ziemi, co prawie z reguły widuje się w wielorodzinnych budowlach Kunibów, Setebów, Szypibów i Czamów.

Wszyscy mieszkańcy Puntijao używali strojów narodowych, czyli tak zwanych kuźm, które opisywałem już poprzednio. W przeciwieństwie do kobiet innych plemion, spotykanych przez nas w dotychczasowej podróży, a używających jedynie krótkich spodniczek i niekiedy kupnych bluzek, kobiety kampaskie noszą, podobnie jak mężczyźni, kuźmy, które nazywają z polska *kiecelenc*. Szata kobieca, czyli taka *kiecelenc*, różni się od szaty męskiej jedynie poprzecznem, a nie podłużnem wycięciem na szyję. Wynikałoby z tego, że skromność i wstydlivość kobiet kampaskich stoi wyżej od tych samych cech u kobiet innych plemion. I tak, niewątpliwie, jest. Ponadto trzeba dodać, że kobieta kampaska jest nadzwyczaj wierną i dobrą żoną. Do wierności należy jeszcze dołączyć cnotę odwagi. Żona towarzyszy mężowi na wojenne wyprawy i mężnie walczy przy jego ramieniu, nosząc za nim naręcz strzał i worek z jedzeniem. Wierne, odważne, a nadewszystko pracowite są żony wojowników z plemienia Kampów. Ale i oni sami zasługują na takie kobiety, jakie posiadają. I im nie są obce cnoty, które przyozdabiają ich żony, córki, matki i siostry. Ich serce nie zna uczucia strachu, język — kłamstwa, mięśnie — zmęczenia. Dopasował ich do siebie dobry Bóg-Tahuanty. To też miłość gorąca, stała i wierna, wygnana sromotnie z krain cywilizowanych, znalazła wśród nich azyl trwały.

Takich to ludzi: dumnych, pięknych i szlachetnych nazywają nad Ucayali mordercami. I kto nazywa? Ci, na których rękach przyszło tyle krwi indyjskiej, że możnaby nią napelnić niejedną rzekę; ci, na których sumieniach ciąży tyle tragedij ludzi, łowionych w nie-

wolę i zmuszanych do pracy, że bledną przy nich nieszczęścia ludów, wstrząsanych najkrwawszymi ruchami społecznymi.

Kampowie są takimi, jak ich opisałem, ale nie trzeba zapominać, że są to jednocześnie dżicy barbarzyńcy, w których krwi tętnią nieposkromione namiętności. Łagodni i szlachetni podczas pokoju, zdradzają okrucieństwo i bezwzględność na wojnie.

A oto jeden do tego przyczynek.

— Gdy stało się już jasne — opowiadał mi Urresti po opuszczeniu Puntijao — że Indjanie z nad Ucayali zbuntowali się i że wycinają białych, ogarnął mego przyjaciela, Julja Delgada, strach o los siostry, która w pobliżu Puntijao mieszkała. „Musimy ją za wszelką cenę ratować“ — zdecydował. Przybyliśmy jednak za późno. Na miejscu fundo'a, gdzie mieszkała siostra Delgada, widniała tylko kupa popiołu. Z mieszkańców nie pozostało śladu. Już myśleliśmy, że nie ujrzymy nieszczęsnej kobiety nigdy, gdy dostrzegliśmy wdali, że Indjanie wynieśli na plażę jakieś ciało i tam je pozostawili. Biedny Juljo rozpoznał przez lornetkę, że to ciało jego siostry. Żyła jeszcze. Podpłynęliśmy statkiem nieco bliżej i wyszliśmy na plażę. Była to rzeczywiście siostra Julja, ale zanim zdążyliśmy podejść do niej, z sąsiednich zarośli huknęły strzały i posypały się kule. Indjanie umyślnie podrzucili kobietę, aby przywabić nas i z bezpiecznego ukrycia zaatakować. Rękę mi wówczas i nogę przeszyła trzcinowa strzała. Ośmiu ludzi Indjanie ranili, dwóch zabili, ale kobietę uratowaliśmy. W ciężkiej, kapitanie, była ona niewoli. Indjanie pastwili się nad nią przez wiele dni...

— I cóż się z nią później stało? — zapytałem.

— Nic, wyzdrowiała, mieszka teraz w Iquitos.

Zapewne jeszcze długo rozwodziłby się don Urresti nad tem, ilu to białych zginęło w owych czasach buntu, gdybym nie zwarzył jego krasomówczych zapędów niedyskretnem pytaniem.

— A nie mógłby mi pan powiedzieć, ilu podczas tej wojny zginęło czerwonoskórych?

Urresti spojrział na mnie pośepnie.

— Nie liczyłem — odrzekł krótko i zamilkł.

Rozdział XXVI.

Dzicy na Cahuapanas'ie.

Wpobliżu ujścia rzeki Chikotza'y namnożyło się na rzece tyle wysp i wysepek, że wciąż płynęliśmy jakimś kanałem i coraz to inny lądek zasłaniał nam brzeg właściwy. Góry,¹ które od pewnego czasu widniały zdaleka, zbliżyły się teraz ku brzegowi znacznie. Ich odnogi sięgały już niemal samej rzeki. Urozmaicało to monotony poprzednio widok i pozwalało odpocząć oczom, zmęczonym nieustannem patrzeniem na błyszczącą powierzchnię szerokiej rzeki i na płaski brzeg.

W miejscowości Arkada zwiedziliśmy gospodarstwo peruańskiego osadnika, który drżał na samą myśl o tem, że moglibyśmy jego strony uznać za odpowiednie dla osadnictwa, gdyż nie posiadał na swój „czakier“² formalnego tytułu własności. Nic też dziw-

¹ Gdy mówię o górach mam na myśli góry na lewym brzegu Ucayali.

² Chacra (hiszp.) — działka.

nego, że zapewniał nas solennie, iż strony te są przez rzekę starannie i rok rocznie zalewane i że niedaleko stąd, między rzeką Apinigua i Lagarto, mają znajdować się ziemie tak świetne, o jakich nikomu nawet śnić się nie może. Nie dowierzając zbyt osadnikowi, wyruszyliśmy na wyprawę w głąb lądu, która jednak, niestety, przyniosła tylko stwierdzenie jego słów. W głębi, poza półkami, rozlewała się szeroko *cocha*, która podczas dużych deszczów musi występować z brzegów i zalewać okoliczne tereny. Opuściliśmy Arkadę z przeświadczeniem, że gdzie jak gdzie, ale tam ośrodek polskich kolonij nie powstanie.

Podczas dalszej drogi minęliśmy ujście rzeki Cocani i dopłynęliśmy do dużej wyspy, noszącej również nazwę Cocani. W czasie mijania tej wyspy zauważyliśmy, że przy jej brzegu posuwa się z trudem w górę rzeki kilka łodzi, napełnionych Indjanami. Dostrzegłszy nasz statek, czerwonoskórzy poczęli dawać znaki, abyśmy się zatrzymali. My jednak, nie chcąc tracić czasu, jechaliśmy dalej. Wówczas Indjanie poczęli nas ścigać. Było wtedy na co patrzeć. Kilkudziesięciu rosnących wojowników, przybranych w malownicze kuźmy, a uzbrojonych w długie tyki chikotzowe, napinało wszystkie swoje mięśnie, aby tylko przegonić naszego sapiącego potwora, zabiec mu drogę i przyczepić doń swoje wątle stateczki. Wszystkiego się wówczas spodziewałem, ale nie tego, żeby nas ci dzicy mogli dogonić, a nawet wyminąć. Tak jednak się stało. Wyminęli nas i zaraz zaczęli płynąć z prądem, naukos, ku *Cahuapanasowi*. Gdyby nie Postrach Kur, który po krótkim przysłuchiwaniu się ich krzykom, oświadczył nam kategorycznie, że Indjanie są

*buena gente*¹ i że pragną jedynie towarzyszyć nam w drodze, mogliśmy przypuszczać, że szykują na nas napad.

— A możebyśmy ich tak wzięli z sobą? — zwróciłem się do kapitana Narvaeza.

Narvaez tylko na to czekał. Wydał krótki rozkaz i za chwilę przystanęliśmy. Indianie przytroczyli swoje łodzie i natychmiast wdrapali się na pokład. Na statku zachowywali się zupełnie jak dzieci. Wszystko podziwiali i wszystko brali w swe ręce. Co chwila rozlegały się okrzyki podziwu. Nie wątpię, że zdumienie ich na widok tylu nieznanych, a dziwacznych przedmiotów, jakie na statku widzieli, było wielkie, ale, myślę, że moje było niemniejsze, gdy dostrzegłem, jak jeden z nich stuknął łbem w wielką szybę, zasłaniającą od wiatrów sternika na naszym jachcie, sądząc prawdopodobnie, że drewniana rama nie jest wypełniona. Zdziwił się, biedaczysko. niepomiernie, gdy poczuł niewidoczną przeszkodę. Zaraz zakrzyknął coś w swoim języku i już z pół tuzina czerwonoskórych barbarzyńców dotykało nieufnie tego czegoś niewidocznego, a twardego i stawiającego opór. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ci ludzie zobaczyli szkło po raz pierwszy w życiu. Nie było w tem nic dziwnego, gdyż nad górnem Ucayali nie używają tego fabrykatu nawet biali, a szklanki, ze względu na swą kruchość, też są tam nieznane. Co też musiało się dzieć w duszach tych ludzi, na widok dla nich tak niezwykły!? Nazewnątrż okazywali tylko zdziwienie i niezwykłą nawet u Kampów radość.

¹ Dobrzy ludzie.

Na noc zatrzymaliśmy się w Zoila, miejscowości liczącej kilkadziesiąt domów. Kapitan Narvaez wykorzystał obecność Indjan i kazał im, wzamian za posiłek, naładować na statek parę tysięcy polan drzewa do opalania maszyny. Kampowie pracowali z takim zapałem, że cała robota wyglądała jak zabawa. Ta ich ochoczość wpływała prawdopodobnie z dobrego traktowania, do którego nie byli przyzwyczajeni.

Naprzeciwko Zoili leży na środku rzeki duża wyspa, na której mieszka kilkanaście rodzin Indjan z plemienia Vitoto, sprowadzonych poniewoli z północy, z nad rzeki Putumayo. Plemię to używa w swoich ojczystych stronach ubrań z trawy, podobnych do ubrań wieśniaków japońskich. Los tych niewolników nie jest godny zazdrości. Wyrwani z ziemi ojczystej i rzućeni w strony oddalone od niej o dwa tysiące kilometrów, nie lubiani przez Indjan miejscowych, lekceważeni i wyzyskiwani przez białych, nie mogą nawet marzyć o zmianie swego losu. Pozostaje im jedynie beznadziejna, ponura wegetacja. Plemiona miejscowe mogą przynajmniej roić o niezależności i wolności, ale Vitotowie z samotnej wyspy z pod Zoili są już zrezygnowani. Jak zwierzęta. Nawet chwilowe zwycięstwo niczego by nie zmieniło. Nawet, gdyby pobili białych, to czerwoni sąsiedzi obróciliby ich w niewolników. Zielony, piękny raj podrównikowy rzadko gości ludzi szczęśliwych. Mniej ich tam bodaj, aniżeli w chmurnych i śnieżnych krainach mroźnej północy.

Rozdział XXVII.

W poszukiwaniu „punktu“.

Między innymi zadaniami, mieliśmy polecone przez mocodawców w Polsce wyszukanie odpowiedniego „punktu“, nadającego się do zapoczątkowania osadnictwa. Nie szło to łatwo. Gdy brzeg był dostatecznie wyniosły i dogodny, to, prawie z reguły, posiadał mieszkańców, a o ile nie miał ich, to zwykle nie nadawał się ze względu na swe niskie położenie. Ponieważ sądziliśmy, że największe szanse rozwoju będzie miała osada, założona w pobliżu ujścia jakiejś rzeki, mogącej stanowić naturalną drogę w głąb lądu, przeto robiliśmy badania głównie w takich okolicach, któreby temu kardynalnemu warunkowi odpowiadały. Po dokonaniu wielu poszukiwań, naogół bez rezultatu, postanowiliśmy zobaczyć, jak się przedstawiają tereny nad rzeką Apinigua.

Ponieważ padał właśnie ulewny deszcz, przeto nie wszyscy członkowie zdecydowali się na wyjazd łodzią indyjską. Woleli pozostać na pokładzie monitora. Do „odważnych“ należeli: Freyd, Zarychta, Pankiewicz i ja. Wyruszyliśmy w drogę w towarzystwie sześciu Kampów, którzy od wczoraj nam towarzyszyli.

Po godzinnej jeździe dotarliśmy do niewielkiej, piaszczystej wysepki, na której widniały dwa nędzne szałaszy z trzciny. Przebywały w nich dwie rodziny indyjskie, przybyłe z głębi lądu na połów ryb. Ich dziwaczne i obfite malowidła na twarzy zdradzały, że z białymi mają bardzo mało do czynienia. Chciałem się z nimi porozumieć, ale, niestety nie umieli ani

słowa po hiszpańsku i, nadomiar złego, zdradzali wielkie zalęknienie.

Ruszyliśmy dalej.

Podobnie, jak przy ujściu rzeki Chicotza'y, również i w pobliżu Apinigua'y Ucayali jest pokryte mnóstwem wysp, wysepek, ławic piaszczystych i mielizn. Jechaliśmy coraz to innemi kanałami i, gdyby nie doskonała znajomość rzeki, jaką wykazali nasi Kampowie, niewątpliwie zabłądzilibyśmy. W niektórych z tych kanałów prąd wody był tak silny, że tylko z trudem mogliśmy go pokonać. Dopiero po paru godzinach usilnego zmagania się ze złą rzeką, dotarliśmy do ujścia Apinigua'y. Już na pierwszy rzut oka na nieprzejrzany las chikotzy, ocieniający oba jej brzegi, a nieomylnie znamionujący nieużytki, zgodziliśmy się, że miejsce to nie będzie mogło służyć naszym celom. Niewielka ta rzeka posiada prąd bystry, który wprost uniemożliwiał posuwanie się łodzią wiosłową w górę jej biegu. To też już po krótkim czasie zrezygnowaliśmy z dalszego jej badania i powróciliśmy z trudem na pokład *Cahuapanasa*.

W dalszej podróży zatrzymaliśmy się w miejscowości Puerto Pierola, gdzie, ku swojemu niepomiernemu zdumieniu, zobaczyłem kobiety indyjskie, z nosami pomalowanymi na jaskrawo-czerwony kolor.¹

Zagadnąłem pierwszą z brzegu.

— Słuchaj no, seniorita, a czemu to pomalowałaś sobie nos na czerwono?

Indjanka spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— A jak malować? — odpowiedziała mi pytaniem — może na czarno?

¹ Farbę tę sporządzają Indjanie z owoców achiota'y (Bixa orellana).

— No, niekoniecznie, ale można przecież nie mallować wcale.

Słowa moje wywołały na jej twarzy zgorszenie. Wzruszyła ramionami i odeszła.

— Bardzo ją pan zawstydził — odezwała się wówczas do mnie właścicielka Puerto Pierola'i.

— Szkoda — pożałowałem czerwonej dziewczyny — ale czemuż one tak fatalnie malują się?

Starsza pani uśmiechnęła się.

— Może i fatalnie, ale mężczyznom indyjskim podobą się.

Teraz ja się uśmiechnąłem.

— Co, może mówią, że to pięknie? — zapytałem.

— Właśnie, tak mówią.

Biedne piękno!

Puerto Pierola jest *haciendą*, a jej właściciel uważa się za właściciela dużego szmatu ziemi wzdłuż Ucayali. Piszę „uważa się“, gdyż dowodów, czyli tak zwanych tytułów własności na tereny, nie posiada.

O pół godziny drogi za *haciendą* znajduje się ujście rzeki Rio Lagarto (rzeka Krokodyla). Wejście do niej jest utrudnione szeregiem bystrzyn, które jednak szczęśliwie przebyliśmy na dwóch łodziach wiosłowych. Brzegi rzeki Krokodylowej są tuż przy ujściu dość niskie i prawdopodobnie zalewne, ale już dwa kilometry dalej zdradzają *tierra firme*. W głąb łądu weszliśmy zaledwie na pół kilometra, ale nawet na tej nieznacznej przestrzeni teren podniósł się o kilkadziesiąt metrów. Brzegi tej rzeki są pokryte dziewiczym lasem, w którym zauważyliśmy wiele drzew cedrowych.

Rio Lagarto leży już w najbliższym sąsiedztwie zlewu rzeki Urubamby z Tambo, gdzie kończył się

pierwszy etap naszej podróży. Na drodze do tego miejsca znajdowała się jeszcze tylko jedna miejscowość godna zwiedzenia — osada San Pablo. Leży ona na olbrzymiej wyspie, pokrytej szczelnie lasem, przy czym na jej wschodnim wybrzeżu znajduje się wiele drzew gumowych. Ludność San Pablo składa się z około 150 osób, przybyłych tam, niemal bez wyjątku, z nad rzeki Urubamby i z departamentu Madre de Dios. Sprowadził ich nad Ucayali kryzys kauczukowy, wskutek którego *gomale*,¹ położone nazbyt daleko, nie były już odwiedzane przez kupców. Ludzie ci zajmują się dotychczas zbieraniem kauczuku, a ostatnio wzięli się też nieco do rolnictwa, a w szczególności do uprawy bawełny. Niemal wszyscy skarżyli się na wielki wyzysk kupców ikitoskich, którzy nie tylko za produkty płacili mało, ale, nadmiar złego, regulowali należność towarami, niezawsze potrzebnymi, a zawsze lichymi i drogimi. Ubóstwo *civilizados* nad Ucayali, „bijące“ wprost w oczy, należy przypisać nie tylko lenistwu tych ludzi, o czym chętnie wspomina się w Iquitos, lecz raczej właśnie temu niestłuchanemu wyzyskowi ze strony mało sumiennych kupców.

Wyspa San Pablo nie wchodzi, niestety, w skład koncesji, inaczej mogłaby stanowić dla nas doskonały obiekt kolonizacyjny.

Nieco powyżej osady, ale już na lądzie stałym, na lewym brzegu, leży stara miejscowość Santa Rosa, założona przez misjonarzy. Obecnie znajduje się ona w stanie upadku, gdyż ludność przeniosła się częściowo do lepiej położonego San Pablo i do Boca del Tambo.

¹ Gomal (hiszp.) — miejsce, na którym rośnie wiele drzew gumowych.

Z San Pablo do ujścia Tambo i Urubamby jechaliśmy kilka godzin. Dnia 12 maja po południu *Cahuapanas* wjechał na szerokie wody zlewu i sapiąc z wysiłku zaczął wspinać się wgórę biegu rzeki Tambo. Wkrótce potem zarzuciliśmy kotwicę w osadzie Atalaya. Cała ludność tej miłej, lecz nieco odległej od świata miejscowości, złożona z czterech rodzin, „wyległa“ na brzeg i podziwiała niezwykle zjawisko, jakim dla niej niewątpliwie byliśmy.

Rzeka Ucayali leżała już poza nami.

Rozdział XXVIII.

U łowcy niewolników.

Atalaya została założona dopiero w roku 1927. Fakt jej powstania wiąże się niewątpliwie z faktem mającej się rozpocząć w tych stronach kolonizacji polskiej. Zajęcie ujścia rzeki Tambo przez tubylców stwarza dla nich bardzo dogodną sytuację. Ani na chwilę nie wątpię, że Atalaya nie powstałaby samorzutnie, lecz że istnienie jej jest wynikiem planu przemyślanego. Założenie szkoły rządowej utwierdziło mnie w tem przekonaniu ostatecznie.

Oprócz Atalaya'i istnieją jeszcze u zlewu rzeki Tambo z Urubambą osady: Boca del Tambo (w widłach) i La Huaira — na prawym brzegu Urubamby. Te trzy miejscowości będą mogły dość skutecznie blokować przyszłe kolonie polskie, leżące w górnych biegach zbiegających się tam rzek. Należy przyznać, że plan opanowania ujścia był pomyślany bardzo rozsądnie, ale... tem dla nas gorzej. Pierwsza z tych trzech

miejscowości, którą poznaliśmy, Atalaya, leży na lewym, dość wysokim, niezależnym brzegu Tambo, w odległości $\frac{1}{2}$ kilometra od Ucayali. Tuż za nią wznoszą się wzgórza, noszące nazwę Sierra de Canujo. Na Atalaya'i znać, że powstała dopiero przed paru miesiącami. Wszędzie leżą jeszcze niespróchniałe i niestrawione ogniem wielkie pnie powalonych drzew, a chaty noszą cechy prowizoryczności. Naokoło osady rośnie zwarta puszcza tropikalna, w której gdzieś tylko można dostrzec wąziutkie ścieżki myśliwców, prowadzące w kierunku wzgórz.

W godzinę po zakotwiczeniu *Cahuapanasa*, przesiedliśmy się na jacht i wyruszyliśmy do La Huaira'y w odwiedzinę do sławnego w całej Montanji właściciela ośmiuset Indjan i mnogich ziem — Franciszka Hernandeza Vargasa, zwanego popularnie Pancho (Francuś) Vargasem. Ze względu na opinię, jaką ten pan cieszy się wśród swoich rodaków, mieliśmy w stosunku do niego pewne zastrzeżenia, których wyrazem było dobre uzbrojenie się przed wizytą. Przedtem jednak zanim przejdę do opisu odwiedzin, skreślę kilka słów o samym Pancho'u i jego „cywilizatorskiej“ działalności. W tych dzikich stronach przebywa on już bardzo dawno. Najpierw jako współnik ikitoskiego domu handlowego Casa Hernandez y Co., zajmującego się eksploatacją naturalnych bogactw dżungli nad Urubambą, a następnie, jako samodzielny przedsiębiorca. Jak wszystkie imprezy, również i eksploatacja dżungli wymaga rąk roboczych. Jedyńymi ludźmi byli tam Indjanie, którym o pracy dobrowolnej ani się śniło, to też Pancho Vargas począł robić to, co robili i robią dotychczas wszyscy biali w Montanji: począł znie-

walać czerwonoskórych do bezpłatnej pracy na swoją korzyść, a następnie, gdy plemion miejscowych okazało się za mało, organizował tak zwane *corerias*, czyli formalne łowy na plemiona wolne, żyjące w bliższym, czy nawet dalszym sąsiedztwie. W pierwszym rządzie urządzał wyprawy do Gran Pajonalu,¹ gdzie Indian jest jeszcze stosunkowo dużo. Dawny jego współnik, towarzysz naszej wyprawy, don Enrique Urresti, opowiedział mi z naiwną szczerością, że pewnego razu udało mu się schwycić około półtora tysiąca Kam-pów, których przyprowadził do nieistniejącego już dzisiaj osiedla u ujścia rzeki Sepa'y. Urresti, skłonny do przesady jak wszyscy Południowi Amerykanie, ilość jeńców zapewne co najmniej podwoił, niemniej jednak sam fakt istnienia wyprawy po niewolników pozostał faktem. Wiść o tej niesłychanej *correria*'i dotarła nawet do Limy, powodując wysłanie specjalnej ekspedycji karnej, która Urresti'ego aresztowała, ale która jednak w rezultacie nic mu nie zrobiła.

Nie dość na tem, że plantator, a raczej eksploatator z nad Urubamby gnębił plemiona miejscowe, że wysyłał łowców po niewolnika do Gran Pajonalu, do departamentu Madre de Dios, a nawet do odległej Boliwji, ale jeszcze zajmował się i zajmuje handlem nimi. Statki, zawijające do Boca del Tambo, a także zwyyczajne łodzie i tratwy uwoziły bardzo często do Iquitos i innych miasteczek młode dziewczynki i chłopców indyjskich, siłą zabieranych rodzicom, aby w dalekich stronach służyli białym do posług. Dla informacji do-

¹ Gran Pajonal — stepowy wyż, położony między rzekami Pachitea'a, Ucayali, Tambo i Perené. Obszar jego wynosi około 100 tysięcy *km*².

dają, że większość służby domowej w Montanji rekrutuje się z kupionych dzieci indyjskich. Nietylko jednak dzieci są przedmiotem smutnego eksportu, również i dorośli nie unikają tego losu. Dotyczy to głównie wioślarzy, którzy odstawiają do tartaków w Puritanji, czy też Nanay, tratwy cennych drzew. Ludzi tych pozostawia się, za umówioną, oczywiście, zapłatą, bądź w owych tartakach, bądź w Iquitos, gdzie za nędzną strawę i jeszcze nędzniejszy ochłap ubrania, pracują ciężko po kilkanaście godzin dziennie. Niekiedy umowa taka zawierana jest na określonej ilości lat lub miesięcy, po upływie których nieszczęsny autochton wraca do rodzinnej wioski.

Chociaż w Peru niewolnictwo jest potępiane, to jednak pewna forma handlu dziećmi indyjskimi, polegająca na tem, że człowiek cywilizowany bierze sobie „na wychowanie“, albo też w celu „przyswojenia dzikiego stworzenia cywilizacji“ jakieś małe Indjaniątko, jest nieurzędowo dozwolona. Oczywiście, takie „przyswajanie cywilizacji“ polega na tem, że dziecko staje się posługaczem i dowcipny *civilizado*¹ ma przez wiele lat bezpłatną obsługę, względnie robotnika. Małych Indjaniątek nie brak w wielu miastach *Costa'y*,² a nawet w Limie.

Dziecko można kupić nietylko od białych zbójów, również i Indjanie wolni dają się niejednokrotnie skuścić i pozbywają się ich za strzelby, noże, siekiery etc.

¹ *Civilizado* (hiszp.) — człowiek cywilizowany. Tem mianem oznaczają w Montanji wszystkich ludzi osiadłych, także metysów i Indian cywilizowanych.

² *Costa* (hiszp.) — wybrzeże (tutaj w znaczeniu: wybrzeże morskie).

Sam byłem świadkiem takiej tranzakcji, zawartej w wiosce indyjskiej nad rzeką Perené. Dwóch Kreolów z San Pablo nad Ucayali kupiło na zlecenie pewnej nauczycielki dwie dziesięcioletnie dziewczynki, płacąc za nie po strzelbie od sztuki. Jeden z nich nazywa się Alfredo Diaz Vasquez, drugi zaś Barbarar. Obaj są prawdopodobnie dotychczas mieszkańcami wspomnianej wyżej osady. Komisarz policji z kolonii Satipo, p. Chirinos, przebywający chwilowo w pobliżu wioski indyjskiej, w którym Kreole interes ubijali, dowiedział się o tem i, jak mi się zwierzył, zamierzał obu zbójów aresztować. O ile mi jednak wiadomo, skończyło się wszystko jedynie na skonfiskowaniu Indjanom strzelb i oddaniu dziewczynek do zakładu wychowawczego zakonnic katolickich w pobliskiej misji, w Puerto Ocopa. W rezultacie Indjanie stracili dzieci, a nie dostali broni.

Różne są ceny niewolników. Mówiono mi o konkretnych tranzakcjach, w których płacono po 200 do 300 soli¹ za „sztukę“ dziesięcio-dwunastoletnią. Jak dalece zwyczaj handlu dziećmi indyjskimi jest zakorzony, może potwierdzić fakt, że nawet komendant *Cahuapanasa*, kapitan Narvaez, wziął z sobą z La Huaira'y do Iquitos małą, dziesięcioletnią dziewczynkę „dla żony na prezent“, jak mówił na usprawiedliwienie tego nieco dziwnego czynu. Ci dobrzy zasadniczo ludzie, jakimi są Peruańczycy, usypiają swoje sumienie tem, że dziecko indyjskie rzekomo zapomina bardzo szybko o rodzicach i „se acostumbra muy ligeiro“.²

¹ Sol — 3 zł. 60 gr.

² Przyzwyczajają się bardzo szybko.

Wydać się może dziwnem, że Indjanie znoszą to niewolnictwo, nie poparte bądź co bądź przez siły wykonawcze rządu. Ale w tem miejscu nie należy zapominać, że niewolnictwo dotyka w pierwszej mierze plemiona zamieszkałe w stronach, gdzie ramię rządu nie sięga i które nie mają dokąd z pod jarzma umknąć. W głębi bowiem ładu napotkają wrogie szczepy, które nie dopuszczą obcych na swe terytorja, a uciec gdzieś w miejsce bezludne nad wielkimi rzekami chyba celu, bo w rezultacie nie ten, to inny *civilizado* zmusi ich do pracy. Przytem biali są solidarni. Przestrzegają ściśle, aby w obrębie ich działania nie było Indjan bezpieczeństwa, bo to i strata i zły przykład... Pomimo tych trudności, ucieczki zdarzają się często. Niezawsze jednak kończą się szczęśliwie. Ze schwytanym uciekinierem „patron“¹ nie robi wiele ceregieli.

Jakby dla podkreślenia różnicy między dobrą przyrodą, a jej złym tworem — człowiekiem, La Huaira przypomina swoim wyglądem wioskę z pięknej legendy. Zdaleka wydaje się wielkim gajem bananowym, w którym dopiero zbliżka odkrywamy mnóstwo wąskich i szerszych alejek, a przy nich całe dziesiątki nędznych wprawdzie, ale ze względu na łagodny klimat, zupełnie wystarczających chat dla niewolników. Wszędzie widać tam półnagich Indjan i zupełnie nagie ich dzieci. Pod strzechami skrzeczą barwne papugi, a na progach wylegają się domowe małpki. Wszędzie krzewi się wspaniała roślinność, która zakrywa dyskretnie wszelkie niedokładności, wynikłe z racji braku kanalizacji i wodociągów.

¹ Patron (hiszp.) — chlebodawca, także właściciel niewolników.

Snać Pancho słyszał o nas dużo, a przed monitorem wojennym miał wielki respekt, gdyż kazał zrobić na naszą cześć specjalne schodki od przystani na wysoki brzeg. Może w ten sposób chciał nam dać poznać, jak dalece nas ceni. W każdym razie wyszedł na nasze spotkanie aż nad wodę i witał bardzo uniżenie. Jest to mężczyzna pięćdziesięcioletni, silnej budowy i dość opasły. Jego oliwkowa cera dowodzi, że w żyłach posiada sporo krwi indyjskiej, a kompletny strój europejski, że zalicza się do „białych panów“. Ciemne, powiedziałbym „nachalne“ jego oczy kryją w sobie niespodziewane, okrutne błyski, mówiące więcej, aniżeli liczne opowieści o jego twardej ręce i okrutnych czynach. Z twarzy tego człowieka bije zawziętość, a z gestów pewność siebie i przekonanie, że każde jego słowo musi być rozkazem.

Pancho Vargas wiedział już o tem, że ziemie, które on obecnie użytkował, przyznane zostały przez rząd limański Polakom na osadnictwo i, być może, przypuszczał, że zaraz zaczniemy go eksmitować, co przy pomocy statku wojennego nie byłoby trudne. W każdym bądź razie przybycie nasze musiało napędzić mu nielada strachu, gdyż przez pierwsze chwile rozmowy trząsł się cały ze wzruszenia. Oczywiście, nie mieliśmy w stosunku do niego żadnych agresywnych zamiarów, to też powoli uspokajał się, aż wreszcie nabrał pewności siebie i swobody w obejściu, właściwej wszystkim mieszkańcom Montanji. Na zapytanie, czego najwięcej na swojej haciendzie uprawia, rozpoczął wygłaszać istny hymn na cześć kawy.

— Kawa — mówił — to nasza przyszłość. Mam

tutaj, w La Huaira, około sześćdziesięciu tysięcy¹ drzewek i wiele się po tej plantacji spodziewam.

— Wyobrażam sobie — odezwałem się — ilu to trzeba robotników, aby obrobić tyle krzewów.

Pancho Vargas spojrział na mnie z podełba.

— Owszem, bardzo dużo, ale, na szczęście, nie brak tu Indjan, którzy za dobrą zapłatę, jaką im zawsze ofiaruję, gotowi są pracować tyle czasu, ile mi potrzeba.

Gdyby nie to, że byłem członkiem rządowej ekspedycji, wiedziałbym jak i czem temu handlarzowi niewolników odpowiedzieć. Niestety, byłem obarczony obowiązkiem reprezentowania dalekiego narodu, pokiwiałem tedy tylko głową i uśmiechnąłem się. Mam wrażenie, że z tego uśmiechu Pancho Vargas domyślił się wiele. Nie mogłem jednak powstrzymać się zupełnie i z niewinną miną zapytałem:

— A ileż, senor, płaci tym robotnikom?

— *Un sol* dziennie — odrzekł z najbezczelniejszą miną w świecie.

Omiał nie parsknąłem mu śmiechem w samą twarz, boć przecież nie było to żadną tajemnicą, że jego niewolnicy nie widują nigdy innej zapłaty, jak tylko wódkę, nieco łachów i nieodzownych narzędzi, którei zresztą muszą uprawiać jego plantacje.

Aby przerwać niemiłą dla siebie rozmowę, Pancho Vargas poprowadził nas do swego domu.

„Dwór“ Pancho Vargasa nie różni się wiele od chat jego niewolników, a podobny jest, jak dwie zielone papugi, do tych pospolitych domostw, które spotykałem

¹ Liczba ta, jak się później okazało, była bardzo przesadzona.

podezas całej podróży po Ucayali. We „dworze“ pozna-
liśmy żonę łowcy niewolników. Była to jeszcze dość
młoda, ale zniszczona kobieta, o chorobliwej, białej cerze.

Chcąc się pochwalić swoją potęgą, Pancho Vargas
polecił zwołać wszystkich Indjan na niewielki placyk
nad rzeką. Zebrało się około dwustu osób, które do-
zorcy porozstawiali według plemion.

Wszyscy właściciele niewolników, a między nimi
i Vargas, baczą zawsze na to, aby w jednej miejsco-
wości znajdowali się przedstawiciele kilku niechętnych
sobie plemion. Przez stałe wygrywanie jednych prze-
ciw drugim, biali nie obawiają się żadnych spisków,
mogących mieć groźne dla nich następstwa. Nadomiar,
aby zabić w nich poczucie łączności ze szczepami ży-
jącymi na wolności, zmuszają Indjan do zawierania
małżeństw mieszanych. Staje się to przyczyną wielu
tragedyj, gdyż odwieczne animozje plemienne są tam
jeszcze bardzo silne. Ożenek np. Mashka z kobietą
Kampa jest czemś podobnem, jak dla naszego mało-
miasteczkowego chasyda byłby ożenek z chrześcijanką.
Oczywiście, potomstwo z takich małżeństw mieszanych
jest, jako pozbawione więzi z określonem plemieniem,
znacznie podatniejsze do wdrożenia się do jarzma i zu-
pełnego pogodzenia z losem, aniżeli potomstwo z mał-
żeństw niemieszanych.

Patrząc na liczne szeregi tych naszych bronzowych
braci, na rosłych mężczyzn, na zabiedzone ciężką pracą
kobiety, na wielkobrzuche wystraszone dzieci — ogar-
nęło mnie przerażenie. Czyż możliwe, aby w 1928 roku
istniało niewolnictwo? Aby ten gruby, śniady „lore-
tano“ mógł otwarcie, w biały dzień, demonstrować
nam dwie setki niewolnych dzikusów, dla których jest

jedynym władcą. Przecież ten Pancho Vargas (a ilu takich Panchów w Montanji!) „nadaje“ mężczyznom żony, a dziewczętom mężów; przecież on dowolnie, według własnego widzimisię, przenosi dziesiątki rodzin z jednego miejsca na drugie, albo też „pożycza“ do bezpłatnej pracy ludzi, tak jak u nas pożycza się czasem konie lub psy myśliwskie. Jakgdyby miał do czynienia z bydłem, sprzedaje lub ofiarowuje w prezencie dziesiątki dzieci, odebranych rodzicom, bądź też wysyła dorosłych mężczyzn, bez ich woli, w najdalsze strony Montanji, gdzie muszą krwawo, a bez żadnej dla siebie korzyści, pracować...

Jak drapieżny gaviłan¹ usadowił się Pancho Vargas na skrzyżowaniu dróg wodnych, ssąc soki żywotne z kraju, którego obszar przewyższa niejedną republikę niemiecką. Wszystko mu tam podlega. Jedyną władzą realną, bo popartą kohortą zbrojnych „capatazów“ — dozorców, jest on, pan na wielu setkach Indjan. Rząd nie zdecydował się jeszcze na ustanowienie w jego włościach, zagrabionych prawem kaduka, jakiegokolwiek urzędu. Bo i dla kogo? Mieszka tam przecież nie więcej, aniżeli kilkanaście osób białych. Wprawdzie Indjan jest dużo, ale co niewierni,² dzicy *Indios* kogokolwiek w Peru obchodzą. Troszczą się o nich jedynie misjonarze katolicy i protestancy. Ale nawet i oni przebywają najchętniej w tych miejscowościach, gdzie Indjan albo nigdy nie było, albo już nie ma. Jest wprawdzie w Boca del Tambo komisarz rzeczny, ale, dalibóg, nie mam pojęcia, co on tam robi. Pewne jest tylko to, że nigdy nie przysyłają mu pensji.

¹ Jastrząb.

² W Peru nazywają w mowie potocznej Indjan *infieles*, czyli niewiernymi.

I tak oto, w tym dzikim zakątku świata dokonywają się sprawy, wyplenione gdzie indziej do gruntu. I nie w tem tkwi cała ohyda, że niewolnictwo istnieje, ale w tem, że panami niewolników są ludzie biali, bądź za takich się uważający. Niewolnictwo w głębi Afryki, lub gdzieś na wyspach z ludnością malajską, gdzie właścicielem i objektem jest człowiek o małej albo żadnej cywilizacji, a do tego odrębnej nam rasy — nie razi tak, jak w kraju rządonym przez ludzi nie tylko cywilizowanych, ale i kulturalnych.

Po kilkugodzinnym pobycie w haciendzie łowcy niewolników powróciliśmy do Atalaya'i, na pokład *Cahuapanasa*.

W nocy wydarzył nam się wypadek bardzo charakterystyczny, który spowodował przeniesienie naszej „bazy“ do La Huaira'y. Było to tak: Gdy *Cahuapanas* dobił do brzegu w Atalaya'i, rzeka posiadała bardzo wysoki stan wody i pozornie nic nie zdradzało, aby miał on ulec zmianie. Tymczasem stało się inaczej. W nocy woda gwałtownie opadła, skutkiem czego monitor osiadł na wielkim pniu drzewa, który jeszcze wieczorem znajdował się głęboko pod jego dnem. W rezultacie *Cahuapanas* przechylił się i gdyby nie to, że z drugiej strony miał przywiązany do swego boku nasz jacht, wyróciłby się. Na pokładzie powstał alarm. Przez jakiś czas kapitan Narvaez próbował okręcić zsunąć z pnia, ale wysiłki jego nie zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. *Cahuapanas* przechylał się coraz groźniej i groźniej. Jacht, naciśkany przez kilkudziesięciotonnowy ciężar, zatrzeszczał kilka razy ostrzegawczo. Widząc, że to nie przelewki,

kapitan Narvaez począł przy pomocy syreny okrętowej wzywać pomocy nadbrzeżnych mieszkańców. Ale mieszkańcy dżungli nie znają się na sygnałach. Przewracali się najspokojniej na drugi bok, ani na chwilę nie przypuszczając, że dziarskie i buńczuczne porykiwania mają oznaczać okrzyki rozpaczony i wzywania na ratunek. Dopiero po kilku godzinach ciężkiego trudu udało się marynarzom zepchnąć monitor z pnia i odjechać dalej od brzegu, gdzie głębina strzegła od podobnych niespodzianek.

Rozdział XXIX.

Wśród wielożeńców.

W La Huaira'rze podzieliliśmy się na dwie grupy, z których jedna wyruszyła w górę rzeki Urubamby, a druga, do której należał Freyd, Zarychta i ja, udała się w górę rzeki Tambo. Po krótkich poszukiwaniach odpowiedniego miejsca na „bazę“, znaleźliśmy niewielką wioskę piroską, położoną na prawym, koncecyjnym brzegu. Wioska ta, odległa od La Huaira'y o 12 *km*, została ochrzczona przez Pancho Vargasa mianem Estrecha'y i jako taka znana była wszystkim Pirom z nad Urubamby i dolnego Tambo.

Właściwą ojczyzną mieszkańców Estrecha'y i wogóle wszystkich Pirów jest departament Madre de Dios, a ściślej rzecz biorąc, brzegi górnego Purusu i rzeki Manu. Tam, w wilgotnych i gorących selwasach tropikalnych czują się oni „u siebie“. Nad Urubambę i nad dolne Tambo sprowadzili ich poniewoli peruańscy zbieracze kauczuku i zwyczajni łowcy niewolników.

Pierwej pracowali jedynie nad Urubambą, a w szczególności w pobliżu ujścia Sepa'y, Sepahua'y i Mishagua'y. Nad dolne Tambo przeniósł ich Pancho Vargas, przewidując, słusznie zresztą, że tereny nad Tambo będą w przyszłości, ze względu na swoje położenie, znacznie cenniejsze. Opowiadali mi Pirowie z La Huaira'y, że jeszcze niedawno było ich dużo, ale że później wyniszczyła ich *viruela* i *sarampion* (ospa). Dziwna rzecz, gdziekolwiek zetknąłem się z Indianami, czy było to w Brazylii, Peru, Paragwaju, czy Boliwji — wszędzie dochodziły mnie wieści, że najobfitsze wśród nich żniwo zbierała zawsze ospa. Nieubłagany to wróg ludzi o czerwonej skórze.

W Estrecha'y znaleźliśmy cztery obszerne chaty, a w nich cztery rodziny piroskie. Cała ta „ludność“ stanowi prywatną własność Vargasa, z której, w miarę potrzeby, czerpie potrzebny mu zapas rąk roboczych. Chociaż w Estrecha'y żyło nie więcej, jak dwadzieścia osób, niemniej jednak posiadały one swego kurakę.¹ Był nim dość młody jeszcze mężczyzna, nazwiskiem Maximiliano Manczineri. Wódz zasługiwał na uwagę ze względu na swoją niezwykle typową twarz. Wybitnie mongolskie rysy, powszechne u Pirów, wyróżniały go na pierwszy rzut oka od członków szczepów kampaskich. Gdy nasza łódź dobiła do wysokiego na kilka metrów wybrzeża, na którym „wznosiła się“ wioska, Manczineri wyszedł na nasze spotkanie i powitał nas z wielką powagą. Uścisnęliśmy mu rękę i poszliśmy do jego chaty. Była zbudowana z trwałych i prostych pni *huancapu* i liści palmy yariny. O ścianach nie było mowy.

¹ Curaca — wódz, kacyk.

— Czyja to żona? — zapytałem Manczineriego, wskazując na dość starą, ale jeszcze żwawą kobietkę.

— Moja — odrzekł kuraka.

Wskazałem na drugą:

— A ta?

Manczineri poklepał młodziutkie i dość miłe stworzenie, na które wskazywałem, i z najdobrodusznieszą miną w świecie odrzekł:

— Ona też moja.

Nie zdziwiłem się zbyt, gdyż wiedziałem, że Indianie są wielożeńcami, jednak nie mogłem powstrzymać się od zapytania:

— A ileż ty, kurako, masz żon?

Kuraka pomyślał przez chwilę.

— Dwie — odrzekł, unosząc w górę dwa palce.

I zaraz dodał, jakby się usprawiedliwiając:

— Biedni teraz jesteście. Nasze kobiety zabierają biali. Dawniej było inaczej.

Westchnął.

— No — pocieszałem go — mniej kobiet, mniej kłopotu.

Manczineri kiwnął głową.

— Prawda — rzekł — kobieta czasem dokuczy, ale — zakończył niespodziewanie — kto będzie pracował, gdy zabraknie kobiet?

Tak, rzeczywiście, kto będzie uprawiał nędzne pólka yuca'i,¹ kukurydzy i tytoniu, gdy zabraknie kobiet. Nie pomyślałem o tem, a przecież cały ciężar pracy fizycznej dźwiga u ludów dzikich kobieta. Nie jest tam płcią „słabą“, potrzebującą podpory. Sama

¹ Yuca (hiszp.) — roślina mająca duże kłącza, przypominające w smaku kartofle. Nazwa naukowa: *Manihot utilisima*.

stanowi mężowi podporę i chętnie za niego pracuje. Mężczyzna stara się tylko o rybę i zwierzynę — to jego zajęcie. Czasem też wojuje. I wtedy jednak kobieta pomaga mu bez szemrania.

Nie wszyscy jednak Pirowie, jak również i Indianie z innych plemion, posiadają po kilka żon, natomiast, nie wątpię, niema ani jednego, któryby nie marzył chociażby o najskromniejszym haremie. Brak kobiet przeszkadza urzeczywistnianiu tych projektów. Zaledwie starczy po jednej. Jednak niema wodza, któryby był jednożeńcem. Spotykałem takich, którzy mieli pięć, a nawet sześć żon, w wieku od dziewięciu do czterdziestu lat.

Nic dziwnego, że przebywając w takim towarzystwie nigdy nie śmiałem przyznać się do swego podłego stanu kawalerskiego, będącego u Indian w pogardzie. Wogóle nie może im się pomieścić w głowie, aby dorosły wojownik mógł żyć bez żony. Ilekroć mimowoli zdradzałem się z tem, to indyjscy figlarze zaczęli uśmiechać się całkiem niedwuznacznie i coś na ucho sobie poszeptywać. Nic dziwnego też, że gdy Manczineri, wywdzięczając się za zainteresowanie, jakie okazałem w stosunku do jego kobiet, zapytał ile mam żon, odpowiedziałem, nie namyślając się ani chwili:

— Dziesięć.

Cyfra ta musiała dzikusowi zaimponować, gdyż popatrzył na mnie z zachwytem i niezwykłą wiadomością natychmiast zakomunikował otaczającym go mężczyznom.

W Estrecha'y ulokowaliśmy się w największej chacie, którą Manczineri odstąpił nam na wyłączny uży-

tek. Była ona zbudowana na półtorametrowych palach, w celu zabezpieczenia mieszkańców przed wilgocią, „ciągnącą“ od dołu. Na materiał składało się wyłącznie drzewo, bambus, liany i liście, a przy budowie nie użyto ani jednego gwoźdźcia. W takiej to chatce, otwartej na wszystkie strony świata, mieliśmy spędzić szereg dni, przeznaczonych na badanie brzegów dolnego Tambo. Mieliśmy z sobą do obsługi dwóch marynarzy z *Cahuapanasa*, śniadych Indjan amazońskich, odbywających obowiązkową służbę wojskową w marynarce rzecznej. Jeden z nich, nazwiskiem Sinuiri Chota, był ucieleśnieniem spostrzegawczości. Jego słuch i wzrok zdumiewał nas wszystkich. Ten to Chota „opiekował się“ nami, starając się o jedzenie i wszystkie inne wygody, o ile o wygodach mogła być w Estrecha'y mowa. Obecność marynarzy miała strony dodatnie, gdyż odciążała nas od wszystkich drobnych, a uciążliwych spraw codziennych, ale miała i złe. Do tych ostatnich należało zaliczyć niezwykłą bojaźń i nieufność, jaką wszyscy Indjanie, bez różnicy plemienia, odczuwają w stosunku do „soldados“. Zarówno poprzednio, jak i teraz, a także wielokrotnie w dalszej podróży, musieliśmy czerwonoskórym wyraźnie tłumaczyć, że nic nie mamy z wojskiem wspólnego. Takie gołosłowne twierdzenie czasem pomagało, ale czasem nie pomagało i wtedy współzycie układało się źle. Również i Manczineri miał wobec nas zastrzeżenia z racji obecności marynarzy, ale usunęliśmy je rychło, ofiarowując mu butelkę wódki i blaszankę prochu.

Już pierwszego dnia pobytu w wiosce Pirów, zdołaliśmy się z nimi tak zaprzyjaźnić, że prowadzili z nami obszernie rozmowy, a stryj Manczinerego, stary

bezzębny Indjanin, tak się ośmielił, że poprosił za pośrednictwem bratanka, aby pożyczyć mu dubeltówki, a przyniesie na drugi dzień rano dużego sahino.¹

— Dobrze — rzekłem do starucha, który, nawiasem mówiąc, nie znał bodaj ani jednego słowa hiszpańskiego, i wręczyłem mu dubeltówkę z kilku nabojami.

Ufność, jaką okazałem staruszkowi, snać wzruszyła Manczinerego, gdyż oświadczył mi otwarcie i bez ogródek, że uważa mnie za bardzo porządnego człowieka.

— Ty jesteś dobry — mówił — lepszy, aniżeli biali z nad Tambo, Urubamby i Ucayali. Ty zapewne jesteś gringo.² Mówili mi Pirowie, którzy jeździli do kraju Szysziaków,³ że gringos są dobrzy.

Wszędzie wśród Indjan robiłem propagandę polską, to też i w Estrecha'y nie zapomniałem o niej.

— Pamiętajcie — mówiłem do Manczinerego i jego „ludu“ — że my jesteśmy z plemienia Polaków, a plemię to nigdy nie robi krzywdy ludziom o brązowej skórze.

Manczineri zainteresował się nieznanym mu narodem.

— To wy nie jesteście Peruanos? — upewniał się.

— Nie, kurako, nie jesteśmy.

— Jesteście Polacos?

— Tak.

Manczineri zamyślił się.

¹ Sahino (hiszp.) — dzik.

² Pod tem mianem rozumie się każdego białego imigranta.

³ Szysziakami nazywają Pirowie mieszkańców Kordyljerów — Indjan-Keczuanów.

— A gdzie to plemię mieszka? — zapytał po chwili.

— Daleko, bardzo daleko. Za morzem.

Indjanin nie miał, oczywiście, najmniejszego pojęcia o tem, co to jest morze. Pokiwał jednak głową znacząco i bliżej nie dopytywał się. Snać moja intonacja głosu przekonała go, że kraj Polaków leży naprawdę bardzo daleko.

Tymczasem zbliżyły się do nas również i kobiety. Obie żony kuraki siadły przy swym mężu i nadśluchiwały bacznie tego, co mówimy, aczkolwiek, podobnie jak wszystkie kobiety piroskie nad Tambo, nie znały hiszpańszczyzny zupełnie.

Chciałem zrobić im przyjemność zainteresowaniem się ich osobami i zapytałem, jakie noszą imiona.

Manczineri wysłuchawszy zapytania, wydał pogardliwie wargi, machnął ręką, i rzekł:

— One nie mają imion. Na co im imiona. O, ta — wskazał piękną kobietę o regularnych rysach twarzy — ta ma imię. Nazywa się Beatrice.

Zdziwiło mię to europejskie imię w piroskiej wsi.

— Któż ją tak pięknie nazwał? — zapytałem.

Manczineri odpowiedział z pewnem wahaniem:

— Pancho Vargas.

Aha, więc to tak! Wciąż ten Pancho Vargas.

W Estrecha'y upływał nam czas na pracy. Tam właśnie udało mi się zebrać większość słów do opracowywanego słowniczka języka piro i tam najwięcej nasłuchałem się opowieści o życiu i obyczajach tego ciekawego plemienia. Nie ograniczyliśmy się jednak do leniwego wysiadywania w toldzie.¹ Wielokrotnie udawa-

¹ Toldo — wioska indyjska.

liśmy się bądźna krótsze bądź na dalsze wycieczki, w czasie których towarzyszył nam Manczineri i niektórzy jego poddani. W czasie tych wycieczek poznaliśmy tereny, położone w głębi kraju, a także szereg wysp i odleglejszych miejscowości nadbrzeżnych. Nie zapomnę nigdy chwili, gdy pewnego razu dotarliśmy do sporej wyspy, zarośniętej chikotzą,¹ i odkryli tam kilka opuszczonych, prowizorycznych szałasów.

— Czyje to szałas? — zapytałem.

Manczineri obejrzał się uważnie dokoła.

— To są szałas *Indios bravos* — odrzekł głosem przyciszonym.

— Dzikich?

— Tak.

— To dziwne, że oni tu przychodzą — rzekłem do porucznika Zarychty, z którym całą tę część ekspedycji odbyłem razem.

— Rzeczywiście dziwne — odrzekł — ale na pewno nie przybywają tutaj dla przyjemności.

Zagadkę wyjaśnił Manczineri.

— *Bravos* przychodzą na wyspę po isaną² z chikotza'y.

Tak, prawda, trzcina nie rośnie nad małymi strumieniami w Pajonalu, i dzikie szczepy Kampów, używające prętów isany na strzały, muszą poszukiwać jej na brzegach szerokich rzek.

Te nędzne szałas, świetnie ukryte w gęstych trzcinnikach, opuszczone teraz i rozpadające się, przywiodły mi na myśl szczepy niepodległe, unikające starannie wszelkiego kontaktu zarówno z białymi, jak i z

¹ Chikotza czyli cana brava — rodzaj trzciny.

² Isana — długi pręt baziowy, wyrastający z chikotza'y.

„zdrajcami“, czyli tymi Indjanami, którzy ugięli dumne karki przed konkwistadorami. Kołaczą się one jeszcze między Kordyljerami i granicą Brazylii, a brak zainteresowania Montanją w dalekiej Limie rokował doniedawna przedłużenie ich wegetacji na długie lata. Co jednak stanie się z nimi teraz, gdy prezydent, Augusto Leguia, postanowił za wszelką cenę Montanję skolonizować? Niewątpliwie, podziela los swoich braci północno-amerykańskich — zginą. Tymczasem jednak nietylko są, ale nawet wzbudzają postrach wśród nielicznych ludzi białych, ryzykujących osiedlenie w tych dalekich od wszelkiego prawa stronach. W dalszej podróży zetknąłem się z nimi bliżej i miałem sposobność obserwować te wielkie, szlachetne dzieci, tępione i prześladowane w sposób niegodny, okrutny.

Plemiona *bravos*, czyli dzikie, rzadko odważają się podchodzić w pobliże groźnej dla nich siedziby Pancha Vargasa. Są to głównie mieszkańcy wybrzeży niewielkiego dopływu Tambo — rzeki Panikiali. Zapewne niezwykła obfitość ryb w tej rzeczce sprawiła, że jej wybrzeża przynęciły jeden ze szczepów Kampa. Odwiedzają oni dość często wysepki z pobliza Estrecha'y, a w szczególności jedną, położoną naprzeciwko ujścia ich rodzinnej rzeki. Isaną częściowo zużytkowują sami, częściowo zaś wymieniają na inne produkty u szczepów, mieszkających w głębi kraju.

Na tej samej wyprawie, podczas której odkryliśmy szalasy dzikusów z nad rzeki Panikiali, dotarliśmy do miejscowości Chembo. Mieszkał tam doniedawna biały, nazwiskiem Casto Blanco. Obecnie człowiek ten przeprowadził się do Atalaya'i, pozostawiając dawną siedzibę na łasce i niełasce kilku rodzin indyjskich.

Wracając do obozowiska, zwiedziliśmy jeszcze ujście rzeki Manitiari, której prawy brzeg wydał nam się dość dogodny do założenia osiedla ludzkiego.

Rozdział XXX.

Yacu-Runa.

Już wielokrotnie obijało mi się o uszy dziwaczne słowo *yacu-runu*. Słyszałem je nad Amazonką, słyszałem także podczas podróży po Ucayali i Tambo. Samo brzmienie wydało mi się keczuańskie, a fakt, że słowa tego używali zarówno biali, jak i czerwonoskórzy, okoliczność tę potwierdzał. Ciekawość moja spotęgowała się jeszcze bardziej, gdy spostrzegłem, że słowu temu towarzyszył zawsze błysk niedwuznacznego strachu w oczach ludzi, wymawiających je. Dowiedziałem się, co oznacza, całkiem niespodziewanie. Stało się to podczas wyprawy na jedną z wysp, sąsiadujących z Estrechą. Mijałem właśnie w lekkiej, wywrotnej łódce niebezpieczną bystrzynę, gdy jeden z Indjan, towarzyszący mi w roli wiosłarza, rozgniewany na źle sterującego kolegę, krzyknął podniesionym głosem:

— Żeby cię, głupcze, *yacu-runu* obejrzał!

Gdy tylko mineliśmy niebezpieczne miejsce, zapytałem Indjanina, co to jest owo *yacu-runu*.

Pytanie to zdziwiło czerwonoskórego.

— Jakto, to ty¹ nie wiesz, co to jest *yacu-runu*?

— Nie wiem.

Indjanin śmiał się długo i wesoło.

¹ Indjanie zwracają się do wszystkich per „ty“.

— Opowiedz, Caetano, o *yacu-run*a'ie — rzekłem, dając mu dla zachęty pudełko zapalek.

Po tak szczodrym podarku, Indianin stał się nadzwyczaj rozmowny i wylewny.

— Dziwię się — mówił w te, mniej więcej, słowa — że ty, wirakucze mądry i potężny, którego boi się sam Pancho Vargas, nie wiesz, co to jest *yacu-run*a. U nas każde dziecko wie o tem. Ba, nie tylko dziecko nasze, ale nawet dziecko tchórzów-Maczygangów.¹

Skorzystałem z okazji dowiedzenia się czegoś o stosunkach Pirów z Maczygangami i podchwyciłem ostatnie słowa Caetana.

— Tak, Maczyganga, to tchórze.

Indianin zaperzył cię.

— Pewno, że tchórze. Kampa nazywa małe podłe zwierzątko „maczyganga“ (tchórz), a tak samo nazywa ten naród. Kampa mądry, wie jak każdy naród nazwać.

— A jak nazywa Pirów?

— Szimirancy — odrzekł z dumą.

Niestety, nie mogłem dociec, co ta nazwa oznacza i czy wogóle coś oznacza.

— No, ale teraz mów o *yacu-run*a'ie.

— Bueno, teraz będę mówił o *yacu-run*a'ie.

Nabił sobie tytoniem małą drewnianą fajeczkę, zapatrzoną w cybuszek z kości małpiej, zapalił otrzymanemi ode mnie zapalnikami i rozpoczął długą przemowę, której jedynie błędem odtworzeniem będą moje słowa.

— *Yacu-run*a — zaczął — mieszka w rzekach, pod wodą. Rzadko ukazuje się na powierzchni, a jeszcze

¹ Plemię Matsiganga mieszka nad górną Urabambą. Nazwa ich odpowiada polskiemu: Tchórze.

rzadziej wychodzi na brzeg. Przypomina nieco człowieka, ale włosy ma zielone, skórę czerwoną, usta od ucha do ucha, zęby podobne do zębów dzikiej świni, ręce sięgają do łydek, nos szeroki i zadarty. Dni spędza w hamaku ze skóry krokodylej w swoim podwodnym kurakjacie;¹ na łowy wychodzi w nocy.

W tem miejscu Indjanin westchnął.

— Co tam dla niej łowy — ciągnął dalej. — Kto tylko rzuci okiem na jej ciało, tego napada atak złej febry i ginie, a *yacu-run*a wypija jego krew. Łatwo jej o pożywienie! Pamiętaj, wirakucze, o tem, że nawet wówczas, gdy *yacu-run*a'y nie zobaczysz, lecz ona ciebie dostrzeże, będziesz długo chorował.

Nie chcąc zrażać Caetana wątpliwościami w prawdziwość opowieści, zapytałem go z poważną miną:

— A tu, w Tambo, są *yacu-run*a'y?

— Ho, ho, czemu nie. Jest ich dużo. Nie tyle wprawdzie, co w Ucayali, ale i tu ich nie brakuje.

— Powiedz mi jeszcze, skąd się one biorą. Czy się rodzą tak, jak ludzie czy też, jak krokodyle, — z jajka przychodzą na świat.

Indjanin pokręcił głową przecząco.

— Nie, wirakucze, ani tak, ani tak.

— A jak?

Caetano przybrał poważny wyraz twarzy.

— Gdy umiera człowiek zły, bardzo zły, wówczas nasz Bóg zamienia go w *yacu-run*a'ę.

— Ej, Caetano, gdyby tak było, to w rzekach mieliśmy więcej tych potworów, aniżeli ryb, a przecież tak nie jest.

¹ Curaca, lub kuraka — wódz; kurakjat — tereny podległe kurace, czyli wodzowi.

— Byłoby więcej *yacu-runa'ów* — oświadczył Indianin poważnie — gdyby nasz Bóg zamieniał ludzi złych w *yacu-runa'y* na zawsze.

— Aha, więc to tylko na pewien czas?

— Tak, na pewien czas.

Nie będę tu przytaczał mnóstwa opowieści o tem, jak to wielu już Pirów, Kampów, Mashków, a nawet ludzi białych zginęło od spojrzeń tych zielono-włosych potworów. Nie starczyłoby mi na to ani czasu, ani miejsca. Zaznaczę tylko, że legenda o *yacu-runa'ch* musi mieć coś wspólnego z licznymi na globie ziemskim legendami o syrenach, gdyż podobnie, jak syreny, również i niektóre *yacu-runa'y* wabią wędrowców pięknym śpiewem, a nawet złudnie pięknymi wdziękami. I jeszcze jedno ma *yacu-runa* wspólnego z syreną — jest postacią legendarną, żyjącą jedynie w wyobraźni naiwnych dzikusów czerwonoskórych i nie więcej od nich mądrzejszych metysów i ludzi „białych“ z nad wielkich dopływów górnej Amazonki.

Rozdział XXXI.

Na podbój rzeki Tambo.

Po kilku dniach rozkosznego życia wśród Pirów, usłyszałem pewnego południa huczenie motoru *Janki*. W kilkanaście minut później wysiadał w Estrecha'y redaktor Pankiewicz, inżynier Gadomski i niezrównany pan Merovian.¹ Przyjechali, aby zabrać nas do La Huairy. Ponieważ było już dość późno, przeto, po

¹ Kinooperator znanej wytwórni kinematograficznej paryskiej Pathe, towarzyszący nam w przeciągu całej podróży.

szybkim sfilmowaniu ciekawej wioski piroskiej, spakowaliśmy niezwłocznie swoje manatki i ruszyli w drogę powrotną.

Do siedziby Pancho Vargasa powróciliśmy już o zmroku. Niezwłocznie przystąpiliśmy do omawiania dalszej podróży. Tak jak już uchwaliliśmy poprzednio, mieliśmy znowu podzielić się na dwie grupy i różnymi drogami jechać do Limy. Ja z dr. Freydem i porucznikiem Zarychtą mieliśmy ruszyć w górę rzeki Tambo, najpierw przy pomocy jachtu, potem łodzi wiosłowej, do Puerto Ocopa nad rzeką Perené, a następnie mułami przez Kordyljery do stacji kolejowej w Santa Rosa de Ocopa. Już jednak na samym początku spotkała nas poważna przeszkoda. Jacht, zakupiony przez pana Warchałowskiego w Europie, znowu począł chromać i niedomagać. Zaczęły się uciążliwe reperacje, poprawki i naprawy, które zajęły kilka dni. Aby strać czasu wynagrodzić chociaż częściowo, przystąpiłem do jak najstaranniejszego przygotowania wyprawy. W zupełności sobie uświadamiałem, że jakiegokolwiek niedopatrzenie może spowodować bardzo poważne trudności, a w najgorszym wypadku, nawet śmierć. Wybieraliśmy się przecież w strony, gdzie stopa człowieka białego stąpa bardzo rzadko i gdzie sprawiedliwość nie posiada, okrom pięści, żadnego innego organu wykonawczego. Wprawdzie mieliśmy we trzech aż trzy pary tych „organów wykonawczych“, ale... strzeżonego Pan Bóg strzeże! Pierwszą troską było wypożyczenie lub kupno dużej łodzi mahoniowej i wynajęcie odpowiednio silnych i wytrzymałych ludzi. Nie było, oczywiście, innego sposobu, jak udanie się do sławetnego Pancho Vargasa i zaproponowanie mu

w tej materji interesu. Jak przystało na właściciela niewolników, zażądał za indyjskich wioślarzy zapłaty, oświadczając zgóry, że im samym nie potrzebujemy dawać ani centa. Ponieważ na wiele kilometrów wokoło nie było ani jednego Indjanina, któryby nie był niewolnikiem Vargasa, i, ponadto, ponieważ nikt nad Urubambą i Tambo nie ośmieliłby się zrobić czegokolwiek wbrew woli potężnego kacyka, musiałem zgodzić się na to, aby za ludzi płacić ich właścicielowi, podobnie jak w Polsce płaci się za wynajęcie koni, czy też wołów roboczych.

Oburzony żądaniem Pancho Vargasa, zapytałem Urresti'ego, czy zwyczaj wynajmowania ludzi jest praktykowany w Montanji powszechnie. I tu nastąpiło coś, czego nie oczekiwałem: oto Urresti, zacięty wróg pana na La Huairze i Atalya'i, krytykujący go i zwalczający na każdym kroku i na każdym punkcie, oświadczył mi gorąco, że Pancho ma rację, że tak robi się zawsze, że z Indjanami inaczej postępować wogóle nie można.

Okazało się jeszcze raz, że interes klasowy i interes rasy posiada w ludziach mocniejsze fundamenty od nienawiści osobistej.

Równie łatwo załatwił Vargas sprawę łodzi. Natychmiast zaprowadził mnie nad rzekę i wskazał dużą łódź, wykonaną z jednego pnia mahoni, jako najbardziej odpowiednią do odzbycia dalekiej i trudnej podróży. Łódź nazywała się *Mantaro*; mierzyła 12 metrów długości i 1½ szerokości. Podróż do Puerto Ocopa już raz odbyła bez najmniejszego szwanku, przeto dawała gwarancję, o ile tu wogóle mogła być mowa o gwarancji, ponownego szczęśliwego przebycia Tambo.

Rozmyślnie nie chciałem brać z sobą w podróż Indjan-Kampów, gdyż po drodze mieliśmy mijać wiele wiosek, zamieszkałych przez niepodległe szczepy tego plemienia. Widok wolnych współrodaków mógłby wzbudzić w sercach niewolników Vargasowych niekorzystne dla nas tęsknoty i w rezultacie spowodować poważne trudności dla ekspedycji.

Z drugiej jednak strony musieliśmy posiadać ludzi, znających dobrze język kampaski, gdyż inaczej mielibyśmy trudności w porozumiewaniu się z dzikimi. Sprawę rozwiązałem w ten sposób, że wziąłem jednego Indjanina, pochodzącego z małżeństwa mieszanego, piro-kampaskiego, znającego doskonale język kampa. Człowiek ten, imieniem Asencio Suarez, znał też stosunkowo niezłe język hiszpański i służył nam nietylko za tłumacza z Kampami, ale niejednokrotnie i z własnymi naszymi wioślarzami, którzy język zdobywców znali tylko bardzo słabo. Drugim najemnikiem był Manoel, Indjanin z plemienia Maczyganga, trzecim — Jokiryłaje, zwany też Toribio'em, pochodzący z plemienia Mashko, czwartym — Luiz z Tabalosinów, piątym — Felipe z plemienia Piro. Na sternika łodzi, a jednocześnie na przywódcę czerwonoskórej piątki wybrałem Maksymiljana Manczinerego z Estrecha'y. Z wyjątkiem Asencia Suareza i Maksymiljana Manczinerego, inni Indjanie nie posiadali nazwisk. Zresztą i ci dwaj zmieniali je dość często, powodując się różnemi względami, dla człowieka białego dość dziwacznie.

Wybór ludzi okazał się w czasie podróży bardzo trafny. Nigdy nie zawiedliśmy się na nich. Wzajemnie za łagodne traktowanie, okazali nam bardzo dużo do-

brej woli, uczynności, i tego, co pospolicie nazywa się „sercem“. Nawet w chwilach niebezpieczeństwa zachowywali się tak jak wierny i lojalny żołnierz w stosunku do swoich dowódców.

Chcąc uniezależnić się w zdobywaniu żywności od wiosek indyjskich, wzięliśmy z sobą 50 *kg* suszonego chleba, 30 *kg* ryżu, 10 *kg* cukru, 2 *kg* kawy, 1 *kg* kakao, pół *kg* herbaty chińskiej, 10 pudełek mleka kondensowanego, 6 pudełek konserw rybnych, 4 pudełka smalcu i 4 pudełka masła. Żywność ta miała zaspokajać potrzeby nasze i naszych ludzi na tych odcinkach podróży, gdzie nie udałooby się kupić czegoś do jedzenia od Indian. Skąpo było tego wszystkiego, ale w La Huairze nie dało się niczego dokupić, bo niema tam żadnych sklepów, czy innych składów.

Aczkolwiek byliśmy zupełnie przygotowani do drogi, nie mogliśmy wyruszyć, ponieważ jacht wciąż podlegał reperacji. Nie chcąc jednak tracić czasu na próżno, postanowiliśmy, nie zważając na defekt, w podróż wyruszyć natychmiast. Na decyzję tę miał niemały wpływ również i ten fakt, że dogodny dla nas okręt opuszczał Callao w końcu czerwca, a więc zaledwie za pięć tygodni.

Nie będę się tu rozpisywał o pożegnaniu z członkami ekspedycji i kapitanem Narvaezem, ale nie mogę pominąć milczeniem rozrzewniającego rozstania z marynarzami z załogi *Cahuapanasa*. Ci prości ludzie, Indianie i metysi, snać odgadli instynktem niekłamaną sympatję, jaką ku nim żywiliśmy i żegnali nas tak serdecznie, że zachowamy to na długo we wdzięcznej pamięci.

Rozdział XXXII.

Co mówił książę Pirów.

Gdy peruański *Cahuapanas* pozostał już daleko za nami, a sztandar z białym ptakiem, zawieszony wysoko na maszcie jachtu, zatrzepotał zwycięsko a wesoło, ogarnęła mnie niepomierna radość i duma. Kto z Polaków przed tą podróżą przemierzał takie odległe krainy tropikalne pod biało-amarantowym znakiem? Kto mógłby się pochwalić, że zaniósł w samo serce czerwonego łądu polską banderę? Pycha i duma rozsądzała mi serce. Chciało mi się z radości biegać i skakać. Ciasny pokład jachtu zaczął parzyć mi stopy. Schwyciłem karabin i, po żakowsku, huknąłem kilkakroć w powietrze. Głuchy grzmot poszedł w głąb rozległych pustych dżungli, przeraził naszych brązowych niewolników i zdenerwował Zarychtę.

— Nie mógłbyś to, z łaski swojej — rzekł — posiedzieć spokojnie. Rysować przeszkadzasz.¹

Uspokoilem się i począłem rozpamiętywać szczegóły o potężnej rzece, którą obecnie przecinaliśmy i którą mieliśmy poznać całą — od ujścia aż do samych jej początków.

Tambo zostało odkryte, podobnie jak i Ucayali, w roku 1641 przez misjonarza Illescasa. Jego wodami udawały się w głąb łądu liczne wyprawy konkwistadorów, a później wyprawy uczonych. Pierwszy parowiec, który do niego dotarł, należał do amerykańskiego admirała Tuckera, który w siódmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia przedsięwziął wielką podróż badawczą na wody Ucayali i Tambo.

¹ Zarychta pracował nad szkicem perspektywicznym rzeki.

Już kilka kilometrów powyżej ujścia oba brzegi rzeki Tambo stają się tak wyniosłe, że zalewom nigdy nie podlegają. Nad całym dolnym biegiem, od ujścia do Rio Shirintiari, mieszka, nie licząc mieszkańców Atalaya'i, zaledwie jedna rodzina białych. Ani w średnim, ani w górnym biegu białych niema zupełnie. Jedynymi mieszkańcami wybrzeży są Indianie z plemienia Kampa, których największe skupiska znajdują się przy ujściach rzek: Puyeni, Cheni i Anapati. Indianie z nad Tambo posiadają własne ścieżki, wiodące w głąb kraju, głównie w kierunku Gran Pajonalu, a także nad brzegi rzeki Ucayali. W ten sposób omijają oni ujście Tambo'a, zajęte przez ludzi białych. Ścieżka, wiodąca do wybrzeży górnego biegu Unini, prowadzi wzdłuż rzeki Nassarobeni, dopływu Tambo.

Długość Tambo'a wynosi około 170 *km*. Na przebycie go łodzią wiosłową zużywa się 6—7 dni drogi pod prąd i 14 godzin z prądem. Wielka różnica czasu, jaka zachodzi między podróżą w dół, a podróżą wgórę wód, ma przyczynę w bardzo szybkim prądzie rzeki, wywołanym wielkimi masami wód, toczących się po powierzchni o stosunkowo dużym spadku (ujście leży 264 *m* nad poziomem oceanu, a początek około 400 *m*).

Szerokość jest rozmaita. Ujście mierzy 400 metrów, ale nie może być żadnym sprawdzianem, gdyż w górnym biegu rzeka rozlewa się w wielu miejscach znacznie szerzej. W swoim początku mierzy około 100 *m* szerokości.

Wybrzeża pokrywa dziewicza dżungla tropikalna. W niektórych miejscach, w średnim biegu, widać na lewym brzegu niewielkie goliczny, zwane *pajonal'ami* (czyt. — pachonal). W górnym biegu widać *pajonale*

w niektórych miejscach po obu brzegach. W czasie dużej pory deszczowej (styczeń—marzec), koryto rzeki Tambo jest wypełnione szczelnie i woda dochodzi do samego lasu, wlewając się nawet weń. Natomiast w porze suchej wody jest, oczywiście, znacznie mniej i po obu stronach rzeki ukazują się bądź kamieniste, otoczkowe, bądź piaszczyste plaże.

Tymczasem zbliżyliśmy się do jednej z większych wiosek piroskich, do Colonia'i.

Na niewielkiej płaszczyźnie, oddzielającej skłony gór Manka Imbrichi od rzeki, leży piętnaście nędznych domostw, zamieszkałych przez Pirów. Ludzie ci przebywali dawniej, podobnie jak i mieszkańcy Estrecha'y nad Urubambą, a na obecnym miejscu osiedli również z rozkazu Pancho Vargasa. Colonia posiada kurakę, w osobie niejakiego Luiza Pacaya'i. Ma to być bodaj najgłośniejszy władca Pirów. Niestety, nie było mi sądzonem zobaczyć jego oblicza, albowiem w czasie gdy nasz jacht zawinął do Colonii — jego królewska mość przebywał na łowach. Wprawdzie wersję o łowach powtarzali wszyscy mieszkańcy uparcie i jednomyślnie, jednak, pomimo tego, byłem przekonany, że kuraka lękał się nas i najzwyczajniej w świecie schował się do lasu. Pozostał natomiast jego syn i „następca tronu“ — smukły młodzieniec, który zdradzał bardzo wiele, jak na stosunki indyjskie, inteligencji. Znając mnie już dawniej, podszedł śmiało, wyciągnął rękę i przywitał się dość poufale:

— Buenos dias, capitán!

Poklepałem go po łopacie.

— Jak się masz, kurako — rzekłem.

Tytuł pochlebił mu. Spojrzał na mnie łaskawie i całkiem niespodziewanie zaindagował mnie w sprawie wynajmu ludzi od Pancho Vargasa.

— Dlaczego — mówił — dałeś pieniądze za pracę ludzi, Vargasowi. On jest zły człowiek, on im nic nie da.

Spojrzałem na niego zdumiony. Przecież to było jasne, że ten pierwowzór udzielnego księcia ujmował się za swoimi poddanymi. Zaimponował mi ten brudny i obdarty dzikus. Więc jednak nawet w umysłach zgębionych niewolą Pirów, tych najwierniejszych pomocników ludzi białych w ciemieniu czerwonoskórych braci, tliło się jeszcze zarzewie buntu. Może właśnie ten ponury, smukły młodzieniec rozdmucha je w groźny pożar...

— Słuchaj — rzekłem do syna kuraki — masz rację. Wynagrodzenie za pracę należy się twoim ludziom, a nie Pancho Vargasowi, i dlatego my, synowie plemienia Polaków, zapłacimy im także.

Indjanin pokiwał głową przyjaźnie i zapytał, czy chcemy, aby i on udał się z nami w drogę, jako wioślarz.

Ponieważ mieliśmy już załogę skompletowaną, przeto, ku swemu żalowi, propozycji przyjąć nie mogliśmy.

Już w gościnie u Manczinerego zauważyłem, że kobiety piroskie używały w rozmowach i śpiewie jakiegoś sztucznego, nienaturalnego głosu. W Colonia'i stwierdziłem z absolutną pewnością, że u kobiet tych należy do dobrego tonu mówić głosem ciekim, piskliwym. Zwłaszcza wówczas, gdy kobieta mówi prędko, robi to wrażenie karykaturalne i niemiłe.

Po pożegnaniu się z poddanymi Luiza Pacaya'i ruszyliśmy w dalszą drogę, aby następnie zatrzymać się w Estrecha'y, gdzie Manczineri pożegnał się ze swemi dwiema żonami.

Dobre muszą być żony Maksymiljana Manczinerego i zapewne kochają go szczerze, bo gdy nasza łódź mahoniowa odbiła od wysokiego brzegu Estrecha'y, objęły się zgodnie i zgodnie jęły zawodzić żałośnie.

Indjanin obejrzał się za niemi, uśmiechnął, i już potem niczem nie dał poznać, że każda chwila coraz bardziej oddalała go od serc dwóch kochanych żon.

Rozdział XXXIII.

Zbrodniarz, czy dziwak?

Przez pierwsze godziny mijaliśmy strony, znane nam z poprzednich wypraw. Mignęło nam ujście Panikiali, wyspa, na której odkryliśmy szalaśy szczepów wolnych, rzeka Manitiari, aż wreszcie ujrzelśmy Chembo. Ku swemu zdumieniu zastaliśmy tam Włodzimierza Orde, który w towarzystwie kilku Indjan dotarł aż tutaj w celach myśliwskich. Oczywiście, zatrzymaliśmy się. Orda podjechał do nas łódką i natychmiast poprosił o trochę chleba.

— Dajcie mi — mówił — parę sucharów, bo już przeszło pięć dni kawałka chleba w gębie nie miałem; na dziczyznę i ryż, któremi żywię się ze swoimi Indjanami, już patrzeć nie mogę.

Orda, czyli jak nazywaliśmy go w ekspedycji — wujaszek — wywoływał we mnie zawsze wielkie uznanie i podziw z racji swej niezwykłej energii i tężyzny.

Bądź co bądź, szósty krzyżyk na karku, to nie przelewki. A tymczasem „wujaszek“ nie tylko zdecydował się na podróż niesłychanie uciążliwą, ale jeszcze wykazywał w niej żelazne zdrowie, niestrudzoną wytrwałość i ochoczość do każdej, choćby najwięcej awanturniczej, przygody. Tylko humor, niestety, niezawsze mu dopisywał. Otóż Orda, gdy my znajdowaliśmy się w Estrecha'y, wziął łódź, kilku Indjan, i ruszył w górę Tambo na wyprawę myśliwską. Za długo byłoby tu wyliczać, ile zastrzelił machaco'ów, kamungów, pawi, patów i krokodyli, to też ograniczę się tylko do zaznaczenia, że myśliwiec to nielada, a strzelec pierwszorzędnny.

Pożegnaliśmy wreszcie „wujaszka“ i wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Już pierwszy dzień podróży nie minął nam bez niemiłej przygody. Zupełnie niespodziewanie najechaliśmy na jakiś pień, wskutek czego jacht zachwiał się tak gwałtownie, że redaktor Pankiewicz stracił równowagę i wpadł do wody. Na szczęście nie złapał go za nogę krokodyl, ani nie ugodziła jadowitym kolcem płaszczka. Już wdrapując się na pokład, nieszczęsny redaktor omal nie uległ nowemu wypadkowi, gdyż niewiele brakowało, aby nogi dostały mu się w zasięg śruby, która, niezawodnie, strzaskałaby mu je dokumentnie i raz na zawsze. Na szczęście, skończyło się na strachu, a przemoczone gruntownie ubranie wyschło na gorącym słońcu peruańskim w przeciągu kilkunastu zaledwie minut.

Przed wieczorem minęliśmy ujście rzeki Shirintiari i dotarliśmy do miejscowości Shirintiari, w której mieszka jedna z dwóch rodzin ludzi białych, „zalud-

niających“ brzegi Tambo między Atalaya'ą i rzeką Ene. Pan domu, Angel Ratteri, Włoch, żonaty z Peruanką, osiadł nad Shirintiari przed trzema laty, zajmując się nieco rolnictwem, a głównie splawem drzewa do Iquitos. W chwili naszego przybycia przebywał gdzieś daleko ze swemi tratwami. Nie wiem, co skłoniło tego człowieka do porzucenia cywilizowanej Limy i osiedlenia się w tej dalekiej od świata głuszy. Wiem jednak, że dwie tylko mogły istnieć przyczyny: strach przed ręką sprawiedliwości, lub dziwactwo. Albo popełnił na dalekiej Costa'cie jakieś przestępstwo i w obawie przed karą umknął nad Tambo, gdzie ramię sprawiedliwości opada bezsilne, albo też coś mu duszę oplątało i kazało wyrzec się życia wśród istot sobie podobnych. Jednak ludzie, którzy zadarli ze sprawiedliwością, lub którym w ludnych, cywilizowanych stronach ciasno — są skryci. Niechętnie mówią o sobie. Nic też dziwnego, że nikt nie umiał mi nic o Ratterim powiedzieć. Ot, poprostu, przyjechał łodzią z Puerto Ocopa i pozostał. Dlaczego, poco, na jak długo — nikt nie wiedział. Pozostawmy go tedy, wraz z jego tajemnicą w spokoju. Jeśli to zbrodniarz — życie w dżungli naprawi go, jeśli chory — duszę mu uleczy.

Oprócz rodziny Ratteri'ego mieszka w Shirintiari kilka rodzin Kampów, którzy mienią się niewolnikami Pancho Vargasa, odstąpionymi chwilowo Włochowi.

Wprawdzie w Shirintiari nie zastaliśmy pana domu, natomiast zastaliśmy panią domu, oraz nadzwyczaj miłą, kilkuletnią jej córeczkę. Właściwie nie wiem, kto był milszy — mamusia, czy córeczka. Obie wydały mi się jakimiś niezemiemi istotami, przenie-

sionemi dziwnym kaprysem Boga w te głucho, dalekie bory. Bo i proszę sobie wyobrazić sylwetkę elegancjkiej pani w krótkiej i modnej sukni, na tle ponurych dżungli amazońskich. W jednej chwili spostrzegłem, że nie golilem się już z tydzień, że koszulę miałem na sobie dość brudną, a buty — pożał się Boże. Nieśmiało tedy podszedłem do pani Ratteri i równie nieśmiało przywitałem się. A tymczasem pani, pozostawiona na parę tygodni w samotności, rada, że może dać upust naturalnej u kobiety wymowie, zamełła języczkiem i tak już, z małemi przerwami, szczebiotała do końca, to znaczy do chwili, gdy złożyliśmy swoje utrudzone ciała na bawełniane hamaki.

Podziwialiśmy odwagę tej kobiety, która nie bała się pozostać w samotnej chacie, na samej granicy terenów, zamieszkałych przez wolnych, dzikich Indjan, w miejscu, gdzie wałęsały się jaguary i krokodyle, a skąd do najbliższego sąsiada białego było bardzo daleko.

— Ja tu jestem zupełnie bezpieczna — mówiła — kogo mam się właściwie bać? Indjan? Nie robimy im nic złego, lubią nas. Prędszej białych. Ale tych tu niema. A gdyby jakiś przypadkowy wędrowiec chciał mnie napaść, to mam broń i dam sobie z nim radę.

— A jaguary? — zapytałem.

— I tych się nie boję. Pod samą chatę nie przychodzą nigdy, a ja do nich, do lasu, nie chodzę. Tak, panie, — dokończyła — w zgodzie tu ze wszystkimi żyję i w spokoju.

Niewątpliwie, dużo pewności siebie dodawał zawiadjackiej pani pewien stary, ponury Indjanin, który sunął za nią wszędzie jak cień i zupełnie niedwu-

znacznie zabawiał się rękojeścią potężnego noża, ukrytego w fałdach kuźmy. Ale o tem donna Elena nic nie wspominała.

Ponieważ zmrok już zapadł, postanowiliśmy noc spędzić na miejscu. Przy pomocy nieocenionego Choty, który, niestety, miał już nas wkrótce opuścić, rozwieśliśmy hamaki na obszernej werandzie i wyciągnawszy się mniej więcej wygodnie, ułożyliśmy się spać. Do snu kołysał nas szum rzeki i monotony śpiew czynczary.

Następnego dnia wczesnym rankiem doszedł mój uszu przeciągły głos rogu, zwiastujący przybycie łodzi. I, rzeczywiście, łódź przybyła. Jechał nią komisarz rzeczny z Boca del Tambo, wracający od ujścia rzeki Matobeni. Niemity ten drab o powierzchowności zbója wiedział już, że polska ekspedycja znajduje się na wodach Tambo i bardzo się przede mną z nieobecności na miejscu swego urzędowania usprawiedliwiał.

— Jestem wprost zrozpaczony — mówił z przesadą, zwykłą u Południowych Amerykanów — że nie mogłem towarzyszyć panom w czasie ich pobytu w La Huaira'rze. Nie wątpię jednak, że mój przyjaciel Pancho Vargas postarał się o wszystkie wygody dla panów.

Mówiąc ostatnie słowa, spojrział jakoś badawczo na mnie, jakgdyby pragnął dociec, czy jego potężny opiekun ustosunkował się do nas przyjaźnie, czy też wrogo. Niepewność komisarza nie dziwiła mnie zbyt, gdyż powszechnie wiadano, że interesy Pancho Vargasa są sprzeczne z interesami kolonizacyjnymi polskimi.

Skoro tylko rozwidniło się należyście, co zwykle ma miejsce około 6-tej, poczęliśmy żegnać się z sympa-

tyczną panią Ratteri i niemniej sympatyczną jej córeczką, Violetta, nie bojącą się niczego, oprócz, naturalnie, Viejo Colorado'a.¹ Wkrótce potem zaczęła znikać za nami wysoki brzeg Shirintiari, wraz z dziwną pustelnią niemniej dziwacznej rodziny Ratterich.

Rozdział XXXIV.

A dios, Janka!

Przed nami roztoczyła się znowu dzika, nieujarzmiona rzeka wraz ze wszystkimi niespodziankami i tajemnicami, strzeżonemi zazdrośnie przed obcym przybyszem.

Jakby nam na złość, koryto jej wypełniła w jednym miejscu rozległa wyspa, a przez dwa wąskie ramiona pędziła tak szybko, że 40-konny motor *Janki* nie mógł jej pokonać. Napróżno wytrawny *practico*² skręcał na wszystkie strony, napróżno mechanik o szumnym nazwisku, Julio Cesar Rubio, raz dodawał, to znowu ujmował *gazu*, jacht początkowo posuwał się po parę centymetrów na minutę, potem stał długi czas w miejscu, aż wreszcie zaczął z wolna cofać się.

— *Carramba, que malpaso!*³ — zaklął sternik, a reszta załogi, nie wyłączając kucharza Choty, zawtórowała mu skwapliwie.

— *Carramba, que malpaso!*

¹ Viejo Colorado (hiszp.) — czerwony starzec, dziad.

² Practico (hiszp.) — znający rzekę, pilot.

³ Carramba (hiszp.) — przekleństwo. Malpaso (hiszp.) — złe przejście.

A *malpaso* zastugiwało rzeczywiście na swoje miano. Woda mknęła tak szybko, że aż powierzchnia fałdowała się w zmarszczki, a z głębin dochodził tajemniczy szmer kamyczków, toczonych przez prąd. Dziwaczne głosy pod wodą, sterczące w korycie skały, oraz zatopione pnie drzew — nastrojały do rzeki nieufnie.

Po długim oporze, Tambo zmogło wreszcie naszą *Jankę*. Widząc, że, mimo wysiłków, nie uda nam się *malpasa* pokonać, postanowiliśmy przybić do brzegu wyspy, którą ze względu na okoliczności ochrzciłem imieniem wyspy Trudnej, i jacht odesłać zpowrotem. Wprawdzie wyspa była porośnięta szczelnie dziewiczym lasem, jednak z jednej strony miała niewielką plażę kamienistą, na którą wynieśliśmy wszystkie nasze rzeczy, aby je potem przeładować na *Mantaro*.

Mam zawsze słabość do wysp. A zwłaszcza bezludnych. Niewątpliwie, tkwią we mnie echa czytywanego ongiś zawzięcie Robinsona Crusoe. Ale mniejsza z tem dlaczego, dość, że gdy kiedykolwiek poczuję pod nogami grunt wyspy niezaludnionej, ogarnia mnie chęć pozostania na niej. I nawet nieraz pozostawałem, aby dać ujście swoim upodobaniom. Nigdy nie zapomnę pobytu na bezimiennej wysepce na rzece Parana u granic Paragwaju.¹ Co to był za raj! Nic też dziwnego, że mając takie upodobania wyruszyłem na zwiedzenie wyspy Trudnej. Porastał ją gęsty las, podszyty na brzegach cana brava'ą, a w głębi bambusem. Mierzyła około kilometra długości i ćwierć kilometra szerokości. Roślinność zdradzała, że nawet w czasie

¹ Patrz tegoż autora: „Oceanem, rzeką, lądem“.

wielkich wylewów nie ulega zalewowi. Nigdzie nie mogłem dostrzec na niej śladów przebywania ludzi. Widocznie nie odwiedzali tego lądu ani biali, ani czerwoni. Mijały ją wielokrotnie łodzie mahoniowe i parutowe szyntipy¹ indyjskie, ale pocóż miałyby przybijać do pustej wysepki? Inni mieszkańcy, nie ludzie, wzięli ją w swoje posiadanie. Już na samym brzegu, w zaroślach dzikiej trzciny, spotkałem mnóstwo gniazd paukarów,² a na ziemi ślady żółwi, ronsoków³ i wydr. Na wyspie roilo się od ptactwa i zwierzyny ziemnowodnej. Kto wie, w jej wnętrzu mogły się kryć nawet drapieżniki. Nieznaczna odległość od lądu pozwoliłaby przedostać się tutaj nawet jaguarowi.

Gdy powróciłem na brzeg, Indianie dokonali już przetransportowania bagaży z *Janki* na *Mantaro* i kończyli „pitraszenie“ strawy. Nie tracąc czasu, zjedliśmy ostatni obiad z miłym towarzyszem podróży, redaktorem Pankiewiczem, i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Wkrótce *Janka*, ta ostatnia więź z cywilizacją, zginęła za zakrętem i pozostaliśmy sami, oko w oko z groźną, dziewiczą przyrodą.

Trzech Europejczyków, w towarzystwie sześciu Vargasowych niewolników, miało przebyć olbrzymią drogę przez kraj, zamieszkaną jedynie przez dzikie szczepy Kampów, kraj pokryty zwartą, nieprzeniknioną selwą, w której zwierz dziki jest jeszcze panem i władcą stworzenia.

¹ Szyntipa (kampa) — tratwka; drzewo paruto czyli palo de balsa jest lżejsze od korka.

² Paukar — rodzaj dzięcioła.

³ Ronsoco (hiszp) — kapiwar (*Hydrochoerus capybari*).

Pierwszą noc spędziliśmy w chacie niejakiego Carlosa Michileno, który obok Ratteriego jest jedynym mieszkańcem białym nad Tambo. Gospodarz, podobnie jak i Ratteri, był nieobecny. W domu pozostała jedynie jakaś stara, miedziana czarownica i młody chłopak.

Rankiem, skoro świt, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Porządek na łodzi ustaliliśmy następujący: stary Manczineri dostał pod opiekę rudel, czterech Indjan na przodzie popychało łódź tanganami, czyli długimi tykami, a Jokiryłaje, jako *puntador*, stał na samym dziobie i pomagając swoim czterem kolegom, uważał jednocześnie, aby we właściwym czasie łódź odepchnąć bądź to od skały, bądź od pnia drzewa, czy też po prostu od brzegu. Zadziwiająca jest zręczność i wytrwałość Indjan w tego rodzaju pracy. Mogą oni wiosłować od świtu do zmroku, z godzinną przerwą na obiad, nie odczuwając zmęczenia i nawet dość wesoło prowadząc gawędy. W przeciwieństwie do pracy na roli, której nie znoszą, chętnie pracują jako wiosłarze. Uważają to zajęcie za szlachetniejsze od rolnictwa, któremu powinny oddawać się jedynie kobiety i dzieci. Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem przez długie godziny, jak sprawnie i zgodnie zanurzali i wyciągali z wody tyki, nie opóźniając się ani na najdrobniejszy ułamek sekundy. Działali tak, jakgdyby ruchami ich kierowała jakaś ukryta, jedna dla wszystkich sprężyna.

W przeciwieństwie do dni poprzednich, podczas których nie dokuczały nam ani moskity, ani komary, ani żadne inne owady, obecnie zjawily się małe muszki, zwane po hiszpańsku *manta blanca*, w języku piro — *luusala*, a w języku kampa — *syito*. Muszki te pozo-

stawiają po ukąszeniu czerwone, swędzące ślady, podobne do ukąszeń pcheł. Mają one bardzo dokuczliwy zwyczaj wchodzenia we włosy i gryzienia w głowę. Swędzenie, spowodowane ukąszeniem ginie po kilku godzinach, ale gdy ukąszone miejsce podrapać, wówczas ślady się powiększają i mogą trwać szereg dni.

Około południa dostrzegłem na prawym brzegu dwie chaty indyjskie. Okazało się, że miejscowość nazywa się Kapitiri i leży nieco poniżej małego dopływu, zwanego też Kapitiri. Mieszkają tam cztery rodziny Kampów, niewolników Carlosa Michileno z Kempitiari, w którego domu spędzaliśmy ostatnią noc. W Kapitiri zastaliśmy same kobiety, gdyż mężczyźni znajdowali się przy pracy na plantacjach swego *patrona*. Wszystkie były pomalowane jaskrawą czerwoną farbą z *achio-ta'y*.¹ Niektóre z nich przyrządzały napój z kukurydzy, posiadający po przefermentowaniu dość duży procent alkoholu.

Po dwugodzinnym postoju w Kapitiri, wyruszyliśmy dalej. W pół godziny później mijaliśmy jakąś bezimienną wyspę, przy której omal nie straciliśmy swojej łodzi. Wysoki na kilka metrów brzeg wyspy składał się z grubej warstwy żwiru, podmytego przez fale tak dalece, że ruch naszej łodzi spowodował obsuniecie się potężnego zwał, który runął do wody o kilka metrów za łodzią, nic jej wprawdzie nie szkodziąc, ale powodując nowe oberwanie się dalszej masy żwiru. Na dobitek, łódź zaplątała się w gałęzie jakiegoś zwalonego drzewa i nie mogła odsunąć się od niebezpiecznej wyspy natychmiast. Ponowne oberwa-

¹ *Bixa orellana*.

nie się masy żwiru groziło wywróceniem łodzi i zatopieniem rzeczy. Biedna *Mantaro* kołysała się gwałtownie, nabierając bokami wody. Po godzinie ciężkiego zmagania się z przeciwnościami natury, Indjanie wyminęli niebezpieczną wyspę i wypłynęli na spokojne wody.

Nad wieczorem dotarliśmy do innej bezimiennej wyspy, na której, na piaszczystej plaży, spędziliśmy noc przy szumie dżungli i rzeki.

Rozdział XXXV.

Pieniądze i nengecki.

— Eeeep! eeeep! eeeep! — pokrzykiwali wioślarze co chwila, aby zgodnym ruchem wypchnąć łódź z zawrotnie szybkiego prądu *malpasa*.

Niestety, pokrzykiwania pomagały mało. Już godzina minęła, a myśmy jeszcze nie przebyli tych głupich stu metrów, które bystrzyna obejmowała. Nie pomagało natężanie mięśni i jak najzgodniejszy wysiłek. Zaledwie udawało się utrzymać łódź w miejscu. Nie było innej rady, tylko wioślarze musieli wejść do wody i własnymi barkami stateczek przepychać. Jednak i to nie pomogło. Łódź zaczęła zwolna cofać się i już tylko z wielkim trudem Indjanie powstrzymywali ją od nabrania rozpędu wstecznego. Gdyby się im wyrwała, byłby to koniec naszych wszystkich bagaży, samej łodzi, a, kto wie, może i nas samych. Zębate skały, wokoło których gotowała się spieniona, zła woda, mogłyby zgotować nam nielada niespodzianki. Widząc tę groźną sytuację, wskoczyłem również do

wody, aby świeżymi siłami wesprzeć słabnące ramiona indyjskie.

Dobre dwie godziny trwało to zmaganie się z mal-pasem. Ale zwyciężyliśmy!

Zaledwie przebrnęliśmy niebezpieczne miejsce, zacząłem przybić do brzegu i odpocząć. Biedni Indjanie leżeli na nadbrzeżnych kamieniach przez dobre pół godziny, jak martwi. Sam będąc śmiertelnie znużony, rozumiałem dobrze ich stan i nie nagliłem do dalszej drogi.

Po wyminięciu ujścia rzeki Mayapo, dotarliśmy do małego strumienia, noszącego nazwę Kushireni, przy którym widniały jakieś chaty.

Była to wioska indyjska. Ludzie, oczywiście, uciekli. Jak wszyscy Indjanie, również i ci odnosili się do białych niechętnie i bali się ich. Po długim szukaniu wynalazłem jakiegoś chłopaka i dając mu cenny prezent w postaci pudełka zapalek, usiłowałem przekonać go, że jesteśmy ludzie bardzo dobrzy, aczkolwiek Tahuanty-bóg dał nam białą skórę. Wreszcie Indjanie się znaleźli. Poprostu, przyszli z lasu.

Zagadnąłem pierwszego z brzegu:

— Gdzie kuraka?

Indjanin popatrzył na mnie podejrzliwie.

— *Tekacy* (niema) — odpowiedział krótko.

Po chwili, widząc, że nie zamierzamy krzywdzić ich, rzekł, nie pytany:

— Kuraka robi łódź.

— No, to idź go zawołaj.

Indjanin kiwnął głową i poszedł w kierunku lasu.

Wydałem tymczasem polecenie, aby jeden z wiosłarzy przygotował obiad, to znaczy ugotował nie-

śmiertelny ryż z kurą, a sam udałem się na oglądanie wioski. Stały tam tylko cztery chaty, w których kręciło się dużo oswojonych papug, leżały sterty łuków i strzał, ale jakichkolwiek sprzętów i zapasów jedzenia nie było. Wśląd za mną postępowało kilku Indjan i Indjanek, przyglądając się z żywą ciekawością zarówno mojej osobie, jak i wszystkiemu, co robię. Całe towarzystwo było przybrane w kuźmy i miało twarze częściowo tatuowane w sine węże, a częściowo malowane czerwoną farbą z achiota'y.

Po pewnym czasie ukazał się kuraka.

Był to szczupły, rosły Indjanin, na którego twarzy widniały dwa wytatuowane wężyki, a w przegrodzie nosowej przeświecała obszerna dziura do wtykania drewnianych, lub kościanych ozdób. Na sobie miał, jak i wszyscy jego poddani, kuźmę. Nie odrazu jednak zbliżył się do nas. Przedtem udał się do swojej chaty i ubrał się w europejskie spodnie, koszulę i kamizelkę. Dopiero po dokonaniu tego obrzędu, podszedł do nas i wyciągnął rękę.

— Ty jesteś kuraka? — zapytałem.

Indjanin kiwnął głową.

— Eeehe, — odrzekł — ja jestem kuraka Cziunticyki, a ty kto jesteś?

— Ja jestem *capitan-polaco* — odrzekłem, wymieniając swój stopień, pod którym znało mię już wielu Indjan z nad Tambo i Ucayali.

Cziunticyki przywitał się następnie z Freydem i Zarychtą, poczem zwrócił się znowu do mnie i zapytał:

— Żony masz?

— Mam.

— A ile?

Nie mogłem, oczywiście, przyznać się, że jestem kawalerem, gdyż skompromitowałbym się z kretesem, odparłem tedy spokojnie:

— Pięć.

Cziunticyki nie zrozumiał. Przez dłuższą chwilę przebierał palcami, coś tam szeptał i wreszcie zapytał, pokazując trzy grube paluchy.

— Tyle masz żon?

— Nie, Cziunticyki — odrzekłem — więcej. Tyle, ile masz palców u jednej ręki.

Wiadomość o moich pięciu lub dziesięciu żonach budziła zawsze wśród Indjan wielką sensację i wzbudzała do mnie szacunek. Również i Cziunticyki zaczął od tej chwili patrzeć na mnie zupełnie innymi oczami. Człowiek, który ma pięć żon, musi być osobistością w swoim kraju nielada!

Zkolei ja zacząłem indagować Cziunticyka.

— Słuchaj no; kurako, a ty ile masz żon?

Indjanin nic nie odrzekł tylko pokazał mi trzy palce. Widziałem, że był zawstydzony faktem posiadania tak skromnej ilości kobiet.

Samą poezją człowiek nie żyje, nie żyje też i rozmowami o żonach własnych i cudzych, to też pogawędka nasza rychło przybrała bardziej utylitarny charakter.

— Kury, masz, kurako?

— Nie mam — odrzekł bez wahania.

— Jakto nie masz, a to co się kręci koło nas, czy to nie są *cziaapy*.¹

Cziunticyki spojrział na ptactwo domowe i niechętnie odrzekł, że, rzeczywiście, są to jak najprawdziw-

¹ Cziapa (kampa) — kura.

sze *cziaipy*, ale on wcale nie ma zamiaru oddawać ich mnie.

— Ależ ja ci zapłacę! — wykrzyknąłem naiwnie i brzęknąłem srebrnymi półsolówkami.

Ku memu zdumieniu brzęk pieniędzy nie wywarł na Indjanach najmniejszego wrażenia. Myśląc, że może nie dowierzają mi, wyciągnąłem z kieszeni dużą monetę srebrną i obrazowo przedstawiałem, że za każdą *cziaipę* dam taki właśnie, a nie inny *kireki*.¹ Indjanie kiwali głowami, brali pieniądz w rękę, oglądali ze wszystkich stron, próbowali nawet zębami, ale interesowało ich głównie to, gdzieby go można, jako ozdobę, powiesić. Czy na szyi, czy w uchu, czy poprostu w dolnej, przekłutej wardze? Jak najwidoczniej, pojęcie pieniądza, jako znaku zamiennego, nie dotarło jeszcze do mieszkańców kurakjatu Kushireni. Niewątpliwie odjechałibyśmy bez krzty świeżej żywności, gdyby, na szczęście, nie przyszło mi na myśl sięgnąć po inne wartościienne, aniżeli pieniądz.

Jakże inaczej zabłyśły oczy Indjan, gdy wyciągnąłem z łodzi kilka blaszanek z prochem, parę scyzoryków, a przede wszystkim, sznur paciorków. Ani się obejrzałem, gdy kobiety „kopnęły się“ chwytając kury i wyciągać gdzieś ze schowków jaja. Każda z nich chciała koniecznie *nengecki*² i niewątpliwie oddałyby wszystko za kilka sznurów kolorowych szkiełek.

Na widok niesłychanych skarbów, jakie rozłożyłem w jednej z chat, stracił na chwilę swoją powagę i spokój nawet sam Cziunticyki. Przyczyniły się do tego

¹ Kireki (kampa) — pieniądz.

² Nengecki (kampa) — paciorki.

zapewne i owe trzy żony, które jakoś podejrzenie po-
ciągały go za rękawy i coś tam, jedna przez drugą,
mówiły.

Uwołąc z sobą spory zapas kur, kogutów, oraz jaj,
opuściliśmy wioskę kuraki Cziunticyka z nad rzeki Ku-
shireni, zadowoleni z siebie i pełni najlepszych myśli.

Rozdział XXXVI.

Trzech przeciw trzystu.

Gdy podjeżdżaliśmy do ujścia rzeki Puyeni, zbliżał się właśnie wieczór. Słońce pochyliło się ku wzgórzom, zwiastując rychły zachód. Jak w czasie całej naszej podróży przez Tambo, również i w tym dniu pogoda była przesłiczna. Pięknego błękitu nie zaciemniały chmury ani mgły, a upał, jak zwykle pod wieczór, znacznie zelżał. Nic też dziwnego, że humory mieliśmy świetne i nic, zdawało się, nie brakowało nam do szczęścia. Z rzeką już oswoiliśmy się. Jej groźny szum, zębate skały i zdradzieckie „palisady“ przestały nas przerażać. Po wizycie u Cziunticyka byliśmy pewni, że również i ze strony ludzi czerwonych nie spotka nas nic złego. To też, gdy u ujścia rzeki Puyeni dostrzeżliśmy z jednej strony jakieś siedemdziesiąt prowizorycznych szałasów indyjskich, a z drugiej — całą wioskę i mnóstwo czerwonoskórych na brzegu, nie przyszło nam nawet na myśl, aby wyminąć to obozowisko i przenocować gdzieś w miejscu bezludnym, a więc bezpiecznym.

Na *Mantaro* mieliśmy zatknięty wielki sztandar polski, uszyty w Warszawie przez panią Idalję. Jego to

widok, w pierwszym rzędzie, musiał poruszyć Indian z nad Puyeni. Powybiegali wszyscy na brzeg i, gestykulując, coś rozprawiali.

Wylądowaliśmy przy wiosce.

Gdy Indianie spostrzegli, że łódź dobija do brzegu, rzucili się na nasze spotkanie. Ci, którzy znajdowali się na drugim brzegu Puyeni przepawili się natychmiast na sztympach oraz łodziach i połączyli się z admirującą nas gromadą. Niestety, nie było w tej ogromnej masie, sięgającej kilku setek mężczyzn, kobiet i dzieci, ani jednej osoby, która rozumiałaby choć kilka słów hiszpańskich. Snać widok białego człowieka musiał być dla nich czemś naprawdę niezwykłym, skoro obecność nasza tak ich poruszyła. Wydawało mi się to nieco dziwne, gdyż Tambo było, bądź co bądź, drogą uczęszczaną. Zagadkę wyjaśnił Manczineri.

— *Capitan* — rzekł — ci ludzie są z Gran Pajonalu. Oni nie widzieli nigdy *blancos*.

A tymczasem Indianie ośmielili się nieco i już bez wielkich ceregieli zaczęli obmacywać nasze ubrania, broń, buty, a nawet dotykać palcami włosów i twarzy. Co chwila dzielili się uwagami i coś tam między sobą pogadywali. Zarówno mężczyźni, jak kobiety i dzieci ubrani byli w kuźmy koloru brązowego, oraz szarego w podłużne czarne, lub brązowe pasy. Włosy nosili długie, przy ramionach przycięte, a przez czoło przepasane koroną z zatkniętymi w nią piórami papużkami. Nikt z nich nie miał na sobie najdrobniejszego choćby szczegółu, któryby zdradzał stosunki z białymi. Wszystkie kobiety były przystrojone w wielkie zwoje paciorków z pachnących nasionek, które nosiły na szyjach, oraz w rodzaj grzechotek i wyrzynanych

kostek na ramionach. Wielu mężczyzn, a także kobiet i dzieci miało twarze pomalowane na kolor czerwony. Dzieciom, aby je było łatwiej odszukać w razie zagięcia w lesie, poprzyczepiano do ramion naturalne dzwoneczki, a dla ozdoby — małe ogonki futrzane. Paradne były te dzieciaki, trzymające się kupkami i za każdym naszym zbliżeniem się rozbiegające się na wszystkie strony, niby stado spłoszonych trz nadli.

Oryginalne stroje noszą Indianie i oryginalnym holdują zwyczajom, ale to, co można dostrzec w ich twarzach, jest bodaj najoryginalniejsze. Takie fizjognomje można było widzieć w Europie już chyba bardzo dawno.

Z pod kamiennego spokoju prześwieca w nich coś, co burzuja europejskiego napełniłoby niemiłym dreszczem. Z oczu wygląda im zuchwałość, a z wykroju ust — okrucieństwo. Indianin nie jest człowiekiem złym. Sercu jego dostępna jest miłość, wielkoduszność i wspaniałomyślność, ale prędzej góry Manka Imbrichi zapadną się w ziemię, aniżeli on zrozumie litość, lub poniecha zemsty. Potrafi przez wiele dni dumać nad wynalezieniem dla swej ofiary śmierci więcej bolesnej, aniżeli pospolite porzucenie w mrowisku, lub szpikowanie ostrą strzałą drewnianą. Wiedzą o tych swoich cechach wszystkie plemiona czerwonoskóre, to też Kaszybo, wybierający się na wyprawę przeciw Kampom, lub Kamp przeciw Maczygangom, wie tylko o dwóch możliwościach wojennych: albo on zabije, albo jego zabiją. Jednak w rysach peruańskich barbarzyńców malują się nietylko cechy ujemne. Widać w nich jakieś dziwaczne, jakby nie z tego świata piękno. Surowe, nieruchome oblicza, postaci pełne godności, ruchy swobodne, zdradzające ludzi wolnych

i fantastyczne stroje — składają się na całość dziką, ale niezwykłą i piękną.

Jak zwykle podczas wizyt u Indjan, zacząłem rozmowę od zapytania, gdzie jest kuraka. Ale w Puyeni kuraki nie było. Kogokolwiek tylko zapytałem łamaną kampszczyzną, gdzie jest wódz, otrzymywałem lakoniczną odpowiedź: *tekacy*.¹ Wydało mi się to podejrzane. Nie mogło być mowy o tem, aby w takim wielkiem zbiorowisku ludzi nie było kuraki, lub jakiegoś jego zastępcy. Musiał być, tylko zapewne nie chciał się nam pokazać. Ale dlaczego? Tu mimowoli nasunęło się przypuszczenie, że może knował przeciw nam jakieś złe zamiary. Byłbym się zapewne nadal zastanawiał nad tajemniczą nieobecnością kuraki, gdyby nie fakt, który mnie nieco przestraszył. Oto najinteligentniejszy z naszych wiosłarzy, mieszaniec Kampa-Piro, Asencio Suarez, pobiegł nagle do łodzi, pochwycił stojący tam mój karabin i pośpiesznie przybiegł znowu do mnie. Spojrzałem na niego zdumiony, gdyż nigdy tego nie robił.

— Asencio — zapytałem — a to co?

— *Mucha gente* (dużo ludzi) — odpowiedział dwuznacznie i tak manewrował, aby nigdy nie mieć za plecami dzikich.

Jeszcze nie zdołałem zorjentować się w sytuacji, gdy podbiegł do mnie śpiesznie drugi wiosłarz, Luiz, Indjanin z północy, i zbiełałemi z przerażenia wargami wyszeptał mi do samego ucha:

— Jedźmy dalej, *capitan*, jedźmy zaraz. Tutaj *mucha gente*, dużo ludzi zanadto złych.

¹ Tekacy (kampa) — niema.

— Co się stało, Luiz?

Biedny Tabalosino trząsał się cały ze strachu i wskazując na swoje ucho, dawał mi tem do zrozumienia, że usłyszał coś, co go napełniło przerażeniem.

Spojrzałem na Kampów.

Coś między sobą szeptali, o coś się między sobą sprzeciali, ale przede wszystkim, wlepiali swoje błyszczące oczy w nas, w naszą świetną broń i w tysiąc drobiazgów należących do nas, a stanowiących dla nich skarby wprost bezcenne.

W jednej chwili uświadomiłem sobie, że wystarczyłoby kilkunastu sekund, abyśmy zginęli, przeszyci paruset strzałami. I nicby nie pomogły doskonale rewolwery i jeszcze lepsze karabiny. Pierwej, aniżeli zdążylibyśmy się spostrzec, już nasze dusze wędrowałyby sobie gdzieś po przestworzach. Nie było czasu do namysłu.

Zwołałem kolegów.

— Słuchajcie — rzekłem — nie jesteśmy tu bezpieczni. Spójrzcie na Indjan, jest tu dorosłych drabów ze trzystu. W żadnym wypadku rady im nie damy, gdyby chcieli dobrać się do naszych skalpów.

— Nie, nie damy — przytaknął dr. Freyd.

— A więc w drogę?

— Tak, w drogę.

Skierowaliśmy się pośpiesznie ku łodzi, nawołując po drodze wioślarzy. W kilka chwil później Jokiryłaje odwiązał linę, ja krzyknąłem swoje kampaskie *caami achaty*¹ i ruszyliśmy.

¹ Caami achaty (kampa) — jedziemy, ruszamy.

Co się zaczęło dziać na brzegu, gdy Indianie spostrzegli nasz odjazd, trudno wprost opisać. Powstał tam nieopisany hałas, krzyki, nawoływania i wogóle niebываły rwetes. Jedni wojownicy coś do nas pokrzykiwali w swoim języku, czego nie mogłem zrozumieć, ale co nie musiało być czemś pochlebne, gdyż nasi wioślarze coraz śpieszniej wbijali w dno długie tangany i w coraz szybszy ruch wprawiali naszą łódź; inni znowu kłócili się o coś zawzięcie. Robiło to wrażenie, jakgdyby byli podzieleni na dwa zwalczające się obozy. Jedni chcieli zapewne zająć jakieś czynne stanowisko w stosunku do naszej sromotnej ucieczki, inni natomiast zwalczali ich.

Właśnie zaczął zapadać mrok. Po obu stronach rzeki położyły się długie cienie i tylko pośrodku widać się jeszcze długi, jasny wąż światła. Dżungla, cicha zwykle w dzień, obudziła się teraz i odezwała mnóstwem głosów. Ze wszystkich stron dochodziły jakieś krzyki, gwizdy i szelesty. Całe bujne życie pierwotnej puszczy uzewnętrznia się dopiero wieczorem i w nocy. Każde drzewo, każda skała, każdy krzak i liana zdaje się wówczas żyć, poruszać i wydawać coraz to dziwaczniejsze głosy. Człowieka, który ma szczęście przebywać w niej, ogarnia wówczas dziwaczne, nieusprawiedliwione niczem uczucie pełni życia. Myślę, że tylko w dżungli uczucie to może objawić się w całej swej pięknej jaskrawości.

Zasłuchany w śpiew dżungli i zapatrzony w jej dostojną powagę, daleki byłem od niedawno przebytej przygody, to też jak kubeł zimnej wody podziały na mnie słowa Manczinerego:

— *Los campos vienem* — Kampowie przybywają.

— Gdzie, skąd?

Manczineri wskazał ręką na niezbyt odległy zakręt, który przed kilkunastu minutami minęliśmy.

Spojrzałem i, przyznam się, zrobiło mi się nieco nieswojo.

Za nami, w odległości paruset metrów, widniało na rzece sześć dużych łodzi, a w nich ze sześćdziesięciu wojowników indyjskich. Z przykrością stwierdziłem przez lornetkę, że mają z sobą długie, czarne łuki i pęki strzał.

Widok zbliżających się Kampów podziałał na naszych wiosłarzy, jak dodanie „gazu“ na motor. *Mantaro* pomknęła ze zdwojoną szybkością.

My, biali, opatrzyliśmy karabiny, położyli „pod rękę“ amunicję i czekaliśmy na to, „co Bóg da“.

Tymczasem Indianie krzyczeli coś donośnie i potrząsali łukami, starając się nas dopędzić. Pomimo otrząskania się z wielu sytuacjami, ogarnęły mnie ponure myśli. Wprawdzie, myślałem, mamy doskonałe karabiny dalekonośne, rozprawa z Indianami może być krwawa, lecz jej wynik — zapewne dla nas smutny.

Ileż to wypraw zginęło bez śladu w czeluściach srogiej Amazonji. Ot, choćby taki pułkownik Fawcett. Przepadł w roku 1925 i do dzisiaj nie udało się odzyskać żadnych jego śladów. Bardzo byliśmy wówczas bliscy palmy męczeńskiej i zasłużonego nekrologu w Kurjerze Warszawskim. Przyszła nam w pomoc noc. Poczciwa, nieprzenikniona noc równikowa, Zapadła nagle i oddzieliła nas od prześladowców gęstą zasłoną, jak biblijny płomień, który, z łaski Boskiej, obronił Żydów przed Egipcjanami.

Indjanie nie lubią nocy i boją się jej. Zniechęciła ich zapewne do dalszej pogoni i dalszego prześladowania wirakuczów. Zawrócili.

Rozdział XXXVII.

Hijo del sol.

— Wylądujemy na tej plaży — rzekłem, wskazując na majaczącą skroś nocy jasną plamę piaszczystego wybrzeża.

Indjanie poszwargotali coś między sobą i po chwili ódź stuknęła dziobem o niski brzeg.

Ażeby zorientować się w terenie, wypuściłem rakiety. Jaskrawe światło zalało na chwilę rzekę, plażę, ujście jakiegoś strumienia, a co najważniejsze, pozwoliło nam dostrzec w niedalekiej odległości grupę chat, krytych liśćmi.

— Carramba! — zakląłem — znowu Indjanie.

— Tu, panie, — odezwał się Jokirałaje — mieszka kuraka Ompikiri. Jego ludzie są dobrzy. I on sam dobry.

Odetchnąłem.

— A jak się ta miejscowość nazywa? — zapytałem.

— *No tiene nombre* — usłyszałem zwykłą odpowiedź.

O rzece, której ujście znajdowało się wpobliżu, wiedziałem już pierwej, że nosi nazwę Cheni. Tę samą nazwę nadałem w swoich wspomnieniach również wiosce, położonej nad jej brzegami.

W kilka minut po wypuszczeniu rakiety, zaroiło się na brzegu od Indjan, których przywabiło niezwykle

światło. Aby wzbudzić dla siebie należyty szacunek, wypaliłem pięć razy w powietrze z karabinu. Kampowie są jednak odważni. Ani strzelanina, ani rakiety nie przeraziły ich. Wprawdzie zostali tem wszystkiem olśnieni, ale strachu nie okazywali.

Wkrótce zjawił się Ompikiri.

— *Buenos dias* — przywitał nas po hiszpańsku i poklepał południowo-amerykańskim obyczajem po łopatkach.

Był to czterdziestoletni mężczyzna, ubrany w narodową kuźmę i w koronę z piórami. Na jego twarzy malowała się chytrość i przebiegłość. Nie była to jednak twarz wojownika, których wiele widniało wokół niego, lecz raczej twarz spryciarza.

Kurakjat Ompikirego obejmuje tereny między rzeką Puyeni i Anapati. W przeciwieństwie do Cziunticyka, który uznaje władzę Pancho Vargasa, Ompikiri uważa się za udzielnego pana swojego ludu. Na za pytanie, skierowane do niego w tej materji, odrzekł dumnie:

— Nie, *capitan*, ani ja, ani moi ludzie nie mają nad sobą nikogo, oprócz Pahua'y.¹

— Czy było tak zawsze?

— Niezawsze — odrzekł Ompikiri już mniej dumnie — dawniej mieliśmy patrona.

— Kogo?

— Fitzcarralda, ale on już umarł.²

Ompikiri przypatrywał się nam przez jakiś czas

¹ Pahua lub Tahuanty — Bóg, słońce.

² Fitzcarrald, znany w Montanji eksplorator, odkrywca „vadera“ z Shepahua'y do Purusu. Utonął wraz ze swoim statkiem w Urubambie.

badawczo, poczem zadał mi pytanie, które z ust Indian słyszałem już wielokrotnie.

— To wy naprawdę nie jesteście *soldados*?

— Nie, kurako, nie jesteśmy.

Ompikiri ucieszył się.

— To bardzo dobrze — rzekł — myślałem, że jesteście żołnierzami i że przyszlście nas zabić.

W tej chwili podszedł do nas i wtrącił się do rozmowy jakiś niski, dość szczupły Indianin, ubrany w oryginalną, powłóczytą kuźmę i mniej oryginalną „cyklistówkę“, jaką bardzo często można zobaczyć na Woli, lub w Czerniakowie. Przed tym niepozornym człowiekiem tłum Indian rozstępował się z jak największym szacunkiem, a nawet, rzekłbym, ze strachem.

— Ucieszyło się serce moje — odezwał się przybysz po hiszpańsku — gdy dowiedziałem się, że nie jesteście *mala gente*.¹

— Kto to jest? — zapytałem Ompikirego.

— To jest jeden kuraka z Gran Pajonalu — odrzekł wymijająco.

Wiadomość ta ucieszyła mnie, gdyż już oddawna marzyłem o rozmowie z Indianinem, pochodzącym z tej nietkniętej przez białych krainy.

Radość moją zwarzył nieco Asencio, który wyszeptał mi na ucho, że Indianin w cyklistówce, to sławny w całej Montanji Tasulinczi.

O Tasulinczim już pisałem. Teraz wspomnę tylko, że jest to krwawy wódz indyjski z czasów kilkuletniej wojny, toczącej się między sprzymierzonymi plemionami z Gran Pajonalu i z nad rzeki Ucayali,

¹ Mala gente (hiszp.) — zli ludzie.

a białymi osadnikami. Sam Tasulinczi był kiedyś niewolnikiem jednego z białych, zamieszkałego w pobliżu ujścia rzeki Unini. Z owych czasów pozostała mu znajomość hiszpańszczyzny i znajomość plemion nadukajalskich. W jaki sposób skromny niewolnik indyjski potrafił połączyć skłócone szczepy Gran Pajonalu oraz wybrzeży Ucayali, a do tego stanąć na ich czele i skłonić do wykopania siekiery wojennej przeciw białym — pozostanie tajemnicą zapewne na zawsze. Ież to było potrzeba wytrwałości, chytrłości, dyplomacji, aby tego niezwyklego dzieła dokonać. Tasulinczi zaniósł pożogę wojenną aż hen, po Masiseę i dalej, nad średni bieg Ucayali. Wojnę potrafił wygrać, a ludom swoim zapewnić dobre pięć lat spokoju. Dopiero w roku 1920 (powstanie wybuchło w 1915) odważyli się niektórzy osadnicy powrócić nad górne Ucayali.

Imię Tasulinczego jest sławne w całej Montanji. Wieści o nim przekroczyły nawet Kordyljery i dotarły do Limy. Jest to niewątpliwie najwybitniejszy Indjanin współczesny w Peru. Gdyby ktoś chciał z nim „pogadać“, byłby on w stanie skłonić całe plemię Kampa do spokojnego, osiadłego żywota i w ten sposób zachować je przed nieuniknioną zagładą. Kto jednak z nim o tych sprawach pomówi? Loretanie nie zapomną mu nigdy pomordowanych braci, sióstr, matek i ojców, a rząd uważa go poprostu za zbrodniarza, buntownika i zdrajcę. Zawziętość przeciw Tasulinczemu jest wielka i niewątpliwie doprowadzi do nowej wojny, o ile tymczasem nie nadadzą innego obrotu sprawom północno-amerykańscy misjonarze z biskupem Peughem i sławnym Stahlem na czele.

Ludzie ci prowadzą bardzo żywą akcję wśród plemion Gran Pajonalu, a Tasulinczi jest ich wielkim przyjacielem.

Sam Tasulinczi nie przedstawia się nazbyt reprezentacyjnie. Plugawa kuźma i karykaturalnie wyglądająca przy niej cyklistówka przyczyniały się do tego w dużym stopniu. Jedyne twarz tego człowieka miała w sobie coś niezwykłego. Przebijała z niej lisia chytryść, podejrzliwość, bezwzględność i spokojne, zimne okrucieństwo. Po hiszpańsku mówił niezle, ale dobiebrał słów kwiecistych i niezawsze mających z omawianą sprawą jakiś związek.

— To ty, kurako, jesteś Tasulinczi? — zapytałem go bez ogródek.

Indjanin spojrzał na mnie podejrzliwie.

— *Yo soy hijo del sol*, ja jestem synem słońca — odrzekł wymijająco.

W tem miejscu muszę zaznaczyć, że Kampowie są już jedynym ludem w Peru, hołdującym starożytnej religii Inkasów — wierze w słońce. Bóg i słońce, to u nich synonimy, a oni sami zwą się dziećmi wiecznie gorącego Pahua, albo, z keczuańska, — Tahuanty. Wprawdzie wielu Kampów mówi o sobie, że są „ewangelistas“ i że największym czarodziejem i kapłanem jest Stahl, jednak, w gruncie rzeczy, nie rozumieją zupełnie, że przyznawanie się do jakiegokolwiek religii chrześcijańskiej ma oznaczać wyrzeczenie się wiary w słońce. Najoczywistszym tego dowodem było wyraźne oświadczenie Tasulinczego, że jest *hijo del sol*, aczkolwiek wszystkim w Montanji wiadomo, że lubi on o sobie mówić jako o ewangeliku i przechwalać się wielką przyjaźnią ze Stahlem.

Bardzo mi zależało na dobrem usposobieniu do siebie najznacniejszego kuraki indyjskiego, to też dałem mu nóż i wiązkę paciorków, do których aż mu oczy zabłyśły. Najwidoczniej jednak miał niejedną żonę do obdzielenia, gdyż prosił, aby mu dać paciorków więcej. Oczywiście, uczyniłem zadość prośbie wodza. Gdy zauważyłem, że „rozkleił się“ już zupełnie, zacząłem wyciągać go na słówka i wypytywać, dlaczego zdecydował się przybyć nad Tambo.¹

Tasulinczi odpowiadał początkowo półsłówkami, ale następnie rozgadał się na dobre.

— Był u mnie — mówił — padre Stahl i powiedział, żeby tutaj, nad Cheni, zebrać dużo, dużo Kam-pów, to wówczas on przyjedzie z Iquitos z wielkim statkiem pełnym nożów, siekier, maczet, oraz broni, i zrobi *pueblo*² indyjskie. My jesteśmy ludzie spokojni, chcemy żyć w zgodzie z białymi, chcemy siać bawełnę i jukę, a w lesie zbierać kauczuk. My tylko nie chcemy patronów i Pancho Vargasa. To jest zły człowiek. On wciąż chce, żeby mu dawać nasze dzieci, a my nie chcemy nikomu dawać swoich dzieci. My swoje dzieci chcemy chować sami.

— Masz rację, kurako — przyświadczyłem mu — nikt nie ma prawa żądać od was dzieci.

— On wciąż mówi, że mnie zabije, a moich ludzi sprowadzi do roboty na swojej plantacji kawy w La Huaira'rze.

Kuraka zamyślił się na chwilę.

— Ty zapewne jesteś *gringo*³ — mówił dalej —

¹ Jego stałą siedzibą są stepy Gran Pajonalu.

² Osiedle.

³ Nazwa nadawana europejskim emigrantom.

znałem takich w San Ramon, gdzie przebywałem przed laty. Wszyscy oni mówili tak jak ty, lubili mój naród.

— I ja was lubię.

— A skąd ty jesteś?

— Jestem z narodu polskiego, *Polaco*.

— *Polaco*?

— Tak, *Polaco*. Pamiętaj, że wojownicy tego narodu nigdy nie robią krzywdy wojownikom czerwonoskórym i że za kilkanaście księżyców może się tak zdarzyć, że przyjedzie ich tutaj dużo.

— Niech przychodzą — rzekł Tasulinczi poważnie — znajdą u mojego narodu spokój i gościnę.

Wykorzystałem odpowiedni moment i powiedziałem kurace, aby powtórzył swemu narodowi, tłoczącemu się wokoło, o tem, że *Polacos* są przyjaciółmi Kampów i że gdy przyjdą, trzeba przyjąć ich godnie i serdecznie. Tasulinczi kiwnął na to głową i wygłosił przemowę, której treść przetłumaczył mi Asencio Suarez w tych mniej więcej słowach:

— Słuchajcie Kampowie, ci wirakucze są z plemina *Polaco*, ludzie dobrzy, którzy nie krzywdzą nigdy ludzi czerwonych. Ich bracia posiadają włosy i oczy jasne. Gdy przyjdą nad nasze rzeki, trzeba przyjmując ich tak, jak przyjmujemy przyjaciół i padre Stahla.

Indianie przyjęli słowa swego wodza okrzykami zadowolenia.

Pomimo późnej nocy, tłum Indian nie zamierzał pozostawić nas samych. Ponieważ jednak i Tasulinczi i Ompikiri, a więc zapewne i ich ludzie, ustosunkowali się do nas życzliwie, rozłożyliśmy swoje pielesze bez obaw i ułożyliśmy się spać. Nasi wioślarze mieli

czuwać z karabinami w ręku, ale, jak się później przekonałem, spali snem sprawiedliwych przez całą noc i wcale straży nie odbywali.

Rozdział XXXVIII.

W kurakjacie Ompikirego.

Z samego rana odwiedził nas Ompikiri. Widocznie jego ludzie obserwowali nas i dawali mu znać co robimy, bo zaledwie zjedliśmy śniadanie, już się zjawił. Zbliżył się do nas z pewnym ceremonjałem. Jego poddani utworzyli coś w rodzaju szpaleru, a on sam szedł na czele świty, złożonej z ośmiu starszych mężczyzn, zaznających największego w plemienu znaczenia i stanowiących pewnego rodzaju arystokrację. Ompikiri, podobnie jak poprzednio Cziunticyki, ubrał się teraz w spodnie i koszulę, co oczywiście miało oznaczać wielki dla naszych osób szacunek. Przywitałem się z nim i podarowałem mu fajkę. Prezent przyjął, ale całkiem niespodzianie począł śmiać się serdecznie. W tej wesołości zawtórowali mu inni Indjanie. Przez długą chwilę nie było na brzegu słyhać nic innego, jak tylko krzykliwe rechotanie.

— Czego się śmiejecie? — zapytałem.

Przez długą chwilę nikt nie odpowiadał, aż wreszcie, widząc moje zniecierpliwienie, odezwał się Asencio:

— Oni się śmieją, bo kuraka nie pali tytoniu, a dostał fajkę.

Teraz i ja zawtórowałem śmiechem, co wprawilo ich w nieopisany wprost zachwył. *Kaameca wirakucze*, *kaameca* — słyshałem naokoło glosy, które miały

oznaczać, że jestem dobrym, pięknym (hm!) człowiekiem białym.

Po dokonaniu szeregu transakcyj, przyczem my dawaliśmy noże, paciorki i maczety, a Indjanie — kury i kuźmy, udałem się do leżącej opodal wioski. Składało się na nią jedenaście dużych, wielorodzinnych chat, oraz kilkadziesiąt małych chatek. Pierwsze były zbudowane w sposób, jaki opisywałem już poprzednio, natomiast drugie różniły się od tamtych zasadniczo; wysokość ich nie przekraczała dwóch metrów, a dach kryty liśćmi palmy yariny wystawał daleko, przykrywając pewnego rodzaju werandę, w jaką każda z nich była zaopatrzona. W przeciwieństwie do chat wielorodzinnych, pozbawionych wszelkich przegród, posiadały ściany z prętów bambusu bądź dzikiej trzciny (*cana brava*), osadzonych „na sztorc“. Na werandach paliły się stale ogniska, przy których królowały kobiety i dzieci. Wchód do chatek był niski, pozwalający na wejście jedynie na czworakach. W chatach wielorodzinnych mieszkały rodziny zamożniejsze, obdarzone większym instynktem społecznym, który pozwalał im urządzić się wygodniej; chatki małe zamieszkiwali biedacy plemienia, proletarjat. O ile w chatach dużych można było dostrzec wiele przedmiotów, mówiących o zamożności ich mieszkańców, o tyle w małych nic prawie, oprócz łuków, strzał i pęków bananów a rzadziej juki i kukurydzy, nie dawało się widzieć. Nawet kuźmy u pierwszych były czyste i całe, a u drugich — podarte i brudne. Wprawdzie, większy lub mniejszy dobrobyt zależy tam wyłącznie od samego siebie, niemniej jednak nierówny podział dóbr doczesnych, wywołujący w świecie cywilizowa-

nym tyle przewrotów i wstrząsów, daje się zauważyć również u tego ludu dzikiego i od wszelkich filozofij dalekiego.

Przy jednej z największych chat widniał obszerny plac — klepisko, który służył szczepowi do tańców i zabaw, a może też i jako miejsce kaźni dla jeńców, schwytyanych w czasie jednej z niezliczonych wojen plemiennych. Kto wie, czy w jego twardo udeptaną glinę nie wsiąkała również krew ludzi białych? Lata niedawno ubiegłe dawały ku temu niemało okazji. Mimowoli szukałem wzrokiem tylekroć opisywanego „pala męczarni“. Nie było tam jednak żadnego pala. Tylko w jednym z rogów rosło samotne drzewo papajowe o smukłym, wybujałym pniu i wdzięcznej koronie rozłożystych gałęzi.

Po wiosce kręciło się kilka setek mieszkańców, z których znakomita większość zebrała się na placu i z tego stanowiska obserwowała nasze osoby. Kobiety zasiadły na ziemi i w milczeniu, drapiąc po głowach swe dzieci, wlepiały w nas ciemne, duże i naiwne oczy.

Tuż koło wioski wpada do Tambo rzeka Cheni. W czasie pory suchej mierzy ona przy ujściu około dwudziestu metrów i jest niespławna nawet dla łodzi zwykłych, natomiast w porze deszczowej koryto swe poszerza i pogłębia znacznie, służąc za drogę, którą Indianie przebywają na swych łodziach, drażnionych ogniem w pniach mahoniu i innych cennych drzew. Ma być wówczas spławna na przestrzeni kilku dni drogi wgórę wód.

Las dziewiczy, który pokrywa całe niemal dorzecze Amazonki, otaczał również stolicę kuraki Ompikirego. Wyrastał naokoło zwartą, ciemną

ścianą, i tylko od strony rzeki widniała większa przestrzeń wolna, pozwalająca oku wybiegać nieco dalej. Od strony zachodniej, od górnego biegu Tambo, widniały potężne masywy bezimiennych gór, które od tego miejsca widniały już po obu brzegach rzeki. Góry, lasy, wielka rzeka, dzicy pierwotni ludzie, a nad tem wszystkim gorące słońce stwarzało całość harmonijną i niezwykle piękną. Jakby na znak zgody i chęci pojednania odwiecznych wrogów: człowieka i przyrody, rozlegały się naokoło niezliczone, wdzięczne głosy ptaków i tysięcy owadów.

Jak zgrzyt w tej atmosferze pokoju dotknął mnie widok umierającego chłopca indyjskiego, wyciągniętego na ziemi przed jedną z chat. Straszliwa choroba beri-beri pozbawiła go sił, a teraz wydzieriała mu resztki życia. W moich niemal oczach skończyła nie-szczęсна ofiara zarazy. Stałem się wówczas świadkiem ponurej żałoby rodziny zmarłego. Jakiś stary Indjanin, zapewne ojciec, zdjął z siebie kuźmę i przywdziawszy plugawe łachy, usiadł przy trupie i jął rozwódzić żale. Jego surowa, kamienna twarz nie zdradzała jednak niczem bólu, tylko usta wydawały żalosne tony, kierowane jakgdyby w próżnię. Nie rozumiałem jego słów, nie wiem, jak skarżył się na zły los stary Indjanin z nad Cheni, wiem tylko, że żale te musiały być straszne, żale, w których nie brakło miejsca na bluźnierstwo...

Śmierć chłopca nie poruszyła w wiosce nikogo, oprócz ojca. Mijano ciało bez słowa zdziwienia, żalu, czy też jakiegokolwiek uczucia. Podobnie my mijamy zarżniętą kurę, czy wywieszzonego w drzwiach sklepu zająca. Śmierć młodego człowieka nie jest w tamtych

stronach rzadkością, a już w żadnym wypadku nie jest przedmiotem litości. Stary ojciec, opłakując śmierć syna, myślał może o nieuchronnie zbliżającej się chwili zniedołężnienia. Kto go wówczas obroni przed wyrokiem zagłady? Plemieniu zawadza nieruchawy staruch-darmozjad, nie umiejący już zdobyć sobie pożywienia. Dopóki szczerp nie opuszcza wioski, dopóty stary może jeszcze dać sobie radę, ale gdy nadchodzi czas wędrówek, wielkich łowów, wówczas staje się prawdziwym ciężarem. Opóźnia pochody, kradnie jadło, zdobyte przez innych, i wnosi do zgodnej gromady niesnaski. Niech więc ginie. I zabijają. Płaczą nad nim i żałują, ale zabijają. Z litości i starodawnego zwyczaju. Takie prawo. Czasem syn dobry uprosi ojcu życie, czasem obroni go pięścią, najczęściej jednak nie protestuje, gdyż czuje, że nie wykarmi żony, dzieci i ojca. Niech więc ginie ten, który nażył się długo i który od życia niczego więcej ponad śmierć, nie spodziewa się.

Zawsze było dla mnie zagadką, co robią Indianie przez cały dzień, o ile nie polują i nie łowią ryb. Już podczas poprzednich podróży, a w szczególności podczas pobytu u kacyka Zlamy Ingarkoka w paragwajskim Gran Chaco, miałem możność odstonięcia rąbka intrygującej mnie tajemnicy, a teraz, podczas pobytu nad Tambo, przejrzałem ją do reszty. Nie okazała się nazbyt zajmująca. Większość dni, swobodnych od pracy, spędzają Indianie na opowiadaniu niezliczonych przygód myśliwskich oraz bajek, na snuciu jak najfantastyczniejszych pomysłów, zmierzających do zdobycia jedzenia, na rozpamiętywaniu dobroci konsumowanego na jakiejś uczcie mięsa i na... plotkowa-

niu. Nie mało czasu poświęcają też leniwemu wylegiwaniu się, któremu oddają się ze szczególnem zamiłowaniem po obfitym posiłku. Jednak tych próżniaczych dni, spędzanych na gadaniu, nie mają w swoim życiu wiele. Życie w dżungli nie jest sielanką. Dużo trzeba się napracować, aby wydrzeć surowym, Nielitościwym lasom pożywienie dla siebie i dla swoich bliskich. Ileż to razy musi Indjanin wdierać się w dalekie, splecione lianami ostępy, ile nadrzeć sobie o kolce skóry i namęczyć się, zanim upoluje jakąś sarnę, dziką świnię, lub choćby tylko głupiego pancernika. A przecież żołądek ludzi ma tę niewygodną właściwość, że wymaga codziennego napełniania. Samo polowanie, tak zresztą jak i rybołówstwo, wymaga stałego odnawiania zapasu strzał i łuków, których wyrób jest niełatwy i żmudny. A więc w rezultacie na zajęcia mężczyzny dorosłego składa się: polowanie, rybołówstwo, wyrób i odnawianie zapasów broni, wyrób niektórych narzędzi domowego użytku i stroju, wyrób łodzi i szintip, budowa i utrzymanie w należytym stanie chat, oraz wyrąb lasu pod małe pólka, których uprawą zajmują się później kobiety.

Jakkolwiek liczba rodzajów prac mężczyzny jest duża, to jednak w porównaniu z tem, czem musi zajmować się kobieta, jest ona poprostu niczem. Mężczyzna pracuje dorywczo i wielokrotnie przez szereg dni nic nie robi, natomiast kobieta nie zna, co to odpoczynek, czy też święto. Rolnictwo, przyrządzanie strawy, przyrządzanie nici i tkanie kuźm, wyrób glinianych garnków, wyrób chicha'y czyli wódki, „fabrykacja“ grzebieni, ozdób z piór i paciorków, koron, worków bawełnianych, no i nadewszystko — wycho-

wanie dzieci — oto krótki spis tego, co Indjanka z nad Cheni uważa za swoją dziedzinę pracy. Kobieta indyjska pracuje od świtu do zmroku. Dlatego może niema tam zwykłych babskich swarów, pospolitych choćby u nas. Ciężkie jest jej życie i nie okraszone niczem. Nawet wyłącznej miłości swego męża nie ma zagwarantowanej, bo wielożeństwo jest tam zjawiskiem pospolitem. A jednak jest wierną, pracowitą żoną, która nie ma nic więcej innego „w głowie“, jak tylko wypełnianie swych obowiązków, narzuconych przez wieki trwającą tradycję. Kampowie z nad Cheni i średniego biegu Tambo są jednym z tych nielicznych plemion w Ameryce, które w całości zachowało swoje prastare obyczaje i zwyczaje. Napróżno szukać wśród nich jakichś śladów kilkuwiekowego panowania Hiszpanów. Oddalenie od osiedli ludzi białych i zupełna wskutek tego nieznanomość języka zaborców ustrzegła te dzielne szczepy od wpływu asymilacyjnego i zachowała je w pierwotnej świeżości. Zapewne niedługo wybije godzina, po której takich narodów indyjskich już więcej na globie nie będzie. Ustąpią miejsca silniejszym, wytrwalszym i mądrzejszym. Okrutna to prawda, ale, niestety, nic odwrócić jej nie jest w stanie.

Rozdział XXXIX.

Przygody nad rzeką Anapati.

Z Ompikirim rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni. Poczciwy kacyk zapewniał mnie, że jest moim najlepszym i najprawdziwszym *noszaninga* (przyjacielem)

i że nie już tego nie zmieni. Co do mnie, to na afekt odpowiedziałem szczerym afektem, a poza tem wbijałem mu w głowę, że każdy *Polaco* jest człowiekiem dobrym i wielkim przyjacielem synów słońca. Myślę, że Indjanin uwierzył w to święcie, boć przecie dostał mnóstwo podarków, usłyszał życzliwe słowa, a ponadto ci dziwni *wirakucze-Polacos* nie zabrali mu ani jednego dziecka.

Opuszcziliśmy wreszcie stolicę jednego z kurakjatów kampaskich i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Począwszy od ujścia Cheni, prawy brzeg Tambo pokrywają wysokie wzgórza, które w połączeniu z górami lewego brzegu, towarzyszącemi rzece niemal od Atalaya'i, tworzą głęboką dolinę, nadając Tambu charakter do pewnego stopnia rzeki górskiej.

Nie upłynęła jeszcze godzina od rozpoczęcia drogi, gdy dostrzeżliśmy przed sobą kilka dużych łodzi, a w nich około dwudziestu Indjan. Na widok naszej flagi polskiej, dumnie powiewającej na bambusowej tyce, skierowali swoje stateczki momentalnie ku brzegowi, zdradzając niedwuznaczną chęć ucieczki. Widocznie jednak ciekawość przemogła w nich strach, gdyż pozostali na brzegu i nieruchomemi oczami wpatrywali się w *Mantaro* i nasze egzotyczne dla nich postacie. Ponieważ mieli na sobie bardzo eleganckie pasiaste kuźmy i byli dość obficie przystrojeni piórami, uznaliśmy ich za nader fotogenicznych, ergo, postanowiliśmy ich odfotografować. Kilka słów kampaskich, rzuconych z łodzi przez Asencio Suareza, uspokoiło widocznie ich obawy, gdyż zbliżyli się i poczęli przyglądać się nam zbliska. Wybrałem jednego, zaopatrzonego w gębę tak oryginalną, że aż prosiła

się o obiektyw i „zdjąłem go“ kilkakrotnie. Różne nasze przygotowania, niezbędne przy fotografowaniu, wywoływały u Indjan wybuchy niepohamowanej wesołości. Zapewne te głosy przywabily z sąsiedniej wioski kilkudziesięciu Kampów z żonami i dziećmi.

Nie chcąc tracić czasu napróżno, postanowiliśmy przerwać amory z dzikimi i ruszyć dalej.

Wkrótce potem natknęliśmy się na bardzo trudną do przebycia bystrzynę. Podobnie jak podczas przebywania *malpasa* w pobliżu ujścia rzeki Mayapo, tak również i teraz sytuacja była groźna i nie wiem, jakby się nam udało ją przełamać, gdyby nie pomoc ze strony dwóch Indjan i jednej Indjanki, jadących w niewielkiej łodzi mahoniowej tuż za nami. Byli to, jak się dowiedziałem później, ludzie Ompikirego, jadący w odwiedziny do krewnych nad rzekę Anapati. Pierwszy z nich, Piszijo, posiadał żonę o twarzy starożytnej Egipcjanki; drugi, bęcwał indyjski, imieniem Korisy, żony nie miał, ale „zato“ twarz miał taką, o jakiej w Polsce mówi się, że jest „fasowana“. Jechali w lekkiej łodzi, którą, śpiesząc nam na pomoc, uwiązali u brzegu przed bystrzyną. Zrzuciwszy kuźmy udali się do nas, pozostawiając kobietę przy łodzi.

Przy pomocy dwóch par nowych ramion przebyliśmy bystrzynę szczęśliwie i szybko.

Ponieważ indyjska trójka udawała się w tę samą stronę, co i my, więc jechaliśmy razem. Podziwiałem wówczas ich kobietę, która, nawet będąc w towarzystwie dwóch mężczyzn, nie siedziała z założonemi rękami, lecz sterowała łodzią przy pomocy krótkiego, płaskiego jak łopata wiosła.

Na obiad zatrzymaliśmy się na kamienistej plaży, w miejscu zupełnie bezludnem. Nasz zwykły posiłek stanowił ryż i gotowana kura. Również i teraz zabraliśmy się do spożywania tych wykwintnych potraw, nie zapominając oczywiście o Korisym i Pisziju z żoną. Indjanie, otrzymawszy miskę ze strawą, posilali się najpierw sami, podczas gdy kobieta siedziała grzecznie z boku i tylko uważnie wpatrywała się w miarowo poruszające się szczęki swego męża. Jednak Piszijo musiał bardzo kochać młodą małżonkę, gdyż od czasu do czasu wyszukiwał w ryżu jakiś kawałek mięsa i podawał jej przez ramię, nie patrząc nawet na nią. Kobieta przyjmowała te oznaki miłości z zachwytem i rzucane jej kąski kładła do ust z czcią, godną łaski, jaka ją ze strony męża spotykała. Zapytałem ją o imię. Nie miała żadnego. Nazywają ją prosto *cynaany* (kobietą) Piszija. Czy chce mieć imię? Sama nie wie. Gdyby jej ktoś dał imię, to przyjmie. Przyszło mi na myśl, aby pozostawić po sobie pamiątkę nad Tambo.

— Słuchaj — rzekłem do Piszija — twoja *cynaany* będzie odtąd nosiła imię Ida. Rozumiesz?

Indjanin sprawę przyjął bardzo poważnie. Kiwnął głową i coś długo tłumaczył swojej „pani“. Pani także kiwała głową, ale, ani rusz, nie potrafiła swego nowego imienia powtórzyć. Nauczyła się wreszcie i potem od czasu do czasu powtarzała, aby nie zapomnieć. Zapewne nosi je dotychczas i wywołuje niem zadrość wśród swoich przyjaciółek.

Podczas dalszej drogi z Cheni, mijaliśmy kilkakrotnie chaty indyjskie. Nie wstępowaliśmy jednak do nich, gdyż chcieliśmy tego samego jeszcze dnia dotrzeć do ujścia Anapati. W pewnem miejscu zauwa-

żyliśmy zbliżające się ku nam łodzie zgóry rzeki. Znajdujący się w nich Indjanie przerazili się, oczywiście, naszym widokiem i przybili do brzegu, aby w razie potrzeby móc prędzej schronić się pod osłonę najlepszej i najpewniejszej fortecy — dzungli. Nie umknęli jednak odrazu, lecz siedli rzędem na piętach i zastygli w kamiennym spokoju, Wydawali mi się szeregiem dziwaczych posągów, dziwacznie udrapowanych w pasiaste, bawełniane togi. Patrzyli na nas tak, jak człowiek patrzy na szybę. Ich wzrok mijał nas, jakgdybyśmy byli przezroczyści. Tylko po bystrych spojrzeniach, wymykających się od czasu do czasu z oczu jak promienie, i po uważnem dzierzeniu w rękach łuków można było domyślić się, że osoby nasze są dla nich nienawistne i wrogie. Nie wątpię, że jeden nasz nieostrożny ruch lub głos mógłby spowodować pęknięcie tego kamiennego spokoju i wyzwolenie ukrytych starannie w piersiach — wojennych okrzyków. Naprężoną ciszę i wyczekiwanie przerwał głos Piszija. Zagdał coś do nich, z czego zrozumiałem tylko jedno słowo: *ani* (przyjaciele). Efekt tych słów był nadzwyczajny. Posępni i groźni wojownicy przeistoczyli się momentalnie w gromadę wesołych i miłych chłopaków, którzy cieszą się i radują, sami nie wiedząc czemu. Biegli wzdłuż rzeki, pohukiwali, śmiali się i w rozmaity sposób wyrażali swoją ku nam sympatję. Gdyśmy przybili na chwilę do brzegu, jeden z nich wsiadł bezceremonjalnie do naszej łodzi i kazał przewieźć się na drugą stronę. Przewieźliśmy pocziwca.

Zdumiewam się poprostu, jak łatwo zjednać sobie Indjan i uczynić z nich przyjaciół. Wystarczy ludzkie traktowanie i nieco bezinteresowności, aby uzyskać

wśród nich prawdziwych przyjaciół, o jakich w krajach cywilizowanych słuch już dawno zaginął. Ale i nienawiść znaleźć u nich nietrudno. Najkrótsza do niej droga, to pogarda, okazywana im tak skwapliwie przez *civilizados*.¹

Jeszcze za dnia dojechaliśmy do ujścia Anapati, gdzie postanowiliśmy spędzić noc. Rzeka ta stanowi jeden z prawobrzeżnych dopływów Tambo, a jednocześnie południową granicę polskich koncesyj. Ujście jej jest zasypane otoczkami i podzielone na kilka ramion, które w okresie pory deszczowej łączą się w jedno wielkie koryto. Najszersze z tych ramion posiada około 20 metrów szerokości. W głębi łądu widnieje potężny przełom, wyżłobiony przez wody w widniejącym w pobliżu paśmie górskim. To imponujące przejście, rezultat tysiącletniej pracy, pomniejsza najbardziej monumentalne pomniki, wykonane przez człowieka. Przekop Panamski, którym ludzkość tak się szczyci, jest niczem wobec tej olbrzymiej pracy, dokonanej przez nieznaną, niewielką rzekę, zagubioną gdzieś tam w niezmiernych selwach amazońskich. Brzegów Anapati, tak jak i wszystkich innych dopływów rzeki Tambo, biali nie zamieszkują i nigdy nie zamieszkiwali. Mają tam znajdować się jedynie wioski Kampów. Przy ujściu leży spore osiedle indyjskie, liczące około półtorej setki mieszkańców. Mieszka tam kuraka Sebastian, władca równie znaczny, jak Ompikiri. Trzej najwięksi z kuraków Tamba: Tasulinczi, Ompikiri i Sebastian żyją w wielkiej z sobą przyjaźni, nienawidząc wspólnie Cziunticyka, prawdopodobnie

¹ Ludzie cywilizowani, chcący uchodzić za białych.

za jego uległość w stosunku do Pancho Vargasa. Gdyby nie obawa przed potężnym patronem, zamordowaliby go z wszelką pewnością.

Podobnie jak w innych wioskach, również i w Anapati otoczył nas tłum dzikusów, nie umiejących słowa po hiszpańsku. Bawiliśmy się z nimi, pokazując latarkę elektryczną, oraz przykładając do uszu zegarki, których chód wywoływał u nich salwy śmiechu. Nawiasem mówiąc, wypytywali się skwapliwie, czy zegarki jedzą. Bardzo ich to interesowało i dziwili się niezmiernie, gdy oświadczyłem, że zegarek „nie je, nie pije, a chodzi i bije“.

Następnego dnia, rankiem, podzieliliśmy się na dwie partje: Zarychta z Freydem udali się wgórę rzeki Anapati pieszo, a ja pojechałem na *Mantaro* w kierunku sąsiedniej wyspy, na której stała chata kuraki Sebastiana. Tam miałem poczekać na kolegów.

Przy ujściu Anapati znajduje się trudna do przebycia bystrzyna, którą jednak jakoś przebyłem i po godzinnej drodze dotarłem do miejsca, gdzie powinien mieszkać kuraka. Niestety, wioskę zastałem pustą. Jej mieszkańcy udali się prawdopodobnie na polowanie, lub może na jakieś wesele, lub zabawę. Dość, że chaty stały puste, a koło nich nie kręcił się nawet pies z kulawą nogą. Widząc, że niema sensu czekać w takich warunkach przez długie godziny, postanowiłem, po naradzie z wioślarzami, udać się dalej wgórę rzeki, gdzie miała znajdować się inna jeszcze wioska indyjska. Ażeby ustrzec kolegów od obrania drogi innem ramieniem rzeki, zatknąłem na brzegu sztandar polski, a poza tem dałem przejeżdżającemu Indjaninowi kartkę do wirakuczów nad Anapati.

Około południa dotarłem do ujścia strumienia Ubiri, w pobliżu którego znalazłem wioskę, złożoną z pięciu dużych chat. Wszyscy mieszkańcy, co do jednego, uciekli do lasu. Pałace się ogniska i warząca się przy nich strawa, wskazywały, że ucieczka odbyła się w wielkim popłochu.

W wiosce Ubiri postanowiłem poczekać na kolegów.

Tymczasem Zarychta z dr. Freydem nie poszli razem, lecz podzielili się. Pierwszy udał się wgórę Anapati, w towarzystwie miejscowych Indjan, drugi zaś skierował się do wioski, gdzie zajął się badaniem. Po pewnym czasie dr. Freyd zabrał wskutek jakiegoś nieporozumienia łódź Piszija, którą miał razem z Zarychtą udać się w moje ślady i, orjentując się zatknętym przeze mnie sztandarem, dotarł do Ubiri. W międzyczasie Zarychta, po odbyciu bardzo ciężkiej drogi wyschłem częściowo korytem Anapati i po zrobieniu pomiarów, powrócił nad Tambo i nie zastał już żadnego środka lokomocji, któryby pozwolił mu podążyć za mną. Opowiadał mi później, że był w sytuacji dość niemiłej, gdyż otaczał go tłum dzikusów, którzy każde jego zapytanie powtarzali z dokładnością maszyny, ale od których, niestety, nic dowiedzieć się o losach dr. Freyda nie mógł. W rezultacie zrozumiał, że jest sam i zaczął rozglądać się za jakąś łodzią. Na szczęście, nadjechała właśnie wielka *canoa*, napełniona bananami, którą kazał opróżnić i zarekwirował. Wyobrażam sobie jego zdumienie, gdy w pewnej chwili dostrzegł na brzegu wyłaniającego się z krzaków dzikusa, dzierżącego w rękę... polski sztandar. W pierwszej chwili zdawało mu się, że Indjanie zamordowali mnie, a sztandar zabrali jako

trofeum. Ale pokojowy uśmiech i przyjazne gesty Indjanina wyprowadziły go rychło z błędu. Był to ten człowiek, któremu dałem kartkę do oddania wirakuczom. Nie wiem dlaczego wyciągnął sztandar i chodził sobie z nim po brzegu. Może poprostu dlatego, że podobał mu się czerwony kolor materji. Sztandar wręczył lojalnie Zarychcie, wygłaszając doń długą przemowę, z czego, oczywiście, mój kolega niewiele zrozumiał. Kartkę jednak oddać zapomniał. Przypomniała mu się dopiero grubo później, a mianowicie wówczas, gdy Zarychta dojeżdżał już do Ubiri.

W Ubiri pożegnaliśmy się z Korisym i Piszijem, którzy wrócili do Anapati, a sami pojechaliśmy jeszcze tego samego dnia dalej. Późnym wieczorem przybyliśmy do pewnej bezimiennej wysepki, na której koczowały dwie rodziny Kampów, przybyłych w to samotne ustronie na polowanie na paukary (dzięcioły). Przy ich szałasach spędziliśmy noc.

Rozdział XL.

Papuzie chaty.

Po opuszczeniu wioski Ubiri, coraz rzadziej spotykaliśmy chaty indyjskie. Brzegi Tambo są tam znacznie słabiej zaludnione, aniżeli między rzeką Kushireni, gdzie mieszka Cziunticyki, i Anapati. Nie są jednak jeszcze tak bezludne, jak pas między Shirintiari i Kushireni, oraz w górnym biegu, między Nassarobeni i zlewem rzeki Ene z Perené. Istnienie tych dwóch pasów bezludnych tłumaczę sobie, jako sztuczne odgraniczanie się Indjan wolnych od białych. Pas do

Kushireni strzeże ich przed Pancho Vargasem, zaś pas między Nassarobeni i Ene — przed białymi z Puerto Ocopa. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyż podobne pasy neutralne znały, i częściowo dotychczas znają dzikie plemiona indyjskie z Ziemi Ognistej. Wspomina o nich Darwin w swojej *Podróży naturalisty*. Niezależnie od tego, wskutek jakich okoliczności pasy takie powstały, wsie trafiały się coraz rzadziej, natomiast ruch na rzece ożywił się coraz więcej. Dość często spotykaliśmy małe szintipy z rodzinami indyjskimi, udającymi się do wiosek nad Cheni, Puyeni i Anapati. Byli to przeważnie mieszkańcy Gran Pajonalu, przybywający nad Tambo ścieżką lądową, której wylot znajduje się w pobliskiej miejscowości, Nassarobeni.

Po wyminięciu ujścia rzeki Majireni (prawy dopływ) i Unkunini (prawy dopływ), dotarliśmy do dziwacznych skał, ciągnących się na przestrzeni wielu kilometrów wzdłuż prawego brzegu Tambo. W odległości około 30 metrów od wody wznosi się tam prostopadła, jednolita ściana kamienna, wysoka na jakieś sto metrów. Swoją regularnością przypomina ona potężny mur, stworzony ręką ludzką, czy też dziwaczną regulację brzegów. Wąski pas ziemi, dzielący ją od rzeki, porasta roślinność, właściwa terenom zalewnym. W czasie wielkich przyborów, pas ten znika i wówczas ściana skalista wyziera z samych wód. To naturalne obmurowanie nazwali Kampowie *Mieanto Pangocy*, czyli *Papuzie Chaty*. Nazwa to słuszna, gdyż w szczelinach niedostępnych skał znajdują schronienie niezliczone stada kolorowych papug. Nigdzie na świecie nie widziałem takiego wielkiego zgrupowania wiel-

kich guacamayo'i, mniejszych lor i zupełnie małych papug-karzelków, jak w Mieanto Pangocy. Nawprost tych skał zatrzymaliśmy się na nocleg.

Do późnego wieczora darty się nad naszym obozowiskiem nieprzeliczone rody papuzie, dziwujące się zapewne niezwykłym gościom.

Następnego ranka dostrzegłem w odległości paruset metrów wydre, baraszkuje na piasku. Chciałem ją podejść bliżej, i zabić. Próżny jednak był mój wysiłek. Chytra wydra rychło zwąchała pismo nosem i drapnęła do wody tak nagle, że zaledwie udało mi się to spostrzec.

O kilka kilometrów od Mieanto Pangocy wpada do Tambo niewielka rzeka, Nassarobeni. Przy jej ujściu znajduje się wylot wspomnianej ścieżki, wiodącej z Gran Pajonalu. Jest to ścieżka, wydeptana i uczęszczana wyłącznie przez Indjan. Używają jej Kampowie, przybywający w pewnych okresach roku nad Tambo po ryby, a także udający się w odwiedziny do swoich rodaków z kurakjatu Ompikirego i Sebastiana. Również szczepy kampaskie, mieszkające nad górnem Ucayali, a mające pewne porachunki z Pancho Vargasem, przedostają się nad Tambo wodami Unini i ścieżką. Niewielu ludzi białych, a może nawet nikt, nie wie o niej dotychczas. Indjanie wspominają o jej istnieniu niechętnie. Prowadzi ona początkowo wzdłuż rzeki Nassarobeni, poczem oddala się od niej, przecinając lasy i stopy, aby w pobliżu ujścia strumienia Chipiani dotrzeć do Unini, skąd, w porze sprzyjającej, można zjechać łodzią do Ucayali w przeciągu niespełna jednego dnia. W maju, to znaczy w miesiącu, w którym przebywałem nad Nassarobeni, rzeka Unini

nie jest spławna. Wędrowcy indyjscy, pragnący prze- dostać się w owym czasie do wybrzeży Ucayali, mu- szą udawać się tam wąską ścieżynką, prowadzącą wzdłuż koryta Unini.

U wylotu drogi, a opodal ujścia Nassarobeni, stoi duża chata, wybudowana przez Indjan na rozkaz Tasu- linczego. Stanowi ona rodzaj bezpłatnego hotelu, w któ- rym każdy podróżny może dowoli wypaść się przed dal- szą drogą. Hotel cieszy się widocznie niezłą frekwencją, gdyż w chwili przybycia zastaliśmy tam około dwudzie- stu osób rozmaitej płci i wieku. Wiele z nich przeby- wało tu już dłuższy czas, o czym świadczyły porozkła- dane przybory do tkania i świeżo sporządzone na rzece kamienne zagrody, potrzebne do łapania ryb.

Po kilkukilometrowej wycieczce ścieżką indyjską w głąb lasu, powróciliśmy na brzeg, do „hotelu“. Na- byliśmy tam za noże, igły i paciorki kilka kuźm do swoich zbiorów. Indjanie przynieśli te kuźmy, jak również różne woreczki i ozdoby, na sprzedaż ludziom nadbrzeżnym. Wskazywałoby to, że u Kampów istnieją już pewne zarodki handlu. Nabyłem tam też u Indjanki, noszącej, licho wie przez kogo nadane, imię Cala- mina, co oznacza *blacha*, kompletny warsztat tkacki z rozpoczętą na nim pracą. Dzisiaj zdobi on mój ga- binet. Co robi i gdzie obecnie przebywa Calamina nie wiem, ale patrząc na niedokończone płótno, przypo- minam ją sobie często.

W Nassarobeni ujrzeliśmy po raz pierwszy od opu- szczenia Shirintiari — ludzi białych. W niewielkiej łodzi jechało wdół rzeki trzech mężczyzn. Wołaliśmy, aby się zatrzymali, lecz odkrzyknęli tylko, że jadą do Iquitos, i popłynęli dalej. Później dowiedziałem się, że było to

trzech bardzo podejrzanych Czechów, którzy do ludzi cywilizowanych odnosili się z wyraźną niechęcią. Co przypędziło ich w te strony, trudno zgadnąć. Komisarz z Puerto Ocopa twierdził, że musieli kogoś zabić i do Montanji udawali się, jak do bezpiecznego azylu. Mniejsza o nich!

Nad wieczorem dotarliśmy do ujścia strumienia Quari, gdzie znaleźliśmy dwa szałas, a w nich dwie rodziny indyjskie. Rodziny te narzekały na misjonarzy amerykańskich, o których pisałem poprzednio, gdyż oszukali ich. Pewien stary Indjanin, z twarzą pomalowaną do połowy na czarno, z długimi włosami, przypominający czerwonoskórego Robinsona, musiał być bardzo rozgoryczony, gdyż opowiadając o tem, jak uprowadzono mu syna, aby służył za wioślarza, wymachiwał rękami i mówił podniesionym głosem, co u Kampów zdarza się niestęchanie rzadko.

— Stahl zły — mówił skrótami — małpa, krokodyl, kłamca. Mówił: nad Ucayali niema już białych; mówił: ja jestem Bóg; mówił: kto przeciw mnie, ten przeciw Bogu. Kury wziął, syna wziął.

— Syn wróci — pocieszałem go.

Indjanin kręcił powątpiewająco głową.

— Wirakucze zanadto zły. Syna nie puści, a kury zjadł.

Rozdział XLI.

Znaki tajemnicze i wirakucze.

— *Capitan* — zapytał mnie Asencio Suarez — widzisz te czarne *piedras* (kamienie)?

Spojrzałem we wskazanym kierunku. W odległości kilkuset metrów dostrzegłem kilkanaście czarnych skał,

rzuconych przez naturę w koryto rzeki. Niektóre z nich były wielkości sporej wiejskiej chaty, inne mniejsze, a jeszcze inne zaledwie wyzierały ponad wody Tambo.

— Widzę — rzekłem.

Indjanin odłożył na chwilę tangangę.

— To są *marcas* (znaki) — objaśnił mnie.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Jakie *marcas*? — spytałem.

Indjanin rozłożył bezradnie ręce.

— *No se*, nie wiem.

Wiedziałem z doświadczenia, jak trudno wydobyć z Indjanina objaśnienie wiadomości oderwanej, nie dotyczącej ani polowania, ani rybołówstwa, to też nie zadawałem mu zbędnych pytań, tylko kazałem podjechać do kamieni.

Na dwóch potężnych głazach dostrzegłem mnóstwo hieroglifów, wykutych pracowicie jakimś ostrem narzędziem, które pozostawiło szereg drobnych nakłuc.

— Kto to zrobił? — zapytałem wioślarzy.

— Nie wiemy.

— Może wirakucze?

— Nie, nie — zaprzeczyli zgodnie.

Jedno tylko udało mi się z nich wydobyć: miały to być znaki „starych, dawnych ludzi“. Przedstawiały one różne najfantastyczniejsze arabeski, kółka, linie krzywe etc. Nie było tam natomiast zupełnie pierwiastka odtwórczego. Nie było wizerunków ptaków, zwierząt i ludzi. Co oznaczały, tego nikt zapewne nie wie. Można puścić wodze fantazji i wysnuć domysł, że stanowiły słupy graniczne, które ongiś kazali sporządzić potężni inkowie z Cusco. Nie byłoby to zbyt dziwne, gdyż właśnie do rzeki Tambo sięgały dzierżawy i wpływy

państwa, rządzonego przez potomków Manco Capaca. Kampowie, z ich wiarą w słońce i odrobiną cywilizacji pochodzenia keczuańskiego, są najlepszym tego dowodem. Zresztą, może znaki na skałach oznaczają coś zupełnie innego, albo... wogóle nic nie oznaczają.

Tajemnicze hieroglify na skałach udało mi się widzieć również w Paragwaju, w departamencie Villa Rica, o których też nikt nic nie wie.¹

O dwie godziny drogi od skał ze znakami, na prawym brzegu, znajdują się u podnóża pobliskiego wzgórza słone źródła. Według słów wioślarzy, można używać z nich wody do gotowania potraw.

Rzeka Tambo w górnym biegu jest jeszcze piękniejsza, aniżeli w dolnym. W okolicach Atalaya'i i Shirintiari jest nazbyt szeroka, aby móc cieszyć oczy widokiem obu brzegów, tutaj natomiast, w pobliżu rzeki Nassarobeni i Quari, nie mierzy więcej aniżeli 150 *m* szerokości, a więc jest cała dostępna niedoskonałemu zmysłowi wzroku. Wysokie malownicze wzgórza obramiają ją szczelnie, a liczne plaże pozwalają unikać przykrego uczucia całkowitego zamknięcia, jakie stwarza dżungla, wdzierająca się do samych wód.

— *Capitan* — przerwał mi w pewnej chwili rozmyślania głos Manczinerego — ludzie!

— Gdzie?

Indjanin wskazał odległy punkt, który po kilku minutach przemienił się w wielką łódź, napełnioną ludźmi. Po chwili odezwał się znowu.

— To *comisario* z Puerto Ocopa.

¹ Pisałem o nich w książce p. t. „W selwasach Paragwaju“.

Rzeczywiście, był to komisarz policji, który udał się nad Cheni, aby *pomówić* z Tasulinczim w sprawie plotek o zamiarach zburzenia miasteczka i misji katolickiej w Puerto Ocopa, jakie krążyły pomiędzy szczepami indyjskimi.

— Podobno — mówił komisarz Samuel Figueroa — Stahl namówił Indjan, aby zgrupowali się nad Tambo i wspólnymi siłami zniszczyli naszą miejscowość.

— O ile mnie wiadomo — rzekłem — rzecz ma się nieco inaczej. Nie w celu napaści na misję katolicką kazał im się zebrać, lecz w celu założenia osiedla, przy którym chce stworzyć misję ewangelicką.

Komisarza słowa te zaskoczyły.

— Czy pan w to wierzy? — zapytał.

— Naturalnie. Indjanie byli dla nas dobrze usposobieni, zwłaszcza Tasulinczi.

— Cooo? Tasulinczi.

— Tak.

— To panowie widzieli go?

— Widzieliśmy i rozmawialiśmy z nim tak, jak teraz z panem.

— Niemożliwe...

W tem miejscu Samuel Figueroa przerwał zażenowany, spojrzawszy na nas niepewnym wzrokiem. Przypomniał sobie zapewne, że zaprzeczać tak kategorycznie trzem dobrze uzbrojonym ludziom, to rzecz w Montanji co najmniej nierozważna.

Popatrzyłem na niego surowo i z naciskiem odrzekłem.

— Możliwe, komisarzu, możliwe.

Figueroa nie wątpił już ani na chwilę i tylko poprawiał na głowie chustkę zawiązaną ztytu, mrużąc

coś o niebezpieczeństwie, na jakie byliśmy narażeni.

O polskiej ekspedycji komisarz wiedział już z gazet limańskich, które przed kilku miesiącami pomieszczały obszerne artykuły o naszym przyjeździe, marszrucie, zadaniach etc. Znał nas nawet z imion i nazwisk. Był to drab wysoki, ubrany i ustrojony podobnie, jak meksykańscy bandyci w amerykańskich filmach. Towarzyszył mu kampaski kuraka, Caetano z Piotoa, który zażywa wielkiej sławy i poważania wśród Indjan, a także u ich wodzów: Tasulinczego i Ompikirego. O Caetanie dowiedziałem się później, że zamordował jedną ze swoich żon za wiarołomstwo. W wyprawie na Cheni miał on służyć Samuelowi Figueroa, jako pośrednik i poręczyciel bezpieczeństwa. Na wszelki wypadek, aby być jeszcze bardziej zabezpieczonym, wziął komisarz z sobą dziesięciu uzbrojonych w karabiny czerwonoskórych drabów, którzy z niebezpiecznej podróży czynili niewinną zupełnie igraszkę.

Z komisarzem rozmawialiśmy krótko. My poinformowaliśmy go o tem, co dzieje się nad średnim biegiem Tambo, on ostrzegł nas, abyśmy zbliżając się do Puerto Ocopa, nie zaniechali zadęcia w róg dwukrotnie, co stanowi umówiony znak, mówiący o zbliżaniu się przyjaciela.

— Niech panowie o tem nie zapomną w szczególności wówczas, gdybyście mieli dojeżdżać podczas nocy. Bez tego sygnału mogłyby was powitać strzały całkiem niespodziewanie. Mieszkańcy w Puerto Ocopa są zdenerwowani i z lada powodu mogliby rozpocząć strzelaninę. Tam wszyscy są pewni, że *infielos* napadną na nich lada dzień.

Noc spędzona po rozstaniu się z Figueroa była jedną z najdziwniejszych, jakie podczas podróży spędziliśmy. Wypadła nam przy samym zlewie Ene z Perené. Panują tam stałe wiatry, które przynoszą chmury lotnego piasku z brzegów i zasypują nim na swej drodze wszystko i wszystkich. Jeszcze długie dni później nie mogliśmy się pozbyć ze swojego ubrania, rzeczy i włosów mnóstwa lotnego, ostrego pyłu.

Puerto Ocopa leży w odległości 15 *km* od ujścia Ene. Jest ono położone nad rzeką Pangoa, tuż przy jej ujściu do Perené. Przestrzeń tę przebywa się z trudem, gdyż Perené posiada prąd jeszcze bystrzejszy, aniżeli Tambo. Dopiero około godziny trzeciej po południu mogłem wydać rozkaz Jokiryłajowi, znakomitemu grajkowi, aby zadął w róg długi, centkowany, kręty.

Rozdział XLII.

Głos wołającego na puszczy.

Puerto Ocopa założył w roku 1923, na rozkaz biskupa Irazoli z Santa Rosa de Ocopa, ks. misjonarz Juan Uriarte. Przy pomocy Indjan wyciął wzdłuż rzeki Satipo i Pangoa'y wąską ścieżynę, która za pośrednictwem ścieżek andyjskich łączyła stolicę biskupią i stację kolejową w Matahuasi z nowem osiedlem. Punkt na osadę nie był wybrany szczęśliwie. Powinnaby się ona znaleźć właściwie przy zlewie rzeki Ene z Perené, a nie przy ujściu nic nie znaczącej rzeki Pangoa. Stworzenie tej nowej misji było jednym z etapów, zmierzających do opanowania Montanji przygórskiej. Za pierwszy taki etap należy uznać ufundowanie misji

nad rzeką Konakiari (Rio Negro), w pobliżu ujścia do Satipo. Pięć lat istnienia nie przyniosło Puerto Ocopa rozwoju zbyt błyskawicznego. Cała ludność biała składa się z: 1 księdza, 4 zakonnic i 2 rodzin, o których polskie przysłowie mówi złośliwie, że „kto przy kościele mieszka, ten z kościoła żyje“. Oprócz białych, mieszka tam jeszcze trochę służby indyjskiej. Chlubą misji jest konwent z 35 dziećmi kampaskimi. O pochodzeniu tych dzieci ludzie różnie mówią. Część z nich została nabyta od rodziców drogą handlu zamiennego, część oddali czerwonoskórzy dobrowolnie, jako balast zbyt im ciężący, a jeszcze inne dostały się w sposób jeszcze inny. Nie wiem, jak zakonnice te dzieci wychowywały, wiem tylko, że ani jedno nie umiało mówić po hiszpańsku (zakonnice nie umiały po kampasku) i że dość rozległe półka misyjne nie widywały nigdy innych rąk roboczych, oprócz drobnych, brązowych łapek małych czerwonoskórych chrześcijan.

Ksiądz Uriarte jest z pochodzenia hiszpańskim Baskiem, a z serdecznego powołania — misjonarzem. Dobry to i poczciwy człowiek, ale, cóż, naokoło puszcza. Trudno wygłaszać kazania do drzew i rzek. To też z wolna zapał jego słabł, a niechęć do *barbarzyńców-Indjan*, nie wykazujących najmniejszego zainteresowania jego naukami, wygłaszanemi zresztą w niezrozumiałym dla nich języku, rosła i potężniała z roku na rok. W chwili, gdy znaleźliśmy się w Puerto Ocopa, niechęć ta stała już na wyżynie bardzo wysokiej i wyrażała się takimi, mniej więcej, powiedzeniami: „Kampowie są typowymi zdrajcami; cała ich historia tego dowodzi“. Kogo, mianowicie, mieli Kampowie zdradzać — nigdy nie dodawał. Poza tem, dobry był i nie-

głupi. Dziełem jego rąk jest jedyna mapka przejścia przez Kordyljery od Pangoa'y aż do Santa Rosa de Ocopa. On też wykonał najlepsze (aczkolwiek bardzo jeszcze niedokładne) zdjęcie rzeki Ucayali. Przez ostatnie pięć lat siedzi w Puerto Ocopa, odprawia msze święte w drewnianym kościółku i srodze boleje nad kuratela, w jakiej trzymają go cztery leciwe zakonnice, o których możnaby powiedzieć dużo rzeczy dobrych, ale o zbytek serca dla poczciewego padre Juana Uriarte posądzić je byłoby niesposób. W czasie pobytu w misji bardzom się z tym poczciewcem zaprzyjaźnił. Podczas długich wieczorów gawędziliśmy o różnych sprawach, bardzo od Montanji odległych, gdyż one właśnie były pasją misjonarza. Najwięcej interesowały go jakieś nadzwyczajne wynalazki. Te wszystkie „bujdy“ o niezwykłych odkryciach, które jakoby już w najbliższym czasie miały być urzeczywistnione, a którymi dzienniki zapełniają swe szpalty podczas letniej posuchy, brał na serjo i teraz wprawiał mnie w nielada kłopot zapytaniami o ich los.

Na gawędach z Uriartem, na subtelnych podejściach, zmierzających nieodmiennie do wyłudzenia od zakonnic, oczywiście za pieniądze, jeszcze jakiego koguta — spływał nam czas w Puerto Ocopa. A czasu tego było dość, albowiem ani w misji, ani nigdzie indziej w pobliżu, nie było mułów, którymi moglibyśmy odtransportować swoje rzeczy i samych siebie chociażby do kolonji Satipo, położonej o niespełna dwa dni drogi od ujścia Pangoa. Na szczęście, zesłał nam dobry Bóg niejakiemu pana Mendozę, który, za dość zresztą słoną opłatą, zgodził się pójść piechotą do Rio Negro i sprowadzić stamtąd potrzebną ilość zwierząt jucznych. Ale

nam już ziemia paliła się pod nogami. Wiedzieliśmy, że nasi koledzy albo już są w Limie, albo przynajmniej do niej dojeżdżają. Nie chcieliśmy więc siedzieć w Puerto Ocopa zbyt długo, aby nie wywołać niepotrzebnego niepokoju u reszty członków ekspedycji i nie komplikować podróży powrotnej. To też nie czekając na powrót Mendozy, posłaliśmy po jednego z sąsiednich kuraków, nazwiskiem Nicolas, aby ułożyć się z nim o wynajem tragarzy pieszych. Kuraka zgodził się chętnie i obiecał przyjść następnego dnia z tylu ludźmi, ile posiada palców u obu rąk i u jednej nogi.

Dobre pięć dni trwały pertraktacje z Indjanami i ekspedjowanie bagaży. Należy przyznać, że niektórzy z czerwonoskórych wykazali nielada stanowczość w żądaniach zapłaty. Zauważyłem jednak, że nie tyle wartość przedmiotu odgrywała u nich rolę, jak raczej to, czy przedmiotu tego więcej czy mniej w danej chwili potrzebowali. Po dziesięciu dniach beznadziejnego wyczekiwania, gdy część naszych bagaży znajdowała się już w misji nad rzeką Konakiari, nadszedł Mendoza z dwoma Węgrami, kolonistami z Satipo, którzy przywieźli z sobą siedm mułów. Nie czekając dłużej ani chwili, zakrzętnęliśmy się około objuczenia zwierząt; przedmioty, nie mieszczące się na ich grzbietach, powierzyliśmy barkom jedenastu Kampów od kuraki Nicolasa z Piotoa i pożegnawszy się serdecznie z ks. Uriarte, wyruszyliśmy w drogę.

Ostatni raz rzuciłem wzrokiem na łysiny odnóg Gran Pajonalu, na szumiącą wartko Perené, na widniejące wdali brzegi rzeki Tambo i zanurzyłem się wraz z karawaną w niebotyczną, wiecznie zieloną selwę.

Nizina Amazońska była już poza mną. Wkraczałem teraz w podgórskie okolice Andów, czyli w kraj, zwany przez Peruańczyków — *ceja de Montana*.

Rozdział XLIII,

Karawaną przez lasy.

Ścieżka, wiodąca z Puerto Ocopa do kolonii rządowej San Francisco de Satipo, ma jedną zaletę i tysiąc wad. Jako zaletę należy jej poczytać „nieomyślność“. Wędrując nią, niesposób zabłądzić, gdyż nie posiada żadnych odnóży. O wadach wspomnę tylko tyle, że szerokość jej waha się od 1½ metra do 30 centymetrów, że prowadzi nad przepaściami i urwiskami, i że nieodłącznie towarzyszy biegowi rzeki Pangoa, a później Satipo, a więc robi setki niepotrzebnych zakrętów. Przestrzeń, którą przebiega, pokrywają selwy, ciągnące się poprzez podgórze andyjskie aż do wysokości 3 tysięcy metrów. W przeciwieństwie do lasów, pokrywających brzegi Ucayali i jego dopływów, lasy strefy podgórskiej są więcej zwarte, a podszycie ich jest gęstsze. Flora tych okolic jest niewątpliwie nieco inna, lecz nie na tyle, aby rzucało się to w oczy. Pozornie, selwy całego dorzecza Amazonki mają jednakowy wygląd. Dopiero na wysokościach ponad dwa tysiące metrów widać poważne różnice. Las rośnie tam niższy, drzewa pokrywają mchy i długie „brody“, a poza tem występuje szereg gatunków, niespotykanych niżej.

Utrzymanie ścieżki w stanie używalności nastęrcza w Montanji dużo trudności. Byłe wiatr, nie mówiąc

już o burzy, czy huraganie, wywraca mnóstwo drzew, z których pewna ilość upada na ścieżkę. Ponadto, ulega ona niszczeniu przez osypiska kamienne, a także podmywaniu przez wodę. W tych warunkach trudno marzyć o utrzymaniu jej w formie zadowalającej. Tylko dzięki daleko posuniętej dobrej woli poganianczy mułów i wogóle ludzi tej ścieżki używających, utrzymuje się w stanie możliwym do użycia. Każde przejście większej karawany oznacza usunięcie, z konieczności, pewnej ilości zwalonych pni i ukruszonych odłamów skał. Niestety, na odcinku Puerto Ocopa—Satipo ludzie konni ukazują się nader rzadko i wskutek tego ścieżka przedstawia widok opłakany. Selwa ujęła ją, jak w kleszcze, potężnymi wałami roślinności i coraz ją zwęża. Liany, zwieszające się nisko, bezczelnie zaczepiają przechodniów, a potężne pnie wywrotów przegradzają ją w wielu miejscach.

Jadąc tą ścieżką, nie chce się poprostu wierzyć, że gdzieś tam, na dalekim świecie, istnieją asfaltowane szosy i samochody. Puszcza, taka sama, jaka stała w tych miejscach przed wielu tysiącami lat, odwraca kierunek myśli i stwarza dziwny cud: bezdroża, wertypy, dzicy ludzie — wszystko to wydaje się „realną“ rzeczywistością, w przeciwieństwie do jakichś tam nie-realnych, nierzeczywistych i zupełnie nie z tego świata miast i ludzi cywilizowanych. Nowoczesne nawyki, kultura i przyzwyczajenia — odbiegają od nas gdzieś daleko. Pozostaje prawdziwy człowiek, zwierzę. Słuch i wzrok się zaostrza, nerwy tępieją, żołądek działa sprawniej. Selwa jest wrogiem cywilizacji. Wyrывa ją z człowieka, pożera i trawi.

Przez pierwsze kilka godzin mijaliśmy kraj zupełnie pusty. Ożywiał go tylko krzyk ptaków i szum rzeki Pangoa, przedzierającej się w głębokim wąwozie przez zwały skał i drewniane zapory wywrotów.

Już na samym początku selwa pokazała nam zęby. Zabiegała nam drogę mnóstwem przepaści, biła setkami grubych, jak liny okrętowe, lian; usuwała z pod nóg zwietrzałe skały, i wciąż coś groźnie do nas gaworzyła. Łaskawe jednak było to srożenie się, niebezpieczne tylko dla nieuwważnego. Selwa nie wytoczyła przeciw nam swojej najcięższej artylerji: huraganu, drapieźników i jadowitych węzów. Przed pociskiem z tej broni niema w puszczy schronienia. Ale, jak powiedziałem, selwa srożyła się łaskawie, z obowiązku. Jechaliśmy tedy bezpiecznie, zaglądając w oczy przepaściom i uważnie śledząc ruch kamieni, osypujących się nam z pod nóg.

Około godziny trzeciej po południu dotarliśmy do chaty Manoela Torresa, „białego“, a raczej keczuańskiego osadnika. Torres nazwał swoją osadę Gloria-bamba. Gospodarstwo tego pioniera, które jest forpocztą kolonji rządowej Satipo, składa się z kilkuhektarowego pola z juką, kukurydzą i papami (rodzaj kartofli). Poza tem, zielenieje tam spora plantacja bananów i kilkadziesiąt owocujących już drzew papajowych. U Torresa, który jest kawalerem, mieszkał wówczas jeszcze inny Peruańczyk, Samuel Sapané, z żoną. Zarówno Torres, jak i Sapané, a także i wielu innych osadników w Satipo, pochodzili z północy Peru.

W najbliższem sąsiedztwie Gloriabamba'y, w odległości zaledwie kilkuset metrów, znajduje się *toldo*, czyli wioska indyjska, Piotoa. Mieszka tam w kilku

wielkich chatach kilkanaście rodzin Kampów, którym przewodzi kuraka Caetano, oraz jego brat Nicolas Szauaszi. Niemal wszyscy Indianie byli wówczas, gdy mijaliśmy ich toldo — pijani. Wyśpiewywali i wykrzykiwali podobnie, jak to można obserwować podczas pijatyk u nas na wsi.

Noc już zapadła, gdy znaleźliśmy się w potężnym kotle, okolonym wysokimi górami. Na niewielkiej równinie wznosiły się dwie opuszczone szopy indyjskie, opodal których sączył się powolnie mały strumyczek. W tych chatach postanowiliśmy przenocować.

Na drugi dzień rano dowiedziałem się, że jeden z naszych Kampów, noszący dźwięczne imię Cziomengeje, zastrzelił w czasie wczorajszej drogi sporego dzika, którego nazywał *tajryki*. Wspaniałomyślny dzikus uważał za stosowne podarować mi potężną, smakowicie na kamieniach usmażoną szynkę, nie omieszkawszy wygłosić przytem dość długiej przemowy.

Nie chcąc być dłużnym, wyciągnąłem z worka spory nóż kuchenny i wręczyłem mu, wygłaszając taki mniej więcej „speech“:

— Ty, Cziomengeje, dałeś mi *tajryki*, a ja, Capitan-polaco, daję ci ten oto *kuczilo*.

W oczach Kampa dostrzegłem krótki błysk zachwytu. Człowiek dziki umie jednak nad sobą panować. W jedno mgnienie oka później nic już na jego twarzy nie można było wyczytać. Nóż schował ruchem obojętnym do bawełnianej torby, przewieszanej przez ramię, i oddalił się ode mnie w milczeniu.

Po półdniowym marszu, dotarliśmy do ujścia rzeki Satipo, stanowiącej lewy dopływ Pangoa'y. Jak wiele

rzek w Peru, powstaje ona z dwóch rzek innych, a mianowicie: z Pampahermosy i Ancayo. Przy ujściu mierzy około 40—50 metrów szerokości; na całej swej długości jest niespławna, aczkolwiek w pobliżu indyjskiej wsi Shanqui, o której będę pisał na dalszych stronach, znalazłem na brzegu kilka szintip, co świadczyłoby, że jednak w okresie wysokiego stanu wód rzeka ta przedstawia pewne, ograniczone zresztą, możliwości komunikacyjne. Rio Satipo ma charakter rzeki górskiej. Łóżysko posiada kamieniste, zawałone odłamami skał. Spoglądając na jej ujście, odniosłem wrażenie, że raczej Pangoa stanowi dopływ Satipo, a nie odwrotnie. Wrażenie to potęguje fakt, że w korycie Pangoa'y leży w tym miejscu wysepka, dzieląca jej wody na dwa wąskie ramiona.

Kilka kilometrów od ujścia leży nad Satipo wieś indyjska, Shanqui. Doniedawna był tam kuraką znakomity Indjanin, nazwiskiem też Shanqui. Czem się ta znakomitość zaznaczała — nie wiem, niemniej jednak wszyscy Indjanie, a nawet biali twierdzili, że był wielkim człowiekiem. Niestety, umarł przed kilku laty. Obecnie sprawuje rządy jego brat, również Shanqui. Ten jednak, podobno, nie umywa się nawet do swego poprzednika.

Wieś Shanqui, złożona z kilku dużych chat, była w chwili naszego przybycia, kompletnie pusta. Cała ludność pracowała na swoich nędznych półkach juki i kukurydzy, rozrzuconych bezładnie po rozległej w tym miejscu dolinie rzeki Satipo. Zanim jednak zdążyliśmy spożyć obiadowy posiłek, zbiegło się do wsi kilkanaścioro mieszkańców, obserwując nas z niechętną, a nawet, powiedziałbym, wrogą obojętnością.

W dalszej drodze spotykaliśmy często pojedynczych Indjan, którzy schodzili nam z drogi, kryjąc się pośpiesznie w gąszczach.

Wieczorem wyjechaliśmy z lasu na rozległe pogorzelsko-pole. Rozpoczynały się *chacras*, czyli działki osadników z kolonji Satipo. Ciągną się one nieprzerwanym pasem wzdłuż rzeki Satipo, aż do miejscowości Germania, i kończą się u stóp góry San Pedro. Po wyminięciu pierwszej chaty, należącej do niejakiemu Reategui, Peruańczyka, przejechaliśmy strumień Sandobeni i dotarliśmy do osady Acosta'y. Człowiek ten mieszka tu już cały rok i zagospodarował się zupełnie niezłe. Przenocowaliśmy u niego.

W pół godziny po opuszczeniu *chacra'y* Acosta'y, miniliśmy osadę pewnego Francuza, poczem przejechaliśmy wbród strumień Marankiari. Rzeczka ta, której koryto mierzy około 20 metrów szerokości, przy czem zaznaczam, że było ono wypełnione co najwyżej w trzeciej części, jest lewym dopływem Satipo. Nazwa jego wywodzi się z języka kampaskiego i odpowiada w naszym języku słowom: rzeka żmij (maranki = żmija).

Na drugiej stronie Marankiari, tuż przy ścieżce, znajduje się osada Fernandez, który, ku zgorszeniu wszystkich białych, pojął za żonę rodowitą, dziką Kampaskę. Kobieta ta posiada powierzchowność sympatyczną, jest miła i wesoła. Podobno w ostatnich czasach coraz więcej osadników zaczyna się o niej wyrażać pochlebnie. Na zapytanie, skąd pochodzi, odpowiedziała mi: „Z kraju Obeni“. Tą nazwą określiła wspomniany już wielokrotnie Gran Pajonal. Żonie Fernandez zawdzięczam poznanie wielu słów

kampaskich, które, znając dobrze język hiszpański, z łatwością mi objaśniała. Z nami zachowywała się zupełnie swobodnie, wstydząc się jedynie sinych wężyków, wytatuowanych w dzieciństwie na policzkach. Rysunki te miały strzec jej przed ukąszeniami jadowitych żmij i od uderzeń groźnych płaszczyk.

W dalszej drodze do ośrodka kolonji Satipo, czyli do Bellavista, odwiedziliśmy chatę kolonisty niemieckiego, Stoppa. Samego właściciela, niestety, nie zastaliśmy. Gospodarstwo Niemca odróżniało się zaraz na pierwszy rzut oka od gospodarstw peruańskich. A więc, przedewszystkiem, dom był zbudowany solidnie z okrągłaków, posiadał okna i drzwi, a wewnątrz przypominało urządzenie domu wieśniaka europejskiego. Zastaliśmy tam nawet kilka obrazów na ścianach, a na stole niemiecką gazetę. Stopp mieszka w Satipo już dwa lata i należy do dobrze zagospodarowanych osadników. Ziemi posiada 70 hektarów.

W chacie Stoppa zastaliśmy młodego Niemca austriackiego, który przybył tu dopiero przed pięciu miesiącami i „zaczepił“ się u swego rodaka. Młodzieniec ten zapewniał, że zarówno on, jak i rodzina Stoppa nie chorowali dotychczas i czują się zupełnie dobrze.

Tego samego jeszcze dnia zwiedziliśmy gospodarstwo pewnego Peruańczyka, którego nazwiska nie pamiętam, w miejscowości Chorro. Widniał tam wprawdzie obszerny *yucal* i *platanal*, a wokoło nich zieleniły się drzewa owocowe, jednak sam budynek mieszkalny, przypominający najgorsze budy Czamów i Kunibów nadukajalskich, był tak w swoim brudzie i zaniedbaniu odrażający, że umknęliśmy stamtąd co rychlej.

Odcinek drogi między Chorro i ujściem rzeki Konakiari, zwanej obecnie Rio Negro, należy do jednego z najgorszych odcinków na ścieżce Puerto Ocopa—Satipo. Do niedogodności, wymienionych uprzednio, trzeba tu dodać jeszcze prawdziwą klęskę błota, które, dzięki pewnym właściwościom terenu, nigdy nie wysycha. Sama rzeka Konakiari mierzy przy ujściu około 15 metrów szerokości. Płyne ona w kamienistym łózku i jest, oczywiście, niespławna. Po przebyciu tej rzeki, wjechaliśmy na rozległą równinę, ciągnącą się aż do góry San Pedro. Na tej to właśnie równinie rozłożyła się większość kolonij, a także ich ośrodek — Bellavista. Przedtem jednak, zanim dojechaliśmy do tej miejscowości, oddalonej od ujścia Konakiari o 15 kilometrów, odwiedziliśmy misję franciszkańską, Rio Negro, położoną tuż przy rzece. W misji, założonej przed kilkunastu laty, w czasach gdy na sto kilometrów naokoło nie było ani jednego białego, mieszka ksiądz i lekarz kolonji, starszy pan, leczący głównie chininą i środkami przeczyszczającymi. Z zabudowań misyjnych, utrzymywanych dość porządnie, wiało pustką, nudą i brakiem jakiegokolwiek pracy. W przeciwieństwie do Puerto Ocopa, gdzie przynajmniej usiłowano wychowywać dzieci indyjskie, tutaj nic nie wskazywało, aby załoga tej cytadeli chrześcijaństwa w morzu dziczy wykazywała jakąkolwiek aktywność.

Po krótkim pobycie w misji, udaliśmy się do osady Węgra, Takaczy'ego, który w drodze z Puerto Ocopa przewoził nasze rzeczy. Takaczy, człowiek żonaty, obdarzony kilkorgiem dzieci, mieszkał w Rio Negro już pięć lat. Przed rokiem sprowadził swojego szwagra i przyhołubił jeszcze jakiegoś Niemca. Gospodarkę

oparł nietylko na rolnictwie, ale także na dochodach z przewożenia towarów i ludzi ze stacji kolejowej do kolonji. Dzięki temu, że przez długi czas nie posiadał żadnej konkurencji, zdobył pewną zamożność i dzisiaj jest jednym z najbogatszych osadników w całej kolonji. Takaczy'ego należy zaliczyć do typu pionierów. Tęgi, wysoki mężczyzna, nie uznający żadnych „chinin“, ani innych wymysłów doktorskich, pracuje ciężko dzień w dzień, zdobywając każdy grosz potem i znojem, ale jednocześnie stwarzając wokoło siebie warunki, zbliżające kraj coś niecoś do cywilizacji.

Rozdział XLIV.

Przez andyjskie podgórze.

W centrum ziem, przeznaczonych przez rząd peruński dla kolonizacji, nad rzeką Satipo, tuż przy ścieżce Puerto Ocopa—Santa Rosa de Ocopa, leży Bellavista, ośrodek kolonji San Francisco de Satipo. W przyszłości ma powstać tam miasto, jednak narazie stoi zaledwie kilka domów, a raczej nędznych bud drewnianych. Oprócz „dyrekcji“, połączonej z mieszkaniem dyrektora, *contadora* czyli buchaltera, i oficera, dowódcy oddziału roboczego, pracującego przy budowie drogi kołowej (na odcinku, położonym o 120 *km* od Bellavista), znajdują się tam jedynie domy kilku osadników, z których jeden posiada sklep, a drugi, Mejia, trudni się przewożeniem towarów i ludzi na mułach.

W Bellavista zamierzaliśmy wynająć kilkanaście zwierząt jucznych, potrzebnych do dalszej drogi. Nie

była to sprawa łatwa. Dopiero po dwóch dniach bieganiny i gadaniny udało nam się zebrać 15 mułów i 3 konie wierzchowe. Z taką to wielką karawaną wyruszyliśmy w kierunku bliskich już Kordyljerów. Bagaże postaliśmy naprzód, a sami podążyliśmy za nimi w kilka godzin później. Nieopatrny ten postępek miał dla nas fatalne skutki. Mulnicy bowiem odsadzili się od nas tak daleko, że dogoniiliśmy ich dopiero w kilka dni później, w Carrizalu. A tymczasem byliśmy pozbawieni prowiantów i cieplejszego ubrania.

Aż do miejscowości Germania towarzyszył nam komisarz policji z Bellavista, pan Chirinos. Właściciel Germanii, stary, siwy Niemiec, nazwiskiem August Hilser, żonaty z Indjanką, przebywał w Peru już od pięćdziesięciu lat, nie zatraciwszy jednak nic ze swoich cech narodowych. On to, jako geometra z zawodu, mierzył i mierzy działki dla kolonistów kolonji Satipo. Hilser pokazał mi w niemieckim tygodniku, drukowanym po hiszpańsku w Berlinie, wzmiankę o wyjeździe polskiej ekspedycji badawczej do Peru. Wzmianka nie była opatrzona żadnym komentarzem.

Tuż za Germanią kończy się szeroka równina, rozciągająca się od ujścia rzeki Konakiari. Droga zaczyna się tam pięć na pierwszy wysoki stopień gigantycznych schodów, prowadzących ku Kordyljerom. Na przestrzeni kilku kilometrów zygzakowatej ścieżki teren podnosi się z 750 do 1500 metrów nad poziom morza. Tam, na szczycie tej potężnej góry, zwanej San Pedro, uczułem po raz pierwszy, od przeszło sześciu miesięcy, powiew chłodnego, miłego wietrzyka.

Ścieżka wspinająca się na San Pedro jest tak wąska, że z prawdziwym strachem myślałem o tem, coby

się stało, gdyby naprzeciwno nas ukazała się druga karawana. Wówczas nie moglibyśmy ruszyć, ani wtył, ani wprzód. O bokach nie było co i mówić. Z jednej strony wyrastała stroma ściana skał, z drugiej — brz — przepaść. Zaledwie pomyślałem o możliwości spotkania, a tu już z za zakrętu wyłonił się poczciwy muł, który, ujrzawszy przed sobą, twarzą w twarz, pokrewne bestje, stanął zdziwiony, obejrzał się w kierunku swojego pana, i najspokojniej w świecie począł skubać liście bambusów, rosnących przy drodze. Przyznam się, że nie miałem wówczas apetytu nietylko na liście bambusowe, ale nawet na najlepsze czekoladki.

— Mario! — krzyknąłem na idącego wtył mulnika — muły przed nami!

Mario nadbiegł zafrasowany i, z kolei, zaczął nawoływać mulnika karawany, zdążającej naprzeciwno nas. Kłął przytem tak dosadnie, że niejednego rodowitego Rosjanina zapędziłby w tak zwany kozi róg.

Po chwili zebrali się wszyscy poganiacze mułów i zaczęli uradzać. Trwało to tak długo, dopóki jeden z mułów, znudzony zapewne bezczynnem wyczekiwaniem, nie postanowił przebić się przez zwarte szeregi naszej karawany. Ruszył sobie tedy z kopyta, i przeczornie przyciskając się do skały, przepychał się naprzód. Nie miał jednak szczęścia. Zaledwie bowiem dotknął pierwszego naszego muła, bestja kopnęła go i nieszczęsne bydlę zważyło się w przepaść. Nie zabiło się jednak. Zawisło na zwałonym pniu i, stękając z przerażenia, spoglądało błagalnie dogóry, na nas. Wyciągnęliśmy głupiego zwierzaka i po długich a licznych kłopotach wyminęliśmy kilkanaście mułów, z których karawana, zdążająca do Satipo, składała się.

Pierwszy dzień podróży miałem bardzo lichey, gdyż w Bellavista zatrąłem się sardynkami, czy też bananami i jechałem z gorączką, która wieczorem wzmożła się do 38·7°. Nadmiar złego, chwyciły mnie takie bóleści, że kilkakrotnie omal nie zwałem się z konia w przepaść. Jakoś tam jednak dotarłem do małej chatki, w której mieszkała Indjanka — Keczuancka, nie mówiąca prawie wcale po hiszpańsku. Była to pierwsza chata, zamieszkaana przez Indjan górskich, którą na drodze do Kordyljerów spotkałem. Nie wyniosłem z tego pierwszego zetknięcia się z nimi zbyt dodatniego o nich wrażenia. Baba była brzydka, jak noc, a ponadto nieufna i zła. Zarzekała się, że niema nic do jedzenia, i że sama jest bardzo głodna. Dopiero widok srebrnego sola przerwał żale i wydobyl z niej inny ton. Znalazły się *papas*,¹ kukurydza, a nawet kawałek mięsa, niestety, — śmierdzącego.

Rano obudziłem się znowu z gorączką. Byłem wówczas tak pozbawiony sił, że perspektywa dwunastogodzinnej konnej jazdy napełniała mnie przerażeniem. Zdawało mi się chwilami, że trudu tego nie wytrzymam i albo spadnę, albo zejść z wierzchowca i położę się na ziemi. Jednak świadomość, że od stron jako tako cywilizowanych odgradzało mnie 150 kilometrów najgorszych dróg górskich, jakie pod słońcem istnieją, i że poddanie się chorobie groziło konsekwencjami bardzo niebezpiecznymi, dodawała mi sił. Ścisnąłem zęby i jechałem dalej. Jak automat schodziłem wszędzie, gdzie kilkonastocentymetrowa szerokość ścieżki nie pozwalała przebyć jej wierzchem, po-

¹ Rodzaj kartofli.

czem znowu wsiadałem na siodło, nachylałem się raz wtył, to znowu naprzód, i jakoś jechałem.

Wraz ze mną człapali Zarychta, Freyd i dwóch arrierów, czyli mulników, braci Torresów, wraz z czterema jucznymi mułami. Dopiero w miejscowości Santa Anna dopędziliśmy dalsze sześć mułów, poganiane przez dwóch Espadów. Pech, prześladujący nas w ciągu całej podróży, splątał nam w Santa Anna nowego figla. Jeden z mułów Espady zmęczył się tak dalece, że trzeba go było pozostawić i szukać drugiego. Zanim tego muła wyszukano, zdążyliśmy zjeść śniadanie w pobliskiej haciendzie Palma, oraz wysłać muły Torresów do Quintabamby, miejscowości odległej o kilka godzin drogi od Palmy.

Na ziemiach haciendy Palma znajduje się początek rzeki Satipo, której doliną jechaliśmy dotychczas, a która, jak wspomniałem wyżej, powstaje ze zlewu dwu rzek: Pampahermosa'y i Ancayo. Za Palmą ścieżka poczęła piąć się po zboczach doliny Pampahermosa'y, nie opuszczając ich aż pod same źródła tej rzeki. Zarówno Satipo, jak i Pampahermosa posiadają charakter rzek górskich, o wodach bardzo zimnych, i są na całej swej przestrzeni niespławne. Dolinę Pampahermosa'y porasta dziewicza, zwarta selwa. Można w niej obserwować jedno z najpiękniejszych połączeń, jakie przyroda jest w stanie wytworzyć: góry, lasy i szumiącą po skałach wodę. A nad tem wszystkim pogodne niebieskie niebo, świeże powiewy górskie i cudowny, nie za gorący i nie za chłodny klimat. Ten piękny i zapewne zdrowy kraj jest bezludny. Zupełnie bezludny. Niema w nim białych, gdyż zaborcza ręka konkwistadorów nie sięgnęła jeszcze za Kordyljery (wyjątek:

kolonja Satipo); niema mieszkańców gór, Keczuanów, bo za nisko tu dla ich organizmów, przywykłych do życia w chmurach; niema też Indjan-nomadów, bo klimat dla nich za chłodny. Pusty tedy stoi kraj nad Pam-pahermosą i dla człowieka nieużyteczny. Tylko jaguary, pумы i drapieżne niedźwiedzie górskie mają tam swoje tytuły własności; tylko orły i sępy czują się w nim u siebie; tylko słońce przenika w jego niedostępne ostępy; tylko Bóg nim włada.

Przez te podgórze niebotycznych Andów,¹ przy których najwyższe szczyty naszych Tatr wydałyby się pagórkami, wędrowaliśmy pośpiesznie, nocując w spotykanych po drodze kamiennych chatkach keczuańskich, krytych trawą lub liśćmi. Napróżno jednak poganialiśmy wierzchowce, bagaży z cieplejszem ubraniem i prowiantami dogonić nie mogliśmy. Tymczasem noce stawały się coraz chłodniejsze. Bliskość śnieżnych szczytów i duże wzniesienia nad poziomem morza dawały się porządnie we znaki.

Wraz z przybliżaniem się do terenów wysokogórskich, kraj zaczął ulegać pewnym zmianom. Wysokopienny las stawał się coraz to bardziej nikły; coraz częściej odkrywały się przed nami otwarte golizny, porośnięte krzakami i szczeciniastą trawą. Jakby zabezpieczając się przed zimnem, drzewa okrywały się gęstym kożuchem zielonych mchów. Dziwne jednak, że w tym dość chłodnym kraju, na wysokości trzech tysięcy metrów, gdzie, jadąc konno, uczuwałem przejmujący chłód, znajduje się wiele zwierzyny i ptactwa, właściwego gorącej strefie nizinnej. Na każdym kroku

¹ Kordyljery czyli Andy noszą w Peru nazwę *Los Andes*.

spotyka się błyszczące kolibry, papugi, sępy i paukary. Również roślinność jest przeważnie taka sama, jak wdole. Zielenią się palmy, bambusy i cedry; czerwieni się drzewo achioty; zwisają zewsząd festony lian tropikalnych.

Wreszcie, po kilku dniach ciężkiej podróży, dotarliśmy do miejsca, w którym zastaliśmy robotników, budujących drogę samochodową. Na przedzie jechał właśnie Zarychta. Wspinając się konno po lichej ścieżce, zmylił drogę i zboczył na jakąś zarzuconą oddawna bocznice. I omal nie zwałił się w przepaść. Widząc, że reszta karawany śpieszy w jego ślady i może również narazić się na niebezpieczeństwo, krzyknął zdaleka:

— Wracać! Wracać! Tutaj niema przejścia.

Na dźwięk tych słów, wypowiedzianych po polsku, poskoczył ku niemu zawinięty w gumowy płaszcz dozorca robotników i radośnie zapytał:

— To pan Polak?

Zarychtę ogarnęło, oczywiście, zdumienie.

— Tak, Polak, ale pan skąd się tu, u licha, wziął, i co pan tu robi?

Dozorca wskazał pogardliwym ruchem ręki na grupę keczuańskich robotników i odpowiedział wybitnie śląskim akcentem.

— Pilnuję totych Indjanów.

Gdy w dalszym ciągu rozmowy Zarychta zainterpelowwał Ślązaka, czemu, widząc, że jedzie na złamanie karku w ślepe ścieżkę, nie zawrócił go, ten zrobił równie pogardliwy ruch ręką, jak poprzednio, i rzekł:

— Bo ja o tutejszych nie stoję. Niech sobie tam łamią karki.

Na tę budującą rozmowę nadjechałem ja z Freydem i resztą karawany.

Od rodaka dowiedzieliśmy się, że naczelnym inżynierem, budującym drogę, był jeszcze przed miesiącem Polak, pan Bujalski, i że cały sztab urzędników, złożony z dziewięciu osób, składał się również z Polaków. Dopiero od kilku tygodni wszystko się zmieniło wskutek jakiejś bójki, czy też pobicia, od którego miał jeden z Polaków umrzeć. Inni zostali oskarżeni o zabójstwo i częściowo aresztowani. Sprawa miała się później wyjaśnić w ten sposób, że owego zmarłego Polaka nikt nie zabił, lecz że spadł on sam do przepaści, niemniej jednak wszyscy potracili posady i bądź jeszcze przebywali w aresztach, bądź też rozprószyli się po innych stronach Peru. W taki to dość przykry sposób skończyła się piękna rzecz, jaką było zapoczątkowanie budowy drogi poprzez Kordyljery przez Polaków.

Miejsce, w którym spotkaliśmy Ślązaka, dozorującego Indjan górskich, było oddalone zaledwie o kilka kilometrów od Carrizalu, głównej kwatery kierownictwa budowy drogi. Dnia 14 czerwca po południu dotarliśmy do tej miejscowości, gdzie, na szczęście, dogoniliśmy resztę karawany i mogliśmy zabezpieczyć się od przejmującego chłodu.

Rozdział XLV.

Na dachu świata.

W opisach podróży po Peru, po tej krainie podrównikowej, będącej nieomal synonimem gorąca i upałów, dziwnie brzmią wspomnienia chwil, spędzonych w chłó-

dzie i mgłach. Jednak w Peru, tej właśnie krainie upałów i słońca, miejsc chłodnych i mglistych jest aż nadto dużo. Na wysoczyznach Andów klimat jest chłodny, a nawet zimny. Keczuanie, czyli Indjanie andyjscy, znają się dobrze ze śniegiem i lodowatym wichrem.

Carrizal leży 3.400 metrów nad poziomem morza. W Europie panowałyby na tej wysokości wieczny mróz, a śnieg nie topniałby nigdy. Jednak i w Peru na tej wysokości jest chłodno, dżdżysto i mglisto. W Carrizalu, ponoć, cały rok nie pokazuje się słońce i nigdy nie można przestać dzwonić zębami. Dwa dni spędzone w tej nędznej wiosce, na którą składają się trzy blaszane domki i niezliczona ilość szalasów indyjskich robotników, utwierdziły mnie w przekonaniu, że opinia ta jest słuszna.

W Carrizalu postanowiliśmy nieco odpocząć, aby nabrać sił do podróży przez wysokie przełęcze górskie. Odpoczynku tego potrzebowaliśmy wszyscy. Mnie napadły ponowne bóle, Freyd był zatruty, podobnie jak i ja, Zarychta zaś — wycieńczony przebytą nad Bajo Ucayali malarją i dezynterją. Ponieważ jednak uzupełnienie brakujących mułów poszło stosunkowo łatwo, zdecydowaliśmy, aby drugiego dnia przed południem udać się w dalszą drogę. Przedtem jeszcze wysłaliśmy do Santa Rosa de Ocopa, do biskupa Irzoli, posłańca z listem, prosząc o przysłanie do końcowego punktu drogi automobilowej — samochodu.

Tego samego dnia, kiedy przyjechaliśmy do Carrizalu od strony Montanji, przyjechał z Limy następca inżyniera Bujalskiego, pan Gonçalvez Garzia. Młody ten inżynier, który ze stanem budowy drogi miał się

zapoznać już poprzednio, oświadczył mi, że spodziewa się doprowadzić ją do końca, to znaczy do rzeki Perené, w przeciągu dwóch i pół lat. Sąd ten wydał mi się nazbyt optymistyczny. Wziąwszy pod uwagę metodę budowy sposobem szarwarkowym, przy bardzo ograniczonych kredytach pieniężnych, należy liczyć się z tem, że zostanie ukończona znacznie później.

Nowy etap podróży, poprzez punę, rozpoczęliśmy w towarzystwie pana Carrasco, urzędnika dyrekcji kolonji Satipo, oraz don Salvadora Urco, zawodowego „wynajmowacza“ mułów jucznych. Don Salvador Urco przedstawiał typ nader oryginalny i charakterystyczny. Aczkolwiek zupełnie biały i cywilizowany, władał jednak biegle językiem keczua, zdradzając wiele sympatji dla nieszczęśliwego narodu Indjan górskich. W przeciwieństwie do swych rodaków, naogół pogardzających czerwonoskórymi i nie lubiących ich, wyrażał się o nich jak najlepiej, potwierdzając tem moje własne w tym kierunku spostrzeżenia. A co najważniejsze, nie wstydził się tych swoich opinij, rzucając je niejednokrotnie w twarz ludziom o odmiennych, tradycyjnych przekonaniach. Niestety, nawet jednak ten chlubny wśród białych wyjątek, gdy podarowałem mu przy rozstaniu karabin polskiej fabrykacji, nie znalazł innego okrzyku na ustach, jak tylko: „Ach! co za świetna broń, możnaby z niej zabić z dziesięć tysięcy Indjan!“

Carrizal otaczają karłowate drzewka i mizerne krzaki, ale już kilometr dalej znikają nawet krzaki i pozostają tylko olbrzymie łysiny, porośłe sztywną trawą i pokryte olbrzymiami bochnami skał.

Jest to tak zwana puna. Słowo to oznacza w języku keczua miejsce zimne, położone wysoko. Sami Indja-

nie na oznaczenia pojęcia, które potomkowie hiszpańskich konkwistadorów oznaczają słowem *puna*, używają miana *jalca* (czyt. chalka), które wymawiają czasem jak „chalja“. Puna, w tej części Kordyljerów, którą poznałem, rozciąga się od Carrizalu aż do jeziora Pumacocha, stanowiąc kraj chłodny, bezleśny i bardzo rzadko zamieszkały. Wysokość jego waha się od 3 do 5 tysięcy metrów, a temperatura, w zależności od wysokości, dochodzi do normy wiecznych śniegów w pobliżu siklawy Huntaipacche, jeziora Toctuga i jeziora Pumacocha, albo, jak narzykład w dolinie rzeki Comas, podnosi się tak dalece, że pozwala dojrzewać pomarańczom i granatom. Na punie nie widać innej roślinności, jak tylko trawy i nieco krzaków. Przy drodze widywałem w wielu miejscach krzaki jeżyn, identyczne z polskimi. Ludzie, nawet Keczuanie, zamieszkują ją niechętnie, osiedlając się w głębokich dolinach, a unikając miejscowości wysokich, zimnych. Widać tam tylko kamienne chatki pastuchów bydła i lam, koczujących po najwyższych nawet szczytach.

Nietyle to kraj piękny, ile oryginalny. Przecinają go olbrzymie, na kilometry szerokie doliny, na krańcach których piętrzą się ku niebu olbrzymie zwały gór ze śnieżnymi niekiedy czapami. Gdy spojrzeć ze szczytu w dal, wydaje się, jakgdyby świat lasów, rzek i ludzkich osiedli nie istniał. Kamienno-szare stożki górskie, ponure i tajemnicze, wyrastają jedno za drugimi. Zdają się czems zamartem, zakłętym. Keczuanie mówią, że to pewien posępny duch obrócił piękną, zieloną ziemię w tę ponurą, milczącą bramę piekieł...

Wkrótce po opuszczeniu Carrizalu, dotarliśmy do doliny niewielkiej rzeczki Atac, której źródła znajdują

się w jeziorze Toctuga, i posuwaliśmy się nią dobre trzy godziny. Ścieżka, prowadząca przez punę, jest mniej karkołomna, aniżeli ta z dżungli. I na niej jednak można w każdej chwili potrzaskać sobie kości dokumentnie.

Kilkanaście kilometrów za Carrizalem znajduje się cudowna wprost sikława, Huntaipacche, spadająca ze stromej skały, mierzącej co najmniej 170 metrów wysokości. Tuż za nią, stanowiąc jej źródła, wisi olbrzymi biały zwał wiecznego śniegu, rzucający niebieskawe refleksy na księżycowy krajobraz swego otoczenia. Niemal u stóp tej sikławy stoi kilka budynków kamiennych, stanowiących folwark sąsiedniej haciendy Runatullo.

W niespełną godzinę po opuszczeniu Huntaipacche, dotarliśmy do najwyższego punktu drogi, jaki mieliśmy we wschodnim pasmie Kordyljerów przebyć, do jeziora Toctuga. Nazwa tego jeziora wywodzi się od keczuańskiego słowa *tucto*, oznaczającego jezioro, powstałe z topniejących wiecznych śniegów. Leży ono na wysokości prawie 4500 metrów, a więc tak, jak-gdyby na szczycie Mont Blanc'u, i mierzy 1560 metrów długości oraz 400 metrów szerokości.¹ Brzegi jego są bezludne. Jedynymi mieszkańcami są tam dzikie kaczki, zwane przez Indian bandurias i huha-chas. Nad lodowatemi wodami Toctuga'i napadła nas gwałtowna śnieżycą. Gdy uprzytomniłem sobie, że jeszcze kilka dni temu przebywałem w kraju, w którym upały nigdy nie ustają, ogarnęło mnie miłe uczucie zadowolenia z nieoczekiwanej bądź co bądź „wycieczki“.

¹ Według słów inż. José Ruiz Faulera, pracującego przy budowie drogi przez Kordyljery.

Miejsce, do którego przybyliśmy na noc, nazywało się Montalacchi (czyt. Montalaki). Stała tam zaledwie jedna kamienna chata, kryta trawą, oraz kilka szałasów. W całych Kordyljerach buduje się chaty z niewielkich „polnych“ kamieni, układając je jeden na drugim i przesypując ziemią. Budowle takie, acz niezgrabne i prymitywne, stanowią niezłą ochronę od zimna. Niestety, domek w Montalacchi nie miał drzwi, a więc nietylko był niezgrabny i niewygodny, ale również nie chronił przed zimnem. A zimno było piekielne! Cztery tysiące metrów wzniesienia i potężne zwały śniegu na sąsiednim szczycie, robiły swoje. Nawet Keczuanie, przywykli do chłodu i rzadkiego powietrza, osiedlają się niechętnie wśród tych pustych skał i wyniosłych, zimnych szczytów, gdzie wieją tylko chłodne wiatry i błakają się drapieżne kondory.

W Montalacchi przebywało chwilowo kilku pastuchów z haciendy Runatullo, których stada krów i lam pasły się w sąsiednich dolinach. Byli to, oczywiście, Keczuanie, ludzie o cerze śniadej, o ciemnych, nieco skośnych oczach, o postawie smukłej, zgrabnej i smutnym uśmiechu.

Wątpię czy istnieje na świecie naród bardziej nieufny i ponury, niż Indianie górscy. Wiekowa niewola i pańszczyzna, gnębiąca ich do dzisiaj, przetworzyła tych śmiałych, pewnych siebie górali, jakimi ongiś byli, w potulnych niewolników, schylających pod uderzeniem bata karki i bez skargi i buntu znoszących wszelką krzywdę. Ale jednocześnie twardy to naród. Dotychczas, po pół tysiącu lat władania tą krainą przez hiszpańskich konkwistadorów, nie przyjął ani jednego ich obyczaju, lub zwyczaju; nawet języka ich

się nie nauczył. Tylko religję chrześcijańską przyjął, ale i tej narzucił mnóstwo zabobonów i dziwacznych ceremonij, które kościół toleruje.

Gdy zajechaliśmy do Montalacchi, pastuchy keczuańscy siedzieli w jednym z szałasów i warzyli strawę przy niewielkim ogniu, podsycanym z braku drzewa wyschłym nawozem krowim. Na widok zbliżających się nieznajomych, żaden nie ruszył się, nie okazując najmniejszego zainteresowania przybyszom. Zagadnąłem jednego o gorącą wodę. Wzruszył ramionami i wymamrotał coś, co miało zapewne oznaczać, że nie rozumie po hiszpańsku. Byli oni ubrani, bez wyjątku, w stroje narodowe: w spodnie ciemne, zakończone krótką sztylpą z materiału, w krótkie kolorowe kurteczki i pasiaste, malownicze płachty na plecach. Najmniejsza nawet sztuka ubrania, aż do kapelusza włącznie, była zrobiona z samodziału, tkanego przez ich kobiety.

Wspominając o kobiecie keczuańskiej, nie można nie wyrazić podziwu dla jej niezwykłej pracowitości. Pracuje ona nietylko w domu i na polu, ale nawet wówczas, gdy zdąża do miasta, do kościoła, czy w odwiedzin. Trzyma w czasie drogi przędzę w ręku i spuściwszy szpulkę ku ziemi, przędzie nić, nucąc piosenkę, lub gaworząc z towarzyszką. Cała rodzina, od męża do najmniejszego dzieciaka, nosi ubrania, utkane i uszyte jej pracowitą ręką. Potrafi ona również robić łapcie, używane zamiast trzewików, oraz piękne, o oryginalnych wzorach, barwne pasy parciane. Jej kolorowe, pasiaste sukienki, jak również pewien rodzaj krótkich pelerynek, używanych przez obie płcie, posiadają wiele podobieństwa do wyrobów polskich

łowiczankę. W Łowickiem jednak nosi je lud zamożny, bogaty, butny i wesoły, a w Kordyljerach — smutny, biedny i pokorny.

Nie odrazu jednak Keczuanie poddali swe dawniej dumne karki pod jarzmo niewoli. Szereg powstań i buntów poprzedził ten okres apatji i rezygnacji, którego świadkiem był wiek XIX. Jeszcze na krótko przed uzyskaniem przez Peru niezależności politycznej, wybuchło powstanie, które ogarnęło całe niemal olbrzymie dawne wice-królestwo Limańskie. Na jego czele stanął potomek dawnych królów inkaickich, człowiek kulturalny i cywilizowany, który przybrał imię Tupac'a Amaru. Na jego wici, rozesłane po kraju, a wzywające do posłuszeństwa nowemu Ince i do wojny przeciw „brodaczoł“,¹ poruszyły się wielkie masy Indjan górskich. Z najdalszych *jalcas* i dolin poczęły napływać w okolice Cusco, gdzie ongiś panowali władcy o boskim tytule „wirakucze“, tysiące czerwonoskórych powstańców. Wkrótce Tupac Amaru rozporządzał 30 tysiącami ludzi i opanował niemal całe Kordyljery. Jedyne w Cusco i paru innych miejscach, oraz na pobrzeżu, bronili się Hiszpanie, śląc posłów do sąsiednich wice-królów z rozpaczliwemi prośbami o pomoc. Wiedzieli jednak dobrze, że ani wice-król Buenos Aires, ani wice-król Guatemali nie może przysłać posiłków wcześniej, aniżeli za szereg miesięcy, wyteżali przeto wszystkie siły, aby powstanie pokonać.

Po okresie świetnych zwycięstw, przyszedł jednak dla inki Tupac'a Amaru okres klęsk i niepowodzeń. Brakło mu broni, prochu i żywności. Wśród wojowni-

¹ Nazwa, nadawana w czasie konkwisty Hiszpanom przez pierwotną ludność peruańską.

ków grasowały choroby. Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym, po przegranej bitwie, Inka wpadł wraz z żoną i synem w ręce wrogów. Ten bohater indyjski, o którym do dzisiaj śpiewają pieśni i opowiadają legendy, zginął z ręki Hiszpanów na szafocie, jak złooczyńca. Luty wróg nie oszczędził nawet żony, *aby nasienie zginęło*, jak opiewał wyrok.

Przez szereg jeszcze miesięcy trwały zacięte walki z powstańcami, których dowództwo po śmierci Tupac'a Amaru objął jego brat. Ale i ten zginął na szafocie.

Po tym potężnym wysiłku, który poruszył umysły wszystkich Indjan dawnych dzierżaw inkaickich, obejmując ziemie tak odległe, jak Ekwador, pobraża jeziora Titicaca, Boliwję i dzisiejszą północną Argentynę, nastąpiła martwota i cisza. Smutne pieśni keczuańskie posmutniały jeszcze bardziej, pochylone karki skłoniły się jeszcze niżej. Nieufny z natury Indjanin zamknął się w sobie zupełnie i odgradził od białego nieprzebyłym murem wstrętu, obojętności i nienawiści. I taki to potomek narodu Inków, wielki uporem i wytrwałością, przetrwał do dni dzisiejszych. Podobny, jak dwie krople wody, do tego z czasów Tupac'a Amaru i do jeszcze dawniejszych przodków. Cichy, spokojny, okrutny i pamiętający. Nie posiada żadnych praw, nie wolno mu przyznać się do swej narodowości, zabrania mu się mówić własnym językiem, zabrania mu się mieć własne szkoły i urzędzenia, wbija mu się natomiast w głowę, że jest Peruańczykiem. A on tymczasem nie rozumie nawet różnicy między dawnym ciemieżcą-Hiszpanem, a dzisiejszym, który, mówiąc również zniechęconym językiem.

również go ciemiąc, mianuje się obywatelem Peru. Podlega obecnie temu samemu nieszczęściu, jakiemu w wiekach ubiegłych podlegali Czesi; wszystkie jednostki inteligentniejsze porzucają dobrowolnie własny naród, aby przejść do obozu ludzi o większej cywilizacji i kulturze. Dopiero w ostatnich czasach, zwolna, zaczynają wyrastać ludzie, którzy, wyszedłszy na wyższy stopień społeczny, rozumieją więź, łączącą ich z przeszło 3 milionowym narodem górali keczuańskich. Wraz z ukazaniem się tych pierwszych jaskółek, odezwały się głosy o keczuańską szkołę narodową, rozpoczęły się próby wydawnictw perjodycznych i zakładania organizacji. Krwawe powstania Ajmarów (narodu pokrewnego Keczuanom) w Boliwii, też przyczyniły się niemało do obudzenia świadomości narodowej wśród jednego z najliczniejszych narodów indyjskich, istniejących jeszcze na ziemi.

Rozdział XLVI.

Konno przez Kordyljery.

W Montalacchi schwyciła mnie *soroche*, czyli choroba górską, nie na żarty. Leżałem na barłogu z twardej trawy górskiej *okszia* i ledwo dyszałem. W pierśsiach czuwałem brak powietrza, a z nosa poczęła mi się sączyć krew. Do tego dołączył się przejmujący chłód, który, drwiąc sobie z mej równikowej odzieży, przenikał mnie do kości. Również i dr. Freyd cierpiał, aczkolwiek znacznie ode mnie mniej. Choroba oszczędziła jedynie Zarychtę, który krzątał się po kamiennej chacie i podawał nam gorącą herbatę. W takich chwili-

lach człowiek daje przystęp do siebie jak najgorszym myślom i przecuciom. Zdawało mi się wówczas, że już chyba nigdy nie przejadę tego potężnego pasma Kordyljerów, za którem piętrzyło się takie samo drugie i trzecie. To, co przed kilku dniami wydawało mi się igraszką, obecnie napełniało mnie przerażeniem.

Ciężką noc przepędziłem w gościnie u pastuchów lam, alpak i bydła, z haciendy Runatullo. Ale minęła. Wstał blade, apatyczny, bezsłoneczny ranek, podobny, jak dwie krople wody, do 365 ranków, ukazujących się każdego roku w pobliżu jeziora Toctuga i strumienia Andamarca.

I znowu jechaliśmy dalej.

Kopyta koni i mułów stukwały donośnie po zwałach kamieni i parślały na dobrą wróżbę. Droga opuszczała się coraz niżej, *soroche* ustępowała coraz rychlej.

Jeszcze uprzedniego dnia wjechaliśmy w dolinę strumienia Runatullo, zwanego też Andamarca, i nią odbywaliśmy dalszą drogę. Rzeka ta wypływa z jeziora Toctuga, które, stanowiąc dla jednych rzek ujście, innym służy za źródła. Andamarca płynie w szerokiej na kilka kilometrów dolinie, na której niema ani jednego drzewa lub krzaka, natomiast zewsząd sterczą potężne skały i jeżą się osypiska kamieni. Na tej kamienistej, bezpłodnej ziemi wyrastają kępki traw wysokogórskich, służących za paszę dla viskaczy i bydła. Pustynne te widoki ożywia tylko drapieżny orzeł, lub kondor, które tutaj, w chmurach, czują się u siebie.

Już na drugiej stronie przełęczcy, wiodącej przez pierwsze pasmo Kordyljerów, zobaczyłem po raz pierwszy osadę Kecuanów. Nazywała się Talhuis i nie posiadała ani jednego mieszkańca, mówiącego po hi-

szańsku. Zdaleka przypominała wioskę Arabów północno-afrykańskich. Podobnie jak miasteczka marokańskie, składała się z kilkudziesięciu domów kamiennych, krytych dachówką lub trawą, przy których widniały mury, stanowiące przedłużenie ścian. W Talhuis byłem świadkiem sceny, którą trudno zapomnieć. Oto, dojeżdżając do osady, spotkaliśmy na drodze dziewczynę keczuańską. Szła sobie w swojej kolorowej kiecuzsce, kolorową nakryta płachtą i przędła nić. Tak sobie, z żartów, zagadnął coś do niej towarzyszący nam Peruańczyk, p. Carrasco. Odezwanie się tego, Bogu ducha winnego, człowieka, wywołało skutek przedziwny. Biedactwo, roniąc po drodze przędzę, rzuciło się do ucieczki z głośnym płaczem. Nie z dzikości to uczyniła zapewne, lecz ze smutnego doświadczenia. Nie była zresztą dzika. Na dźwięk słów keczuańskich, wypowiedzianych przez don Salvadora Urco, uspokoiła się momentalnie i coś tam nawet odpowiedziała.

Za Talhuis'em droga zaczęła się wspinać, by znowu osiągnąć 4 tysiące metrów. Jak w barometrze, czułem w swoim organizmie wszystkie zmiany wysokości. Nowe wzniesienie zaznaczyło się nowym bólem głowy, mdościami i krwią na wargach.

Po przebyciu wysokiej przełęczy, stanęliśmy w miejscu, z którego roztoczyła się przed nami niewiarogodna wprost, bo mierząca około półtora tysiąca metrów głębokości, przepaść. Na jej dnie, niby wąska tasiemka, błyszczała pianami rzeka Comas. Kordyljery ukazały nam stamtąd cały swój ogrom. Kilkadziesiąt różnych szczytów: łysych, ciemnych, jasnych, nakrytych czapami śniegu, lub nie nakrytych — piętrzyło się przed nami, nad nami, pod nami i obok nas. Wy-

dawało mi się, że góry całej ziemi zbiegły się tutaj na sabat, czy też tajemnicze narady. Chwilami byłem prawie pewien, że to jakiś potężny kataklizm wyrwał z przestworzy pustynne pola księżycowe i rzucił je tutaj, do moich stóp.

Z tej bezimiennej przełęczy droga opuszcza się serpentynami wdół. Dwunastu kilometrów było potrzeba, aby sprowadzić ją do stóp potężnej góry. Tego dnia nie dojechaliśmy na sam dół. Zatrzymaliśmy się o jakieś 300 metrów ponad rzeką, w małej osadzie keczuańskiej, o pięknej nazwie Yauringa.

Wzdłuż strumienia Comas prowadzi w kierunku rzeki Chanchamayo wąska ścieżynka. Służy ona dla pieszych wędrowców, chcących dotrzeć do drogi kolejowej, rozpoczynającej się w miasteczku La Marced, oraz dla kontrabandzistów, którzy sprowadzają tędy wódkę, czem unikają uiszczenia opłat państwowych.¹ Na przebycie tej nędznej karykatury drogi trzeba zużyć około dwunastu dni.

Na szczęście, klimat w Yaurindze nie jest chłodny. Przypomina nieco polską, pogodną jesień. W tej miłej, pięknej miejscowości odrzuciliśmy znowu ciepłą odzież. Na noc zakwaterowaliśmy się w domu znajomego don Salvadora Urco, który ofiarował nam w swojej chatce „pokój“ i dał do rozporządzenia dużo słomy, której w tym kraju bezleśnym używają, obok nawozu krowiego, zamiast drzewa do palenia.

W Yaurindze obliczyliśmy nasze muły. Okazało się, że brakowało sześciu sztuk, które, nie mogąc nadążyć, pozostały wtyle. Pilnował ich jeden z mulni-

¹ Mam tu na myśli tanią wódkę z trzciny cukrowej, pędzoną w Montanji. W zimnych Kordyljerach trzcina cukrowa nie rośnie.

ków. Początkowo nie wzbudzało to naszego niepokoju, ale gdy minęło na próżnem oczekiwaniu kilkanaście godzin, uznaliśmy za konieczne przedsięwzięcie kroków, które ten stan czekania mogłyby przerwać. Przywołałem wówczas syna gospodarza, młodego dwudziestoletniego Keczuaana, i zapytałem:

— Chcesz zarobić sola?

Chłopakowi zabłyśły oczy radością.

— Chcę — odrzekł skwapliwie.

— Idź więc — rzekłem — w stronę Talhuis, na spotkanie naszych mułów. Gdy je spotkasz, powiedz arrierom, aby przybywali jak najśpieszniej.

Chłopak zrobił gest, jakgdyby już chciał odchodzić, ale po chwili zastanowienia wstrzymał się.

— No, czego jeszcze chcesz? — zapytałem.

Indjanin wyciągnął rękę.

— Sola.

Nie miałem pod ręką drobnych.

— Po powrocie dostaniesz — rzekłem.

Chłopak spojrział na mnie jakoś dziwnie, pokręcił się po izbie, wreszcie zdjął kapelusz i usiadł na ławce.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Czemu nie idziesz?

Chłopak wzruszył ramionami rezolutnie.

— Chcę pieniądze najpierw.

Roześmiałem się.

— Nie ufasz mi?

— Nie, nie ufam. Ty, *cala*, chcesz mnie oszukać.

Zrobiło mi się przykro.

— Nie chcę cię oszukać, chłopcze. Idź!

Indjanin uparł się.

— Daj sola najpierw.

Rad, nierad, wyszukałem w jukach woreczek z gotówką brzęczącą i dałem mu umówioną sumę.

Chłopak schował srebrny pieniądz do torebki, przewieszanej przez ramię, i natychmiast ruszył w drogę.

Nieufny naród mieszka w Kordyljerach, to prawda, ale tam już dobrze musiano pracować nad tem, aby tę nieufność do *calakuna* wzbudzić.

Dziwaczne słowo *cala* (liczba mnoga: *calakuna*) oznacza w języku keczua człowieka, nie używającego jako okrycia poncha.¹ Tem mianem określają Indianie górscy człowieka białego. Słowo *wirakucze*, również keczua, oznacza w Kordyljerach tyle, co *pan*.

Nie czekając na powrót pościańca, postanowiliśmy zjechać w dolinę rzeki Comas i dotrzeć do miejsca, skąd rozpoczynała się droga automobilowa. Nie wątpiliśmy ani na chwilę, że posłaniec, wysłany z Carrizalu, dotarł na czas do Santa Rosa de Ocopa i że auta bądź już zastaniemy w Bellenie, ostatniej stacji samochodowej w Kordyljerach, bądź też przybędą wkrótce po naszym przybyciu.

Droga z Yauringi do Bellena'y prowadzi między minjaturowymi półkami, leżącemi na sztucznych tarasach, stworzonych rękami *dzikich* Keczuanów. Te *dzikie* ręce przeprowadziły nawet sztuczne nawodnienie swych pól, pogrodziły je kamiennymi płótkami i obsadziły strojnemi krzewami.

Nad rzeką Comas, w głębokiej na półtora tysiąca metrów przepaści, stoi buda z karbowanej blachy — ostatnia stacja automobilowa w Kordyljerach. Jest to

¹ Czyt. ponczo — obszerny kawał materji z dziurą pośrodku, który wkłada się na ramiona przez głowę. Służy jako płaszcz.

właśnie Bellena. Miła ta miejscowość posiada jednego, jedyne go mieszkańca.

W dolinie rzeki Comas panuje przez cały rok ciepła, nie za gorąca wiosna. Po przejmujących chłodach, panujących w punie, klimat jej wydał mi się boski. I taki ma być istotnie.

Samochody jeszcze nie przybyły. Klnąc z powodu zwłoki, rozkwaterowaliśmy się przy „blaszance“ i zabrali do przyrządzenia obiadu. Nie czekaliśmy jednak długo. W kilka godzin później nadjechały dwie półciężarówki, które zabrały i nas i nasz ładunek, niesiony z nad rzeki Perené przez piętnaście juczych mułów. Przedtem jeszcze, ale już w ostatniej chwili, zdążyła nas dopaść reszta karawany, po którą wysłaliśmy nieufnego chłopca keczuańskiego.

Nareszcie, po 6 miesiącach uciążliwej drogi, po przedarciu się przez prądy i *malpasa* rzeki Tambo, po przebyciu zielonego piekła między Puerto Ocopa i Carrizałem, po przebyciu pustyń księżycowych, pokrywających wysokie *jalcas* pierwszego pasma Kordyljerów, znaleźliśmy się w samochodzie, który w przeciągu kilku godzin miał przenieść nas poza drugie pasmo niebotycznych gór, do wiecznie zielonej doliny, w której leży nieurzędowa stolica tej części Peru, miasto Santa Rosa de Ocopa.

Materiał ściślejszy o zwiedzanych stronach, będący rezultatem badań, autor zawarł w dwóch, wydanych poprzednio pracach: „Opis polskich terenów kolonizacyjnych w Peru“ i „Wschodnie Peru czyli Montanja“.

Indeks.

- A**chiota, 150.
Aguaitia, 84, 85, 91.
Ajmarowie, 265.
Alban, 3.
alcalde, 43.
Alemany, 72.
Amahuaca, 64, 65, 119.
Amazonka, 6, 10, 11, 12, 13,
14, 15.
Anapati, 225.
Andy, 254.
Apuparo, 132.
Assacaio, 27, 29, 31.
Atac, 259.
Atahualpa, 79.
Atalaya, 153, 154.
Balcon, 45.
bandurias, 260.
Belem, 6, 7, 8.
Bellena, 270, 271.
beri-beri (awitaminoza) 217.
boa, 24.
Bolognesi, 135.
Booth Line, 4.
botu, 22, 23.
bravos, 172.
buena gente, 147.
Bujalski, 256.
Caami achaty, 204.
Cahuapanas, 48, 49, 112, 113.
cala, (liczba mn. calacuna)
269, 270.
Calamina, 231.
cana brava, 117.
canero, 69, 70.
cano, 55.
capataz, 162.
capim, 23.
carramba, 190.
Carrizal, 257.
caserio, 106.
ceja de Montana, 241.
ceny robocizny, 100.
chacra, 145, 246.
Cheni, 207, 212.
Chesea, 118, 119, 120.
chicha, 133.
chikotza, 81, 117.
choroby w Montanji, 75.
Chumichinya, 139.
ciganna, 23.
civilizados, 225.
civilizados mieszkania, 84,
129, 130.
Clavero, 52.
cocha, 55.
Codajas, 20.
Colonia, 168.
Contamana, 77.
coreria, 66, 67, 155.

- cuchipe, 100.
 Cuengua, 139.
 curaca, (kuraka) 55.
 cushma, (kuźma) 60.
 cynaany, 62.
 czakiras, 98.
 Czama, 65, 132.
 Cziunticyki, 197, 198, 199,
 200, 225.
Deformowanie czaszek, 87.
 Dolce Giuseppe, 128.
 Donaire Felipe, 96.
 droga przez Kordyljery, 257,
 258.
 džungla amazońska, 45,
 46, 54.
 Egrety, 54.
 ekspedycja do Peru, 1.
 Esperança, 38.
 Estrechay, 164, 165.
 Fawcett, 206.
 fazenda, 9.
 Fitzcarrald, 208.
 flotylla na Amazonce, 45.
 Franchini Carlo, 129.
 Franchini Francisco, 127.
 Freyd Aleksander, 1.
 Fritz Samuel, jezuita, 21.
 fugetes, 111.
 Funchal, 5.
 fundo, 121.
Gadomski Feliks, 1.
 gajwota, 23.
 Gomal, 152.
 Gomez Alfonso, 28.
 governandor, 72.
 Gran Pajonal, 125.
 gringo, 169, 212.
 guacamaya, 59.
Hacienda, 60.
 Hijo del sol, 211.
 Hilser August, 250.
 Huancavelica, 83, 84.
 Huhachas, 260.
 Huntaipacche, 260.
Ica, 47.
 Ilhas Desertas, 4.
 Indjanie bravos, 53, 54,
 172.
 Indjanie, imiona, 170.
 Indjanie, liczenie, 97, 98.
 Indjanie, malowanie twarzy,
 93, 150, 151, 194.
 Indjanie, nazwy miejscowosci,
 86, 207.
 Indjanie, niepodlegli, 171,
 172.
 Indjanie, praca kobiet, 166,
 167.
 Indjanie, przyszłość, 171, 172.
 Indjanie, tatuowanie, 247.
 Indjanie, znajomość języka
 hiszpańskiego, 201.
 infieles, 162.
 Interior, 10.
 Iparia, 116.
 isana, 171.
 Iquitos, 43, 44, 45.
 Iquitowie, 43, 44.
Jaguary, 134.
 jalca, 259.
 Janka, (jacht) 48, 51.
 Jezuici, działalność, 21.
 jiboia, 24.
Kaameca, 214.
 Kampowie 62, 142, 143,

- 144, 201, 202, 203, 215,
216, 217, 218, 219, 220,
223.
kapitiri, 144.
kapiwar, (ronsoco) 134, 192.
Kaszybo, 80.
kauczuk nad Ucayali, 135,
136.
Keczuanie, 261.
Keczuanie, budownictwo,
261.
Keczuanie, ostatni bunt, 263,
264.
kiecelenc, 143.
kireki, 96.
kolej, budowa, 98, 99.
komary, 33, 85.
Koncesja, terenowa polska
w Peru, 1.
Kordyljery, (Andy) 254, 267,
268.
kuczilo, (cuchillo) 244.
kumpa, 95.
Kunibo, (Cunibo) 130, 132,
133.
kuraka, (curaca) 55.
kurakiat, 175.
kuźma, (cushma) 60.
La Huaira, 158.
Las Amazoński, 45, 54.
las nad rzeką Tamaya, 107.
las podandyjski, 241, 242,
243, 254.
Le Cointe, 9.
Leticia, 39.
lora, 59.
lotnictwo, 109.
ludożerstwo, 91.
- Maca Lazaro**, 46.
machaco, 78.
macheta (czyt. maczeta), 123.
Maczyganga, 174.
Madera, 4.
Mafra Manoel, 31, 32.
mahoń nad Aguaitią, 88.
Mahuiso, 74.
malpaso, 190.
Manacapuru, 19, 20.
Manaos, 15, 16.
Manczineri Maximiliano, 165.
manso, 126.
manta blanca, 193.
Mantaro, 178.
mapy Montanji, dokładność,
139.
Marajó, 8, 9.
Marankiari, 246.
Maranon, 68.
marfil vegetal, 77.
martin pescador, 54.
Masisea, 108, 109, 110, 111,
112.
Merovian, 176.
Michileno Carlos, 193.
Mieanto Pangocy, 229.
milrejs, 18.
misja w Rio Negro, 248.
misjonarze ewangeliccy, 136.
misjonarze katoliccy, 72, 104.
152, 237, 238, 239, 240.
Molino Derteano, 48.
Momon, 45, 47.
Montalacchi, 261.
Monte Carmelo, 50.
muchu gente, 203.
Nanay, 45.

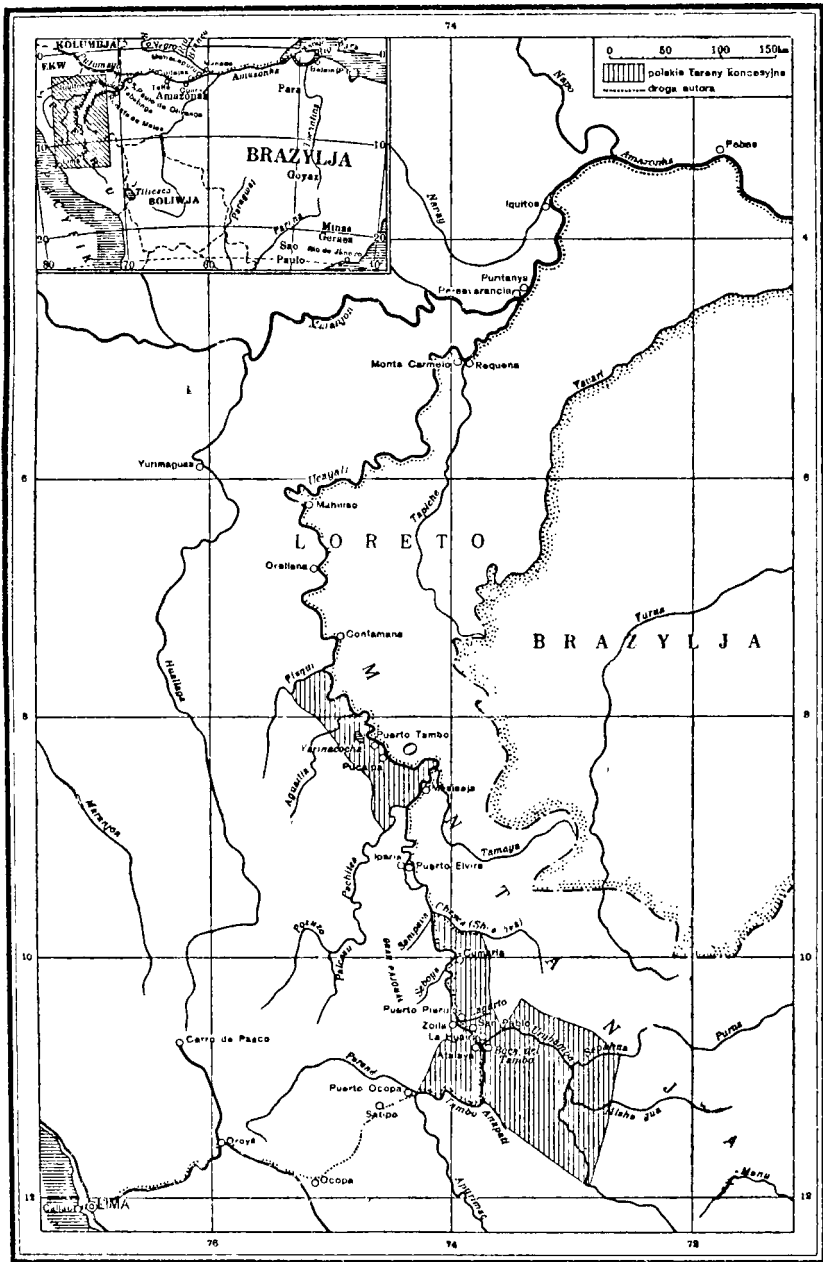
- Narvaez, 48.
 Nassarobeni, 230.
 nengecki, 199.
 niewolnictwo, 32, 60, 61,
 129, 154, 155, 156, 157.
 noszaninga (liczba mn.: ani),
 220, 224.
 Nunez Manoel, 22.
Odissio Cesaro, 80, 81.
 okszia, 265.
 Ompikiri, 208.
 Ophelja, 36, 37.
 Orda Włodzimierz, 185, 186.
 Orellana, 75, 76.
 Oré Manoel, 48.
 ospa, 165.
 osy, 57, 58, 59.
Pacaya Alejandro, 92.
 Pachitea, 114, 115.
 Pahua, 208.
 paiche, 89.
 pajonal, 182.
 palisada, 83.
 pampanilla, 90.
 Pancho Vargas, 61, 126, 154,
 155, 159, 162.
 Pankiewicz Michał, 1.
 Pano, 53.
 Pano-gruppe, 65.
 papas, 243, 252.
 Pará, 7.
 paruto, 192.
 pasy neutralne, 228, 229.
 Pat, 78.
 patron, 61.
 paufil, 54.
 paukar, 192.
 paw leśny, 59.
 peixe-boi, (vaca marina), 22,
 23.
 Perseverancia, 68, 69.
 Peugh, 136, 137.
 Pinheiro Simphoriano, 142.
 pirarucu, (paiche), 28, 89.
 Piro, 164.
 pisqui, 82.
 platanal, 121.
 Polacy w Kordyljerach, 255.
 Polacy w Manaos, 16.
 polowanie na krokodyle, 91,
 92, 117.
 poncho, 270.
 pora deszczowa (duża), 182.
 pora sucha, 24.
 porto da lenha, 18.
 practico, 50, 190.
 Postrach Kur, 55.
 płaszczka, 13.
 Pucalpa, 100, 101, 102.
 pueblo, 84, 212.
 Puerto Enrique, 73.
 Puerto Ocopa, 237, 238.
 puna, 258, 259.
 puntador, 193.
 Puntijao, 142.
Ratteri Angel, 187.
 Remate, de Males, 38.
 Remo, 53.
 Requena, 71, 72.
 ronsoco (kapiwar), 134.
 roślinna kość słoniowa, 77.
 ryjkonos (ostronos, choni),
 73.
Sahino, 169.
 San Jeronimo, 32, 33.
 San Martin José, 43.

- San Pablo, miejscowość 152.
 San Pablo, trędownisko, 40, 41.
 San Pablo, wyspa, 152.
 San Paulo de Olivenca, 24.
 San Salvador, 17, 18.
 sarna negra, 103.
 satiko, 70.
 Satipo rzeka, 244, 245.
 Sebastian, 225.
 Setebo, 65, 132.
 sęp, 24.
 Shanqui, miejscowość, 245.
 Shirintiari, 186, 187.
 Sierra de Huallaga, 75.
 Sierra de Iparia, 115.
 soldados, 90, 168.
 soroche, 265.
 Stahl, 136, 137, 138, 232.
 Stopp, 247.
 szyntipa, 192.
 Szypibo, 65, 95, 96, 97, 98, 132.
 Szysziako, 169.
 ścieżka podandyjska, 241, 242, 251.
 Świnia piżmowa, 87.
 Tahuanty, 143, 208.
 tajryki, 244.
 Takaczy, 248, 249.
 Talhuis, 266, 267.
 Tamaya, rzeka, 104.
 Tambo, 181, 234.
 tangana, 193.
 Tasulinezi, 137, 141, 209, 210, 211.
 Teffé, 21, 22.
 tekacy, 203.
- tereny pod osiedle, 102, 139, 146, 148, 149, 150.
 terra firme, 13.
 The Amazon River Co, 17.
 Tikuna, 28, 32.
 tkacz ptak, 54.
 Toctuga, 260.
 toldo, 170, 243.
 trapiche, 82.
 trędownisko, 40.
 Trudna, wyspa, 191, 192.
 Trzeci Maj, 110, 111.
 Tupac Amaru, 263, 264.
 Ucayali, 68, 77, 116.
 Uriarte Juan, 238, 239.
 Urresti Enrique, 50.
 Varadero między Tamayą i Yurua, 105.
 vagem, 13.
 Vitoto, 148.
 Warchałowski Kazimierz, 1.
 warzecha, 78.
 Washington de los Rios, 77.
 wielożeństwo, 131, 166, 167.
 wirakucze, 63.
 Yacu-runa, 138, 174, 175, 176.
 yarina, 77.
 Yarinacocha, 94.
 Yauringa, 268.
 Yavari, 38.
 Yuca, kapitan, 27, 28, 29, 30, 31.
 Yuca, roślina, 95, 166.
 Zatarg graniczny Peru z Kolumbią, 45.
 Zarychta Apolonjusz, 1.

Spis rozdziałów.

	Str.
I. W drodze do Ameryki Południowej	1
II. Dwa tysiące kilometrów po Rzece-Morzu	6
III. „Rzemiennym dyszlem“ po Amazonce	15
IV. Katastrofa <i>San Salvadora</i>	25
V. Odcięci od świata	31
VI. Niemiecki wybawca	35
VII. Między Brazylią, Peru i Kolumbią	39
VIII. Iquitos, Momon i Itaya	43
IX. Z żółwiem w zawody	49
X. Bolesna przygoda w lesie	55
XI. Flirt z niewolnikami	60
XII. Co się z nimi stało?	67
XIII. W guieździe zarazy	71
XIV. Od Contamany do Rio Pisqui	76
XV. U pożeraczy małp	83
XVI. Wśród Szypibów	94
XVII. W Pucalpie	98
XVIII. Przez Wielką Wołtę	103
XIX. Na rozstajnych drogach	108
XX. Wzdłuż gór Iparijskich	112
XXI. Wyprawa wgórę rzeki Chesea'i	117
XXII. Krwawe echo	121
XXIII. Wśród pionierów włoskich	127
XXIV. Spotykamy misjonarzy amerykańskich	134
XXV. „Ci ludzie, to mordercy!“	138
XXVI. Dzicy na <i>Cahuapanas'ie</i>	145
XXVII. W poszukiwaniu „punktu“	149
XXVIII. U łowcy niewolników	153
XXIX. Wśród wielożeńców	164
XXX. Yacu-runu	173
XXXI. Na podbój rzeki Tambo	176

	Str.
XXXII. Co mówił książę Pirów?	181
XXXIII. Zbrodniarz czy dziwak?	185
XXXIV. „A dios, <i>Janka</i> “!	190
XXXV. Pieniądze i nengecki	195
XXXVI. Trzech przeciw trzystu	200
XXXVII. Hijo del sol	207
XXXVIII. W kurakjacie Ompikirego	214
XXXIX. Przygody nad rzeką Anapati	220
XL. Papuzie chaty	228
XLI. Znaki tajemnicze i wirakucze	232
XLII. Głos wołającego na puszczy	237
XLIII. Karawaną przez lasy	241
XLIV. Przez andyjskie podgórze	249
XLV. Na dachu świata	256
XLVI. Konno przez Kordyljery	265
<i>Indeks</i>	273



• M. B. Lepecki „Na Amazonce i we wschodniem Peru”